

ROBERT W. CHAMBERS

KRÓL W ŻÓŁCI

ZBIÓR OPOWIADAŃ



SAGA
EGMONT

Robert W. Chambers

Król w Żółci. Zbiór opowiadań

Tłumaczenie Violetta Dobosz

Saga

Król w Żółci. Zbiór opowiadań

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Tłumaczenie Violetta Dobosz

Tytuł oryginału *The King in Yellow and other Horror Stories*

Język oryginału angielski

Wybór i układ: Paweł Marszałek

Copyright © 2023 SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728534113

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Naprawiacz reputacji

*Chmur fala za falą po niebie goni,
Dwa słońca gasną w jeziora toni
I cień wydłuża się
Już w Carcosie.*

*Przedziwne noce czarne gwiazdy rodzą,
Przedziwne księżycy po niebie brodzą,
Dziwniejsza wszak sama
Jest Carcosa.*

*Hiad pieśni umrą niewysłuchane,
Gdzie wichry Królewskiej szaty łachmanem
Targa wśród mroku i
Mgieł Carcosy.*

*O, pieśni mej duszy, już martwy mój głos,
Podzieliś i ty niewylanych też los,
Co zginą i umrą tak
Jak Carcosa.
Pieśń Cassildy z Króla w Żółci, Akt I, scena 2.*

1

„Ne raillons pas les fous; leur folie dure plus longtemps que la nôtre... . Voila toute la différence”.¹

Do końca roku 1920 rząd Stanów Zjednoczonych zrealizował, rzecz można, program przyjęty podczas ostatnich miesięcy urzędowania prezydenta Winthropa. W kraju zdawał się panować spokój. Powszechnie wiadomo, jak rozwiązano kwestie ceł i rynku pracy. Wojna z Niemcami, będąca następstwem zajęcia przez to państwo Wysp Samoa, nie pozostawiła

na demokracji żadnych widocznych blizn, zaś chwilowa okupacja Norfolk przez siły najeźdźcy została zapomniana w fali radości po serii zwycięstw marynarki wojennej, po których także stacjonujące w New Jersey wojska generała Von Gartenlauba znalazły się w niekorzystnym dla siebie położeniu. Inwestycje na Kubie i Hawajach zwróciły się w stu procentach, zaś terytorium Samoa okazało się warte swojej ceny, pełniąc rolę portu zaopatrującego flotę w węgiel na dalszą podróż. Siły obronne państwa były w doskonałym stanie. Każde przybrzeżne miasto posiadało znakomite fortyfikacje lądowe; w ojcowskiej iście pieczy Sztabu Generalnego liczebność zorganizowanej na pruską modłę armii została zwiększona do 300 000 ludzi z dodatkowym milionem w rezerwie; do tego sześć wspaniałych eskadr krążowników i pancerników kontrolowało sześć akwenów żeglownych mórz, podczas gdy żelazna rezerwa należycie uzbrojonych okrętów patrolowała wody przybrzeżne. Dżentelmeni z Zachodu byli w końcu zmuszeni przyznać, że uczelnia kształcąca dyplomatów jest czymś równie niezbędnym jak szkoły prawnicze wypuszczające adwokatów, skutkiem czego nie byliśmy dłużej reprezentowani za granicą przez niekompetentnych patriotów. Naród żył dostatnio; Chicago, zahamowane na krótki czas przez drugi wielki pożar ², powstało ze zgliszczy jasne i imperialne, i jeszcze piękniejsze niż Białe Miasto ³, które zbudowano dla jego uciechy w roku 1893. Dobra architektura wszędzie zajmowała miejsce zlej i nawet w Nowym Jorku nagłe pragnienie ładu i porządku doprowadziło do likwidacji znacznej części funkcjonujących tam koszar. Ulice zostały poszerzone, porządnie utwardzone i oświetlone, zasadzono drzewa, zaprojektowano place, zburzono nadziemne torowiska, zaś w ich miejsce zbudowano drogi podziemne. Nowe budynki rządowe i koszary stanowiły przykłady wspaniałej architektury, a długie kamienne nabrzeże okalające całą wyspę zostało przekształcone w zespół parków, które okazały się prawdziwym darem niebios dla mieszkańców. Dofinansowanie państwowego teatru i opery zwróciło się z nawiązką. Narodowa Akademia Sztuki Pięknej i Użytkowej Stanów Zjednoczonych bardzo przypominała podobne instytucje w Europie. Przy tej ilości pracy nikt nie zazdrościł Sekretarzowi Sztuk Pięknych ani teki, ani gabinetu. Praca Sekretarza do spraw Leśnictwa i Łowiectwa stała się za to znacznie łatwiejsza dzięki utworzeniu Państwowej Policji Konnej. Wielce korzystne okazały się ostatnie traktaty z Francją i Anglią; zakaz osiedlania się urodzonych za granicą Żydów, mający na celu ochronę tożsamości narodowej, a także ustanowienie nowego niepodległego państwa murzyńskiego Suanee, ograniczenie imigracji, nowe przepisy dotyczące naturalizacji i stopniowa centralizacja władzy wykonawczej, wszystko to przyczyniło się do rozkwitu państwa i zapewnienia mu spokoju. Kiedy rząd uporał się z kwestią Indian, a szwadrony indiańskich kawalerzystów w oryginalnych strojach zastąpiły żałosne jednostki doczepione przez poprzedniego Sekretarza do spraw Wojny

do zredukowanych do minimum regimentów, naród odetchnął z ulgą. Kiedy po wielkim Kongresie Religii bigoteria i nietolerancja zostały złożone do grobu, zaś dobroć i miłosierdzie zaczęły łączyć wojujące odłamy, niejeden pomyślał, że oto nadeszło milenium, przynajmniej w nowym świecie, który jak by nie patrzeć, stanowi świat sam w sobie.

Ponieważ jednak dbałość o interesy własnego narodu jest prawem nadrzędnym, Stany Zjednoczone musiały cierpieć bezsilnie, patrząc, jak Niemcy, Włochy, Hiszpania i Belgia wiją się w szponach anarchii, a Rosja, obserwując to ze szczytów Kaukazu, nachyla się i zagarnia je, jedno po drugim.

W Nowym Jorku lato 1899 zapisało się demontażem kolei nadziemnej. Lato roku 1900 żyć będzie w pamięci nowojorczyków przez wiele dziesięcioleci jako to, w którym usunięto pomnik Dodge'a ⁴ . Zimą tego samego roku zaczęły rozbrzmiewać głosy domagające się zniesienia prawa zabraniającego samobójstw, prowadząc ostatecznie do otwarcia w kwietniu 1920 roku na Washington Square pierwszej Rządowej Komory Śmierci.

Szedłem tamtego dnia od doktora Archera przyjmującego przy Madison Avenue, gdzie udałem się dla czystej formalności. Od upadku z konia przed czterema laty dokuczały mi od czasu do czasu bóle potylicy i karku, od wielu miesięcy jednak mnie nie nawiedzały i doktor odesłał mnie tego dnia, mówiąc, że dłużej leczyć nie ma czego. Sporo sobie za tę informację policzył, dobrze to wiedziałem. A jednak nie żałowałem mu tych pieniędzy. Miałem natomiast żal o pomyłkę, jaką popełnił na samym początku. Kiedy zabrano mnie z chodnika, gdzie leżałem nieprzytomny, a ktoś w odruchu litości wpakował kulkę w głowę mego konia, zostałem zanieiony do doktora Archera, zaś ten, orzekłszy uraz mózgu, umieścił mnie w swoim prywatnym zakładzie, gdzie zmuszony byłem poddać się leczeniu z obłądu. W końcu uznał, że jestem zdrow, a ja, wiedząc, że mój mózg zawsze działał równie dobrze jak jego, może nawet lepiej, opłaciłem moje „czesne”, jak to żartobliwie nazywał, i wyszedłem. Powiedziałem mu z uśmiechem, że jeszcze się z nim porachuję za tę pomyłkę, on zaś roześmiał się serdecznie i poprosił, bym wpadał do niego od czasu do czasu. Wpadałem zatem, licząc na to, że pojawi się szansa, by wyrównać rachunki, on mi jednak takowej nie dawał, więc postanowiłem czekać.

Upadek z konia na szczęście nie pozostawił żadnych przykrych następstw; wręcz przeciwnie, mój charakter zmienił się na lepsze. Z gnuśnego, miastowego paniczka przeistoczyłem się w mężczyznę aktywnego, energicznego, powściągliwego, a nade wszystko — o tak, nade wszystko inne — ambitnego. Niepokoiło mnie tylko jedno, sam się z tego śmiałem, a jednak niepokój mnie nie opuszczał.

Podczas rekonwalescencji kupiłem i po raz pierwszy przeczytałem *Króla w Żółci*. Pamiętam, jak po skończeniu pierwszego aktu przyszło mi do głowy,

że szkoda czasu na dalsze czytanie. Poderwałem się i cisnąłem książkę do kominka; tom uderzył o wykonaną z prętów osłonę i upadł otwarty na palenisko. Gdyby mój wzrok nie padł przypadkiem na pierwsze słowa drugiego aktu, nigdy nie poznałbym dzieła w całości, gdy jednak się schyliłem, by podnieść książkę, moje spojrzenie zostało przykute do karty dramatu i z okrzykiem przerażenia czy może radości tak wielkiej, że poraziła każdy mój nerw, chwyciłem książkę z paleniska i dygocząc na całym ciecie, udałem się po cichu do sypialni, gdzie przeczytałem ją raz i drugi, gdzie płakałem i śmiałem się, i drżałem z przerażenia, które niekiedy nawiedza mnie po dziś dzień. To ta książka właśnie jest przyczyną mego niepokoju, jako że nie umiem zapomnieć *Carcosy*, gdzie czarne gwiazdy wiszą na niebiosach; gdzie cienie ludzkich myśli snują się popołudniami, a bliźniacze słońca gasną w jeziorze Hali; no i w umyśle mym na zawsze już pozostanie wspomnienie *Bladej Maski*. Modłę się, by Bóg przeklął autora, który na świat cały rzucił klątwę swoim dziełem niezwyklej urody i znakomitości, strasznym w swej prostocie, nieodpartym w swej prawdziwości — rzucił klątwę na świat, który drży teraz przed Królem w Żółci. Kiedy rząd francuski przejął egzemplarze przekładu, które dopiero co dotarły do Paryża, Londyn, rzecz jasna, z tym większym zapalem rzucił się do czytania. Wszystkim wiadomo, że książka, niczym zakaźna choroba, rozprzestrzeniała się na kolejne miasta, na kontynenty, tutaj zakazana, tam skonfiskowana, potępiana przez prasę i kler, cenzurowana nawet przez najbardziej postępowych z literackich anarchistów. Nieziemskie te wersy nie gwałcą żadnej konkretnej zasady, nie głoszą żadnej doktryny, nie urągają żadnym przekonaniom. Nie sposób je ocenić wedle jakichkolwiek znanych norm, a jednak, choć powszechnie uznano, że w *Królu w Żółci* znać sztukę najwyższych lotów, to zapanowało przeświadczenie, że ludzka natura nie zdoła znieść budowanego w nim napięcia ani rozkwitnąć, karmiąc się słowami, które sączą truciznę w najczystszej postaci. Banał i niewinność pierwszego aktu sprawiają tylko, że dalszy ciąg uderza w czytelnika z tym większą mocą.

Pamiętam, że było to 13 kwietnia 1920 roku, gdy pierwsza Rządowa Komora Śmierci stanęła na południowej pierzei Washington Square pomiędzy Wooster Street i Południową Piątą Aleją. Rząd jeszcze zimą 1898 roku nabył kompleks zaniedbanych budynków mieszczących kawiarnie i restauracje cudzoziemców. Francuskie i włoskie knajpki zostały zburzone, a cały teren ogrodzono poślaczoną barierką i przekształcono w śliczny ogród z trawniczkami, rabatkami i fontannami. Pośrodku tego ogrodu stanął mały, biały budynek w bardzo klasycznym stylu otoczony gąszczem kwiatów. Dach podtrzymywało sześć jońskich kolumn, zaś jedyne drzwi wykonano z brązu. Przed drzwiami znajdowała się wspaniała marmurowa rzeźba *Parek*, dzieło młodego amerykańskiego artysty *Borisa Yvaina*, który zmarł w Paryżu

w wieku zaledwie dwudziestu trzech lat.

Uroczystość inauguracji była w toku, gdy przechodziłem przez University Place i wkraczałem na plac. Lawirowałem wśród tłumu oniemiałych gapiów, lecz na Czwartej Ulicy zatrzymał mnie kordon policji. Pułk lansjerów Stanów Zjednoczonych stał w szyku na pustym placu otaczającym Komorę Śmierci. Na trybunie skierowanej przodem do Parku Waszyngtona stał gubernator Nowego Jorku, a za nim tłoczyli się burmistrz Nowego Jorku i Brooklynu, komendant główny policji miejskiej, komendant policji stanowej, pułkownik Livingston — doradca wojskowy prezydenta Stanów Zjednoczonych, generał Blount — komendant fortu na Governor's Island, generał Hamilton — dowódca garnizonów Nowy Jork i Brooklyn, admirał Buffby dowodzący flotą na North River, generał doktor Lanceford ze Szpitala Państwowego, nowojorscy senatorowie Wyse i Franklin oraz komisarz do spraw robót publicznych. Trybunę otaczał szwadron huzarów Gwardii Narodowej.

Gubernator kończył odpowiedź na krótkie przemówienie generała doktora. Usłyszałem, jak mówi:

— Przepisy zabraniające samobójstwa i przewidujące karę za każdą próbę autodestrukcji zostały uchylone. Rząd postanowił uznać prawo człowieka do zakończenia własnej egzystencji, jeśli ta za sprawą cierpienia fizycznego bądź psychicznego stała się dla niego nie do zniesienia. Wierzymy, że każda społeczność zyska, mogąc takich ludzi usunąć ze swego grona. Od czasu zmiany prawa liczba samobójstw w Stanach Zjednoczonych nie wzrosła. Teraz, gdy rząd postanowił wznieść w każdym większym i mniejszym mieście, w każdym miasteczku i każdej wiosce w kraju Komory Śmierci, pozostaje tylko przekonać się, czy ta grupa ludzkich istot, spośród których co dzień nowe jednostki padają ofiarą autodestrukcji, zechce z takiego udogodnienia skorzystać. — Zamilkł i odwrócił się do białej Komory Śmierci. Na ulicy zaległa absolutna cisza. — Tam śmierć bezbolesna czeka na każdego, kto dłużej nie jest w stanie znosić smutków życia. Jeśli śmierci pragnie, niechaj tam jej szuka. — Po czym szybko zwracając się do wojskowego doradcy prezydenta, rzekł: — Uważam Komorę Śmierci za otwartą — a stając znów twarzą do tłumu, zawołał czystym głosem: — Obywatele Nowego Jorku i Stanów Zjednoczonych Ameryki, w imieniu rządu ogłaszam, że Komora Śmierci została otwarta.

Uroczysta cisza została przerwana przez głośnie komendę, szwadron huzarów ustawił się za powozem gubernatora, lansjerzy zrobili w tył zwrot i stanęli w szyku wzdłuż Piątej Alei, czekając na komendanta garnizonu, a za nimi podążyła konna policja. Opuściłem tłum, który gapił się na Komorę Śmierci, i przechodząc przez Piątą Aleję, ruszyłem zachodnią stroną owej arterii do Bleeker Street. Następnie skręciłem w prawo i stanąłem przed niezbyt okazałą bramą, nad którą wisiał szyl:

Zajrzałem, stojąc w bramie, i zobaczyłem Hawberka przy pracy w maleńkim warsztacie na końcu korytarza. Podniósł wzrok, a widząc mnie, zawołał głębokim, krzepakim głosem:

— Proszę wejść, panie Castaigne!

Constance, jego córka, wstała, by mnie powitać, gdy przekraczałem próg, i wyciągnęła swą śliczną rączkę; spostrzegłem jednak rumieniec rozczarowania na jej policzkach i wiedziałem, że oczekiwała innego Castaigne'a, mojego kuzyna Louisa. Uśmiechnąłem się, widząc jej zakłopotanie, i obdarzyłem komplementem proporzec, który haftowała, czerpiąc wzór z jakiegoś kolorowego talerza. Stary Hawberk siedział, nitując podniszczoną nagolenicę starodawnej zbroi, a ciche dzyń! dzyń! dzyń! jego małego młoteczka rozbrzmiewało przyjemnie w staroświeckim warsztacie. Po chwili upuścił młoteczek i zmagał się przez moment z maleńkim kluczem francuskim. Cichy brzęk kolczugi wywołał u mnie dreszcz przyjemności. Uwielbiałem muzykę wygrywaną przez stal szorującą o stal, delikatne bicie drewnianego młotka o nabiodrek, dzwonienie metalowej plecionki. Był to jedyny powód, dla którego odwiedzałem Hawberka. Nigdy nie interesowała mnie jego osoba ani osoba jego córki, jeśli nie liczyć tego, że była zakochana w Louisie. Bowiem to akurat zajmowało mą uwagę, a czasem nawet nie pozwalało w nocy zasnąć. Wiedziałem jednak w głębi duszy, że wszystko dobrze się skończy i że powinienem zająć się ich przyszłością, tak jak zamierzałem zająć się przyszłością mego drogiego doktora Johna Archera. W żadnym wypadku jednak nie zadałbym sobie trudu, żeby ich wtedy akurat odwiedzić, gdyby nie to, że jak już powiedziałem, tak bardzo fascynowała mnie muzyka pobrzękującego młoteczka. Mógłbym siedzieć godzinami, słuchając i słuchając, a gdy zbłąkany promień słońca padł na inkrustowaną stal, wrażenie, jakiego doznawałem, było niemal nie do zniesienia. Moje oczy nieruchomiały, rozszerzając się z rozkoszy, która rozciągała mi każdy nerw, tak iż omal nie pękł, dopóki stary płatnerz kolejnym swoim gestem nie odciął promyka, a wtedy, nadal wstrząsany potajemnym dreszczem, opierałem się wygodnie, zaśluchany z kolei w odgłos ściereczki do polerowania, w świst! świst! ścierające z nitów rdzę.

Constance pracowała z haftem na kolanach, od czasu do czasu przerywając, by przyjrzeć się bliżej wzorowi z kolorowego talerza z Metropolitan Museum.

— Dla kogo to? — spytałem.

Hawberk wyjaśnił, że oprócz zabytkowych zbroi w Metropolitan Museum, których płatnerzem został mianowany, miał w swojej pieczy także kilka kolekcji należących do bogatych amatorów. To akurat była brakująca nagolenica pewnej słynnej zbroi, znaleziona dla jego klienta w małym sklepiku w Paryżu przy Quai d'Orsay. Hawberk wynegocjował cenę

i zamówił nagolenicę, i zbroja była teraz kompletna. Odłożył młoteczek i odczytał mi historię owego eksponatu sięgającą roku 1450, właścicieli po właścicielu, aż do Thomasa Stainbridge'a. Gdy jego nadzwyczajna kolekcja została sprzedana, klient Hawberka kupił rzeczoną zbroję i od tamtej pory trwały poszukiwania brakującej nagolenicy, aż niemal przypadkiem namierzono ją w Paryżu.

— Kontynuował pan poszukiwania z takim uporem, nie mając żadnej pewności, że ta nagolenica jeszcze istnieje? — spytałem.

— Oczywiście — odparł jak gdyby nigdy nic.

I wtedy po raz pierwszy zainteresowałem się osobą Hawberka, a nie tylko tym, co robił.

— Miała dla pana jakąś wartość — spróbowałem zgadnąć.

— Nie — odrzekł ze śmiechem — nagrodą dla mnie była przyjemność czerpana z jej znalezienia.

— Czy nie ma pan ambicji, żeby się wzbogacić? — zapytałem z uśmiechem.

— Moją jedyną ambicją jest być najlepszym płatnerzem na świecie — odpowiedział poważnie.

Constance zapytała, czy widziałem uroczystości przy Komorze Śmierci. Ona sama zdążyła tylko rano zobaczyć przemieszczającą się Broadwayem kawalerię i żałowała, że nie mogła pójść na inaugurację, ale ojciec chciał, by dokończyła proporzec, więc na jego prośbę została.

— Spotkał pan tam może swojego kuzyna, pana Castaigne'a? — spytała z leciuchnym drżeniem delikatnych rzęs.

— Nie — odparłem beztrząsco. — Pułk Louisa przebywa na manewrach w okręgu Westchester. — Tu wstałem i wziąłem do ręki swój kapelusz i łaskę.

— Czy idzie pan na górę, zobaczyć się znowu z tym szaleńcem? — roześmiał się stary Hawberk. Gdyby Hawberk wiedział, jak bardzo nienawidzę słowa „szaleniec”, nigdy nie użyłby go w mojej obecności. Słowo to wywołuje u mnie pewne emocje, nad którymi nie mam ochoty się tutaj rozwodzić. Niemniej jednak odpowiedziałem mu spokojnie:

— Myślę, że wpadnę do pana Wilde'a z wizytą na chwilę bądź dwie.

— Biedny człowiek — rzekła Constance, kręcąc głową — pewnie ciężko mu jest tak żyć, rok za rokiem w samotności, kalectwie, niemalże w obłądnie. Bardzo miło z pana strony, panie Castaigne, że tak często go pan odwiedza.

— Moim zdaniem to zły człowiek — stwierdził Hawberk, zaczynając znowu stukać młoteczką. Zasłuchałem się w złoty brzęk o płyty nagolenic; gdy skończył, odpowiedziałem:

— Nie, nie jest zły ani w najmniejszym stopniu obłąkany. Jego umysł to gabinet cudów i potrafi z niego wydobyć skarby, których zdobycie mnie czy państwu zajęłoby całe lata.

Hawberk roześmiał się.

Kontynuowałem nieco zniecierpliwiony: — Zna historię tak, jak nikt inny nie zdołałby jej poznać. Nic, choćby najdrobniejsza błahostka nie umknie jego dociekaniom, zaś pamięć jego jest tak absolutna, tak szczegółowa, że gdyby Nowy Jork wiedział, iż taki człowiek istnieje, ludzie prześcigaliby się w oddawaniu mu czci.

— Nonsens — mruknął Hawberk, szukając na podłodze nitu, który mu tam upadł.

— Czy nonsensem — spytałem, z trudem tłumiąc emocje — czy nonsensem jest stwierdzenie, że taszki i fartuchy emaliowanej zbroi znanej powszechnie jako „Słynna Księżęca” znajdują się w stercie rupieci, na którą składają się pordzewiałe rekwizyty teatralne, popsute piecyki i odpadki zgromadzone przez śmietnikowych nurków, na poddaszu przy Pell Street?

Młoteczek Hawberka upadł na podłogę, lecz on podniósł go i spytał z ogromną dozą spokoju, skąd wiem, że tamte taszki i fartuchy to fragmenty „Słynnej Księżęcej”.

— Nie wiedziałem, dopóki pan Wilde nie wspomniał mi o tym któregoś dnia. Powiedział, że leżą na poddaszu przy Pell Street numer 998.

— Nonsens — wykrzyknął, lecz spostrzegłem, że dłoń drży mu pod skórzanym fartuchem.

— Czy nonsensem jest także — dopytywałem się uprzejmym głosem — czy nonsensem jest to, że pan Wilde nieustannie mówi o panu jako o markizie Avonshire, a o pannie Constance...

Nie dokończyłem, bo Constance poderwała się na równe nogi z wyrazem przerażenia malującym się na całej twarzy.

— To niemożliwe — stwierdził Hawberk. — Pan Wilde może i dużo wie...

— O zbrojach, na ten przykład, i „Słynnej Księżęcej” — wszedłem mu w słowo z uśmiechem.

— Tak — mówił powoli dalej — także o zbrojach... być może... ale myli się co do markiza Avonshire, który, jak pan wie, przed wieloma laty zabił tego, który zniestrawił jego żonę, i udał się do Australii, gdzie wkrótce umarł, tak jak jego małżonka.

— Pan Wilde się myli — wyszeptała Constance. Usta miała pobielełe, lecz jej głos brzmiał słodko i spokojnie.

— Uznajmy więc, skoro sobie państwo tego życzą, że w tym jednym przypadku pan Wilde się myli — powiedziałem.

już wcześniej, i zastukałem do małych drzwi na końcu korytarza. Pan Wilde otworzył, a ja wszedłem do środka.

Gdy zamknął drzwi na dwa zamki i zastawił je ciężkim kufrem, podszedł i usiadł obok mnie, patrząc mi w twarz tymi swoimi małymi, jasnymi oczkami. Jego nos i policzki pokrywało kilka nowych zadrapań, a srebrne druty podtrzymujące sztuczne uszy przekreśliły się nieco. Pomyślałem, że nigdy jeszcze nie widziałem go tak odrażająco fascynującym. Nie miał uszu. Sztuczne, które teraz sterczały pod dziwnym kątem na cieniutkich drutach, stanowiły zaledwie jedną z jego ułomności. Wykonane były z wosku i pomalowane na błady róż, podczas gdy reszta twarzy miała barwę żółtą. Byłoby może lepiej, gdyby sprawił sobie sztuczne palce u lewej dłoni, która była ich zupełnie pozbawiona, zdawało się jednak, że nie stanowi to dla niego żadnej niedogodności, zaś bardzo był zadowolony ze swych woskowych uszu. Był bardzo mały, niewiele wyższy od dziesięciolatka, miał jednak niesamowicie silne ramiona i potężne jak u atlety uda. Mimo to najbardziej niezwykłą cechą pana Wilde'a było to, że człowiek o tak nadzwyczajnej inteligencji i wiedzy miał taką głowę. Była spłaszczona i kanciasta jak głowy nieszczęśników, których ludzie więżą w zakładach dla obłąkanych. Wielu nazywało go szaleńcem, ale ja wiedziałem, że jest tak samo zdrowy na umyśle jak ja.

Nie przeczę, że był ekscentrykiem; mania, która kazała mu trzymać kocinę i drażnić ją, dopóki niczym demon nie rzuciła mu się na twarz, bez wątpienia była przejawem ekscentryzmu. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego trzymał to stworzenie, ani też jaką przyjemność czerpał z zamykania się w pokoju z tą podłą, rozwścieczoną bestią. Pamiętam, jak raz podniosłem wzrok znad rękopisu, który studiowałem przy świetle kilku łojowych lampek, i zobaczyłem pana Wilde'a kucającego nieruchomo na wysokim stołku ze wzrokiem dosłownie płonącym z podniecenia, podczas gdy kocica, która podniosła się ze swego miejsca przy piecyku, skradała się po podłodze prosto na niego. Nim zdążyłem się poruszyć, przywarła brzuchem do podłogi, podkuliła łapy, zadrżała i skoczyła mu na twarz. Skowycząc i tocząc pianę, turlali się po podłodze, drapali się i obłapiali, aż kotka wrzasnęła i umknęła pod szafkę, zaś pan Wilde przewrócił się na plecy, a kończyny kurczyły mu się i podwijały jak u zdychającego pająka. Doprawdy, *był* ekscentrykiem.

Pan Wilde wspiął się na swój stołek i kiedy już dobrze przyjrzał się mojej twarzy, wziął do rąk księgę z pozaginanymi rogami i ją otworzył.

— Henry B. Matthews — przeczytał — księgowy w Whysot Whysot i Spółce, handlarz ornamentami kościelnymi. Wizyta: 3 kwietnia. Reputacja zepsuta na torze wyścigowym. Znany z tego, że nie spłaca długów. Termin naprawy reputacji: 1 sierpnia. Honorarium: pięć dolarów.

Przewrócił kartkę i przesunął knykciami w dół gęsto zapisanej tabeli.

— P. Greene Dusenberry, pastor kościoła ewangelickiego w Fairbeach

w New Jersey. Reputacja zepsuta w dzielnicy czerwonych latarni. Termin naprawy: najbliższy możliwy. Honorarium: 100 \$. — Zakaszał i dodał: — Wizyta: 6 kwietnia.

— A zatem nie narzeka pan na brak pieniędzy, panie Wilde — zaciekałem się.

— Niech pan słucha — zakaszał znowu. — Pani C. Hamilton Chester z Chester Park, Nowy Jork. Wizyta: 7 kwietnia. Reputacja zepsuta w Dieppe we Francji. Termin naprawy: 1 października, honorarium 500 \$. Uwaga: C. Hamilton Chester, kapitan na okręcie marynarki Stanów Zjednoczonych w eskadrze patrolującej Morze Południowe, rozkaz powrotu do domu — 1 października.

— Cóż — rzekłem — naprawianie reputacji wydaje się lukratywnym zajęciem.

Jego bezbarwne oczy odszukały moje. — Chciałem tylko zademonstrować, że miałem rację. Twierdził pan, że niemożliwe jest odniesienie sukcesu jako naprawiacz reputacji, że gdyby nawet powiodło mi się w pewnych sprawach, to poniesione koszty przewyższyłyby zyski. Dziś zatrudniam pięciuset ludzi, słabo opłacanych, wykonujących jednak swe zadania z zapałem, który być może rodzi się ze strachu. Ludzie ci wnikają we wszystkie możliwe klasy i warstwy społeczne; niektórzy stanowią nawet filary elity towarzyskiej; inni są dumą świata finansjery; jeszcze inni dzierżą władzę pośród „Pięknych i Utalentowanych”. Wybieram do woli spośród tych, którzy odpowiedzą na moje ogłoszenia. Nie ma w tym nic trudnego, wszyscy oni to tchórze. Mógłbym tę liczbę potroić w dwadzieścia dni, gdybym tylko zechciał. Widzi pan zatem, że nawet ci, od których zależy w jakimś stopniu reputacja ich współobywateli, siedzą u mnie w kieszeni.

— Mogą się też zwrócić przeciwko panu — zasugerowałem.

Potał kciukiem obciążone uszy, poprawił woskowe protezy. — Nie wydaje mi się — mruknął w zamyśleniu. — Bardzo rzadko zmuszony jestem skorzystać z bata i jeśli już, to wystarczy smagnąć tylko raz. Poza tym podoba im się ich płaca.

— A w jaki sposób korzysta pan z bata? — zapytałem.

Przez chwilę jego twarz stanowiła koszmarny widok. Jego oczy zmniejszyły się do rozmiaru dwóch zielonych iskier.

— Zapraszam ich do siebie na krótką pogawędkę — powiedział cichym głosem.

Przeszkodziło mu pukanie do drzwi, a na jego twarz powrócił przyjemny wyraz.

— Kto tam? — zapytał.

— Steylette — padła odpowiedź.

— Proszę przyjść jutro — odrzekł pan Wilde.

— To niemożliwe — zaczął tamten, lecz został uciszony jakby

warknięciem pana Wilde'a.

— Proszę przyjść jutro — powtórzył.

Usłyszeliśmy, jak ktoś oddała się od drzwi i skręca na schody.

— Kto to był? — spytałem.

— Arnold Steylette, właściciel i redaktor naczelny wielkiego nowojorskiego dziennika. — Zabębnił o księgę swą pozbawioną palców dłonią, dodając: — Bardzo mało mu płacę, ale on uważa, że to świetny interes.

— Arnold Steylette! — powtórzyłem zdumiony.

— Tak — przyznał pan Wilde i zakasłał, zadowolony z siebie.

Kotka, która weszła do pokoju, kiedy mówił, zawahała się, podniosła na niego wzrok i zawarczała. Zszedł ze stołka i kucając na podłodze, wziął stworzenie na ręce, żeby je popieścić. Kotka przestała warczeć, a po chwili rozległo się głośne mruczenie, które przybierało na sile, im dłużej ją głaskał.

— Gdzie są notatki? — spytałem.

Wskazał na stół, a ja po raz setny wziąłem do rąk stertę odręcznie zapisanych kart zatytułowanych:

IMPERIALNA DYNASTIA AMERYKI.

Jedna po drugiej studiowałem mocno wymięte karty, wymięte wyłącznie przez moje własne dłonie, i choć znałem ich treść na pamięć, zaczynając od: „Tam, gdzie Carcosa, gdzie Hiady, Hastur i Aldebaran”, a kończąc na; „Castaigne Louis de Calvados urodzony 19 grudnia 1877 roku”, to zacząłem czytać z zapalem i w pełnym skupieniu, zatrzymując się, by powtórzyć niektóre fragmenty na głos, szczególnie dużo uwagi poświęcając słowom: „Hildred de Calvados, jedyny syn Hildreda Castaigne i Edythe Landes Castaigne, pierwszy w kolejce do tronu” i tak dalej, i tak dalej.

Gdy skończyłem, pan Wilde skinął i zakaszał.

— Skoro mowa o pańskich sukcesyjnych ambicjach — rzekł — co słychać u Constance i Louisa?

— Ona go kocha — odparłem zwyczajnie.

Kotka na jego kolanach odwróciła się nagle i pacnęła go łapą po oczach, więc rzucił zwierzę i wdrapał się na krzesło naprzeciw mnie.

— No i jest jeszcze doktor Archer! Chociaż tę sprawę możemy załatwić w każdej chwili — dodał.

— Owszem — odparłem — doktor Archer może poczekać, za to pora już, bym spotkał się z kuzynem Louistem.

— Już pora — przyznał. Po czym wziął ze stołu inną księgę i szybko przewracał karty. — Jesteśmy teraz w kontakcie z dziesięcioma tysiącami ludzi — wymamrotał. — Możemy liczyć na sto tysięcy w ciągu pierwszych dwudziestu ośmiu godzin, zaś w ciągu czterdziestu ośmiu cały stan powstanie *en masse*. Za stanem pójdzie reszta kraju, ta zaś jego część, która tego nie robi, to znaczy Kalifornia i Północny Zachód, bodajby nigdy nie została

zasiedlona. Nie poślę im Żółtego Znak.

Krew uderzyła mi do głowy, lecz odrzekłem tylko: — Nowy władca zrobi porządek.

— Ambicje Cezara i Napoleona błędną przy tej, która nie zaznała spoczynku, dopóki nie zawładnęła umysłami ludzi i nie zapanowała nad myślami, co nawet się w nich jeszcze nie zrodziły — powiedział pan Wilde.

— Mówi pan o Królu w Żółci — sapnąłem, wzdrygnąwszy się.

— To król, któremu służyli cesarze.

— I ja z radością będę mu służył — odparłem.

Pan Wilde usiadł, pocierając uszy okaleczoną ręką. — Może jednak Constance go nie kocha — zasugerował.

Zacząłem już odpowiadać, lecz zagłuszyła mnie nagła eksplozja muzyki wojskowej na ulicy w dole. Dwudziesty pułk dragonów stacjonujący dawniej w garnizonie w Mount St. Vincent, powracał z manewrów w okręgu Westchester do swych nowych koszar przy East Washington Square. Był to pułk mojego kuzyna. Chłopcy wspaniale się prezentowali w jasnoniebieskich, dopasowanych kurtkach, czupurnych bermycach i białych bryczesach z podwójnymi żółtymi lampasami, w których ich nogi wyglądały jak odlane z żelaza. Co drugi szwadron uzbrojony był w lance, a na ich lśniących grotach powiewały żółte i białe proporczyki. Orkiestra przeszła, grając marsz pułku, po czym nadjechał pułkownik i reszta dowództwa, konie tłoczyły się i tupwały głośno, w jednym rytmie poruszając głowami, a proporczyki trzepotały na grotach lanc. Jeźdźcy, siedzący w pięknej pozycji w siodłach angielskich, byli ogorzali jak piraci po swej bezkrwawej kampanii wśród farm Worchesteru, zaś muzyka ich stukających o strzemiona szabel, pobrząkiwanie ostróg i karabinków była jak miód na moje serce. Ujrzałem jadącego ze swoim szwadronem Louisa. Był najprzystojniejszym oficerem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Pan Wilde, który wspiał się na krzesło przy oknie, także go zobaczył, ale nic nie rzekł. Louis odwrócił się i popatrzył wprost na warsztat Hawberka, przejeżdżając, a ja spostrzegłem rumieniec na jego opalonych policzkach. Pewnie Constance stała w oknie. Gdy przejechali ostatni jeźdźcy, a ostatnie proporczyki zniknęły, oddalając się Piątą Aleją, pan Wilde zgramolił się z krzesła i odsunął kufer od drzwi.

— Tak — rzekł — pora, by spotkał się pan z kuzynem Louisem.

Otworzył drzwi, a ja wziąłem do ręki mój kapelusz i laskę i wyszedłem na korytarz. Schody tonęły w mroku. Macając stopą dokoła, nadepnałem na coś miękkiego, co warknęło i fuknęło, więc zamachnąłem się na kota potężnie, lecz moja laska rozbiła się w drzazgi o balustradę, zaś bestia umknęła z powrotem do pokoju pana Wilde'a.

Mijając znowu drzwi Hawberka, zobaczyłem, że nadal pracuje on nad zbroją, nie zatrzymałem się jednak i wychodząc na Bleecker Street,

doszedłem do Wooster, okrążyłem skwerek otaczający Komorę Śmierci i przecinając Washington Park, udałem się prosto do mego mieszkania w Benedicku 5 . Tutaj zjadłem w spokoju lunch, poczytałem *Heralda* i *Meteora*, aż wreszcie podszedłem do sejfu w sypialni i ustawiłem kombinację szyfru czasowego. Trzy i trzy czwarte minuty, ile to czasu trzeba zaczekać, aż otworzy się zamek, stanowią dla mnie chwile bezcenne. Od ustawienia kombinacji do momentu, gdy chwycę za gałki i pociągnę do siebie ciężkie stalowe drzwiczki, żyję w ekstazie oczekiwania. Chwile te muszą być jak chwile spędzone w raj. Wiem, co znajdę, gdy czas ten dobiegnie końca. Wiem, co chroni dla mnie i tylko dla mnie ten masywny sejf, zaś wyjątkowa przyjemność płynąca z czekania wzrasta jeszcze odrobinę, gdy schowek otwiera się, a ja wyjmuję z aksamitnego etui diadem z najczystszej złota żarzący się brylantami. Robię to co dzień, a mimo to radość płynąca z oczekiwania i dotykania w końcu owego przedmiotu wydaje się z dnia na dzień coraz większa. To korona godna Króla pośród królów, Cesarza pośród cesarzy. Król w Żółci mógłby nią pogardzić, lecz nosić ją będzie jego królewski sługa.

Tuliłem diadem w ramionach, dopóki nie zabrzączał ostro sejfowy alarm, a wówczas z dumą i czułością odłożyłem go na miejsce i zamknąłem stalowe drzwiczki. Wróciłem powoli do swego gabinetu, którego okna wychodzą na Washington Square, i oparłem się o parapet. Przez okna wlewało się popołudniowe słońce, a lekki wietrzyk poruszał gałęziami wiązów i klonów w parku, okrytych już pączkami i delikatnym listowiem. Nad wieżą kościoła Judson Memorial zataczało kółka stadko gołębi; ptaki czasami siadały na purpurowych dachówkach, czasami zlatywały do kolistej fontanny przed marmurowym łukiem. Ogrodnicy krzatali się przy rabatkach wokół fontanny, a świeżo przekopana ziemia pachniała słodko i pikantnie. Kosiarka do trawy ciągnięta przez tłustego białego konia pobrząkiwała na zielonej murawie, służące za polewaczki beczkowsy spryskiwały asfaltowe dróżki. Wokół posągu Petera Stuyvesanta, który w 1897 roku zastąpił upiorność mającą rzekomo przedstawiać Garibaldiego, w promieniach wiosennego słońca bawiły się dzieci, a niańki pchały przed sobą wielkie wózki dziecięce, nie zwracając większej uwagi na ich bladoliczych pasażerów, co pewnie dałoby się wytłumaczyć obecnością może półtuzina smukłych dragonów leniuchujących na pobliskich ławkach. Zza drzew Łuk Waszyngtona połyskiwał w słońcu jak srebro, a za nim, na wschodniej pierzei placu, zbudowane z szarego piaskowca koszary dragonów i stajnie artylerii z białego granitu tętniły życiem, pełne kolorów i ruchu.

Popatrzyłem na Komorę Śmierci na rogu po drugiej stronie placu. Kilkoro ciekawskich wciąż jeszcze snuło się wokół złoconego ogrodzenia, lecz ścieżki otoczonego nim skwerku były puste. Przyglądałem się tryskającym i migoczącym fontanom; wróble odkryły już nowe kąpielisko i misy

oblepione były dosłownie szarymi pierzastymi kulkami. Po trawnikach spacerowały dwa czy trzy białe pawie, a szary gołąb siedział na ramieniu jednej z Parek tak nieruchomo, jakby sam wykuty był z kamienia i stanowił część rzeźby.

Gdy odwracałem się niedbale od okna, mą uwagę przykuło pewne poruszenie w grupce gapiów przy wejściu. Za ogrodzenie wszedł młody człowiek i nerwowym krokiem szedł żwirową ścieżką prowadzącą ku brązowym drzwom Komory Śmierci. Zatrzymał się na moment przed Parkami, a gdy podniósł wzrok na trzy tajemnicze oblicza, gołąb poderwał się ze swej wykutej w kamieniu żerdzi, polatał przez chwilę w kółko i odleciał na wschód. Młodzieniec dotknął dłonią twarzy, po czym robiąc jakiś nieokreślony gest, wbiegł po marmurowych schodkach, brązowe drzwi zamknęły się za nim, a po półgodzinie gapie rozeszli się i spłoszony gołąb powrócił na swą żerdź w ramionach bogiń losu.

Założyłem kapelusz i wyszedłem do parku na mały spacer przed kolacją. Gdy przechodziłem przez jego główną aleję, minęła mnie grupa oficerów, a jeden z nich zawołał:

— Witaj, Hildredzie — i zawrócił, by się za mną przywitać.

Był to mój kuzyn Louis, który stał teraz z uśmiechem i stukał szpicrutą w ostrogi.

— Właśnie wróciłem z Westchesteru — oznajmił — skończyła się sielanka; mleko prosto od krowy, wiesz, mleczarki w kapelusikach od słońca, które mówią „A gdzieżby!” i „Nie sądzę”, kiedy pochwalisz ich urodę. Ale teraz chyba życie bym oddał za porządny posiłek u Delmonica. Co słysząc?

— Nic — odrzekłem miłym głosem. — Widziałem dziś rano twój powracający pułk.

— Tak? A ja cię nie widziałem. Gdzie byłeś?

— W oknie pana Wilde’a.

— Do diabła — zaczął zniecierpliwiony — przecież ten człowiek to wariat! Nie rozumiem, dlaczego...

Spostrzegł, jak zirytował mnie swoim wybuchem, i poprosił o wybaczenie.

— Naprawdę, stary — rzekł — nie chciałem uwłaczać człowiekowi, którego lubisz, ale jak Boga kocham, nie rozumiem, co, u licha, możesz mieć wspólnego z panem Wildem. Nie jest dobrze urodzony, ogłędnie mówiąc; jest koszmarnie oszpecony; jego głowa to głowa obłąkanego przestępcy. Sam wiesz, że był w zakładzie dla...

— Ja też tam byłem — przerwałem mu spokojnie.

Louis wydawał się przez chwilę zaskoczony i zmieszany, szybko jednak wrócił do siebie i poklepał mnie serdecznie po ramieniu. — Ty zostałeś zupełnie wyleczony — zaczął, lecz znowu mu przerwałem.

— Chciałeś chyba powiedzieć, że przyznano zwyczajnie, iż nigdy

nie byłem chory.

— Oczywiście, że tak, to właśnie chciałem powiedzieć — roześmiał się.

Nie spodobał mi się ten jego śmiech, bo wiedziałem, że jest wymuszony, ale przytaknałem ochoczo i spytałem, dokąd idzie. Louis obejrzał się za kolegami oficerami, którzy dotarli już niemal do Broadwayu.

— Mieliśmy spróbować koktajlu brunszwickiego, ale prawdę mówiąc, czekałem tylko na sposobność, żeby się wykręcić i pójść do Hawberka. Chodź ze mną, będziesz moją wymówką.

Zastaliśmy Hawberka ubranego ładnie w świeży wiosenny garnitur, stojącego w drzwiach swego warsztatu i wachającego powietrze.

— Postanowiłem właśnie zabrać Constance na mały spacer przed kolacją — odpowiedział na całą serię pytań Louisa. — Zamierzaliśmy przejść się parkowym tarasem wzdłuż rzeki.

W tym momencie ukazała się Constance i zaczęła to blednąć, to rumienić się na przemian, gdy Louis nachylił się do jej obleczonych w rękawiczkę drobnych palców. Próbowałem się wykręcić, twierdząc, że mam spotkanie gdzieś na przedmieściu, ale Louis i Constance nie chcieli o tym słyszeć, a ja zrozumiałem, że oczekują, bym pozostał i zajął uwagę starego Hawberka. Ostatecznie nie zaszkodziłoby też mieć na oku Louisa, pomyślałem, i kiedy zatrzymali jadący na Spring Street konny tramwaj, wsiadłem wraz z nimi i zająłem miejsce obok płatnerza.

Przepiękny ciąg parków i granitowych tarasów z widokiem na rzekę Hudson, których budowę rozpoczęto w 1910 roku, a ukończono jesienią 1917, stał się jednym z najbardziej popularnych miejsc spacerowych metropolii. Rozciągały się one od umocnień artyleryjskich aż po Sto Dziewięćdziesiątą Ulicę, prowadząc nad rzeką i zapewniając piękny widok na wybrzeże Jersey i wzgórza w oddali. Tu i ówdzie spośród drzew wyłaniała się kawiarnia bądź restauracja, a dwa razy w tygodniu w muszlach koncertowych dawały popis garnizonowe orkiestry.

Usiedliśmy na ławce w słońcu u podnóża konnego posągu generała Sheridana. Constance przechyliła parasolkę tak, by osłonić oczy od słońca, i szeptem prowadziła z Louistem rozmowę, której nie mogłem usłyszeć. Stary Hawberk, opierając się o laskę z główką z kości słoniowej, zapalił doskonale cygaro — ja uprzejmie odmówiłem, gdy poczęstował i mnie — i uśmiechał się pod nosem. Słońce wisiało nisko nad lasami Staten Island, zaś zatoka przyoblekła się w różne odcienie złota odbijane od skąpanych w słońcu żagli jednostek cumujących w porcie.

Brygi, szkunery, jachty, pokraczne promy, na których pokładach roilo się od ludzi, statki transportujące całe sznury brązowych, niebieskich i białych wagonów towarowych, dostojne parowce liniowe i pozbawione klasy trampy, statki żeglugi przybrzeżnej, pogłębiarki, barki i panoszące się po całej zatoce beczelne małe holowniki, sapiące i służbowo pogwizdujące — oto jakie

jednostki maciły jak okiem sięgnąć słoneczne wody. Kontrastując swym spokojem z pośpiechem żaglowców i parowców, pośrodku rzeki stała niema flota białych okrętów wojennych.

Z zadumy wyrwał mnie radosny śmiech Constance.

— Czemu się pan tak przygląda? — spytała.

— Niczemu... flocie. — Uśmiechnąłem się.

Wówczas Louis wyjaśnił nam, jak nazywają się poszczególne statki, pokazując jeden po drugim, poczynawszy od tego najbliższej starego Czerwonego Fortu na Governor's Island.

— Ten mały w kształcie cygara to torpedowiec — mówił — w pobliżu stoją takie jeszcze cztery. Nazywają się *Tarpon*, *Sokół*, *Lis Morski* i *Ośmiornica*. Tuż za nimi mamy kanonierki *Princeton*, *Champlain*, *Cicha Woda* i *Erie*. Obok nich stoją krążowniki *Faragut* i *Los Angeles*, a dalej okręty liniowe *Kalifornia*, *Dakota* i *Waszyngton*, który jest naszym okrętem flagowym. Te dwie pękate kupki żelastwa zakotwiczone tuż przy Zamku Williamsa to dwuwieżowe monitory rzeczne *Koszmary* i *Wspaniały*; za nimi taranowiec *Osceola*.

Constance popatrzyła na niego z głębokim podziwem w pięknych oczach. — Ogromnie dużo wiesz jak na żołnierza — powiedziała i wszyscy wybuchliśmy śmiechem.

Po chwili Louis wstał i skinąwszy do nas, podał ramię Constance i oboje udali się na spacer wzdłuż rzeki. Hawberk przyglądał im się przez chwilę, po czym zwrócił się do mnie.

— Pan Wilde miał rację — rzekł. — Znalazłem brakujące taszki i fartuchy „Słynnej Księżęcej” na obskurnym zagraconym poddaszu przy Pell Street.

— Numer 998? — spytałem z uśmiechem.

— Tak.

— Pan Wilde to bardzo inteligentny człowiek — zauważyłem.

— Chciałbym wyrazić mu uznanie w związku z tym jakże ważnym odkryciem — ciągnął Hawberk. — I zamierzam obwieścić światu, że słusznie mu się należy część związanej z tym sławy.

— Nie podziękuję panu za to — odpowiedziałem ostrym tonem — proszę mu o niczym nie wspominać.

— Czy wie pan, ile to jest warte? — spytał Hawberk.

— Pewnie więcej niż pięćdziesiąt dolarów.

— Zbroja wyceniona jest na pięć setek, ale właściciel „Słynnej Księżęcej” wypłaci dwa tysiące temu, kto ją skompletuje; ta nagroda należy po części do pana Wilde'a.

— On jej nie chce! Nie przyjmie jej! — odparłem w złości. — Co pan wie o panu Wildzie? Jemu nie potrzeba pieniędzy. Jest bogaty — albo będzie — bogatszy niż jakikolwiek człowiek żyjący na tym świecie poza mną. Na cóż nam więc dbać o pieniądze — na cóż dbać jemu i mnie, skoro... skoro...

— Skoro co? — zapytał Hawberk, zdumiony.

— Zobaczysz pan — odrzekłem, na powrót czujny.

Popatrzył na mnie spod przymrużonych powiek, w znacznej mierze tak, jak kiedyś patrzył doktor Archer, i już wiedziałem, że uważa mnie za niezdrowego na umyśle. Chyba na szczęście dla siebie samego nie użył w tym momencie słowa „szaleniec”.

— Nie — odpowiedziałem jego nie wyrażonej na głos myśli — nie jestem chory na umyśle; mam głowę równie zdrową jak pan Wilde. Nie mam ochoty na razie wyjaśniać, co planuję, jednakże jest to inwestycja, która opłaci się dużo bardziej niż zwykle złoto, srebro czy kamienie szlachetne. Zapewni ona szczęście i dobrobyt na całym kontynencie... na całej półkuli!

— Ach tak — powiedział Hawberk.

— Ostatecznie zaś — kontynuowałem już spokojniej — zapewni szczęście całemu światu.

— A przy okazji da szczęście i dobrobyt także panu i panu Wilde’owi?

— Otóż to — uśmiechnąłem się, choć chętnie bym go udusił za ton, jakim to powiedział.

Przez jakiś czas patrzył na mnie w milczeniu, po czym rzekł bardzo ostrożnie: — Może tak poniechałby pan swoich ksiąg i studiów, panie Castaigne, i wybrał się na wędrowną po górach albo gdzie indziej? Kiedyś chętnie pan wędkował. Mógłby pan wziąć kije i zasadzić się na pstrągi w Rangelys.

— Wędkowanie mnie już nie interesuje — odparłem bez cienia irytacji w głosie.

— Kiedyś interesowało pana wszystko — mówił dalej — sporty, żeglarstwo, strzelanie, jazda konna...

— Po tamtym upadku zupełnie odeszła mi ochota na jazdę — powiedziałem spokojnie.

— Ach tak, ten pański upadek — rzekł, odwracając wzrok.

Pomyślałem, że dość już tych bzdur, i sprowadziłem rozmowę z powrotem na pana Wilde’a; Hawberk jednak znowu przyglądał się mojej twarzy w sposób wielce dla mnie obraźliwy.

— Pan Wilde... — powtórzył — czy wie pan, co on zrobił dziś po południu? Zszedł na sam dół i nad bramą wejściową przybił szyld, tuż obok mego; było na nim napisane: „WILDE, NAPRAWIACZ REPUTACJI”. Wie pan, kim może być naprawiacz reputacji?

— Owszem — odparłem, tłumiąc w sobie wściekłość.

— Ach tak — powiedział znowu.

Louis i Constance mijając nas niespiesznie, przystanęli i spytali, czy nie chcemy do nich dołączyć. Hawberk spojrział na zegarek. W tym samym momencie z ambrazur Zamku Williamsa wykwił obłok dymu i po wodzie przetoczył się huk wieczornej salwy, odbijając się echem

od wzgórz po drugiej stronie rzeki. Flaga na maszcie zaczęła pełznąć w dół, na białych pokładach okrętów rozbrzmiały trąbki sygnałowe, a na wybrzeżu Jersey zamigotały pierwsze elektryczne latarnie.

Kiedy siedząc obok Hawberka, wracałem do miasta, usłyszałem, jak Constance szepcze do Louisa coś, czego nie rozumiałem, jednak Louis w odpowiedzi wyszeptał: „Moja droga”, a idąc potem przez plac, pochwyliłem znowu szeptane „kochanie” i „moja jedyna”, i wiedziałem już, że przyszedł czas, abym porozmawiał z moim kuzynem Louistem o sprawach najwyższej wagi.

3

Któregoś ranka na początku maja stałem przed stalowym sejfem w mojej sypialni, przymierzając drogocenną, wysadzaną klejnotami koronę. Brylanty błysnęły ogniem, gdy odwróciłem się do lustra, a ciężkie, kute złoto zapłonęło na mej głowie jak aureola. Wspomniałem pełen udręki krzyk Camilli i straszne słowa odbijające się echem wśród mrocznych ulic Carcosy. Były to ostatnie wersy pierwszego aktu i bałem się pomyśleć, co nastąpiło potem — bałem się nawet w promieniach wiosennego słońca, tutaj, w moim własnym pokoju, otoczony znajomymi przedmiotami, uspokajany przez dobiegający z ulicy zgiełk i głosy służby na korytarzu za drzwiami. Jako że zatrute te słowa skapywały powoli do mego serca tak, jak pot w chwili agonii skapuje na pościel łoża śmierci i jest przez nią wchłaniany. Drżąc, zdjąłem z głowy diadem i otarłem czoło, pomyślałem jednak o Hasturze i o mej sukcesyjnej ambicji i przypominałem sobie pana Wilde’a takim, jakiego go ostatnim razem zostawiłem, z twarzą podrapaną i zakrwawioną za sprawą pazurów tamtej diabelskiej istoty, przypominałem sobie też, co mówił — o tak, co mówił. Alarm w sejfie zaczął brzęczeć nieprzyjemnie i wiedziałem, że mój czas się skończył; nie przejąłem się tym jednak i wkładając migoczące koło z powrotem na głowę, odwróciłem się buńczucznie do lustra. Stałem długo, zafascynowany zmieniającym się wyrazem mego spojrzenia. W lustrze odbijała się twarz, która przypominała moją własną, lecz bledsza i tak chuda, że ledwo ją rozpoznawałem. I przez cały czas powtarzałem przez zaciśnięte zęby: — Nadszedł ten dzień! Nadszedł ten dzień! — podczas gdy alarm w sejfie brzęczał i jazgotał, a brylanty wzniecały nad moim czołem iskry i płomienie. Usłyszałem, jak otwierają się drzwi, lecz i tym się nie przejąłem. Dopiero gdy ujrzałem w lustrze dwie twarze — dopiero gdy ponad moim barkiem wyrosło drugie oblicze i dwoje innych oczu napotkało moje — obróciłem się błyskawicznie i chwyciłem z toaletki długi nóż, zaś mój kuzyn odskoczył błdy jak ściana z krzykiem:

— Hildred! Na miłość boską! — Po czym gdy moja dłoń opadła, powiedział: — To ja, Louis, nie poznajesz mnie?

Stałem w milczeniu. Nie mogłem wydusić z siebie słowa. Podszedł do mnie i wyjął mi z ręki nóż.

— Co to wszystko ma znaczyć? — spytał łagodnym głosem. — Jesteś chory?

— Nie — odparłem. Ale wątpię, by mnie usłyszał.

— No już, stary, no już — krzyknął — zdejmij tę mosiężną koronę i chodź do gabinetu. Wybierasz się na maskaradę? Po co ci właściwie ta teatralna błyskotka?

Zadowolony byłem, że pomyślał, iż korona jest zrobiona z mosiądzu i strasu, a jednak wcale sobie tym mojej sympatii nie zyskał. Pozwoliłem mu zabrać ją z mojej dłoni, wiedząc, że najlepiej mu się nie sprzeciwiać. Podrzucił mój wspaniały diadem do góry, a łapiąc go, odwrócił się do mnie z uśmiechem.

— Warta pewnie z pięćdziesiąt centów — stwierdził. — Po co to?

Nie odpowiedziałem, lecz odebrałem od niego drogocenny klejnot i umieszczając go w sejfie, zamknąłem masywne stalowe drzwi. Piekielny brzęk alarmu umilkł natychmiast. Louis przyglądał mi się z zaciekawieniem, lecz jakby nie zauważył, że nagle zapanowała cisza. Powiedział za to coś o sejfie tak, jakby to było pudełko po herbatnikach. Obawiając się, że mógłby zobaczyć i zapamiętać szyfr, zaprowadziłem go do gabinetu. Louis rzucił się na kanapę i przy pomocy długachnej szpicruty polował na muchy. Miał na sobie mundur polowy, kurtkę z galonami i beret i zauważyłem, że buty do jazdy konnej całe utaplane są w czerwonym błocie.

— Gdzie byłeś? — spytałem.

— Trenowałem skoki nad błotnistymi potokami w Jersey — odrzekł. — Nie miałem jeszcze czasu się przebrać, spieszyłem się, żeby się z tobą zobaczyć. Nie masz odrobiny czegoś mocniejszego? Konam ze zmęczenia, przez dwadzieścia cztery godziny nie zsiadałem z konia.

Sięgnąłem do apteczki i dałem mu brandy, którą wypił, krzywiąc się okropnie.

— Paskudztwo — orzekł. — Dam ci adres, gdzie sprzedają brandy, która smakuje jak brandy.

— Dla mnie ta jest w sam raz — odparłem obojętnie. — Stosuję ją do nacierania piersi.

Popatrzył i zamierzył się na kolejną muchę.

— Widzisz, stary — zaczął — chciałbym ci coś zasugerować. Już cztery lata mijają, odkąd zamknąłeś się tutaj jak ten puchacz, nigdy nigdzie nie chodzisz, nie uprawiasz żadnych ćwiczeń dla zdrowia, nie robisz, cholera, nic, tylko ślęczysz nad tymi książkami...

Powiódł wzrokiem po całym szeregu regałów. — Napoleon, Napoleon, Napoleon! — odczytał. — Na Boga, nie masz tutaj nic poza Napoleonami?

— Żałuję, że nie są poprawne w złoto — odrzekłem. — Ale zaczekaj,

owszem, mam inną książkę, *Król w Żółci*. — Popatrzyłem mu w oczy. — Czytałeś?

— Ja? Dzięki Bogu, nie! Nie chcę się obrócić w wariata.

Spostrzegłem, że pożałował swych słów, gdy tylko je wypowiedział. Jest tylko jedno określenie, którego nienawidzę bardziej niż „szaleńca”, a określeniem tym jest „wariat”. Opanowałem się jednak i zapytałem go, dlaczego uważa *Króla w Żółci* za niebezpiecznego.

— Oj, sam nie wiem — odrzekł pospiesznie. — Pamiętam tylko, jakie poruszenie wywołała ta książka, jak potępiały ją kler i prasa. Zdaje się, że autor zastrzelił się po spółdzeniu tej potworności, mam rację?

— O ile wiem, to żyje — odpowiedziałem.

— Może to i prawda — mruknął — takiemu diabłu i kula nie może zaszkodzić.

— To dzieło dotyka wielkich prawd — powiedziałem.

— Tak — odrzekł — „prawd”, które doprowadzają ludzi do obłądu i rujnują im życie. Nie obchodzi mnie, czy książka ta jest, jak mówią, najczystsza esencją sztuki. Zbrodnią było jej napisanie i ja z pewnością nigdy do niej nie zajrzę.

— I przyszedłeś, by tylko to mi powiedzieć? — spytałem.

— Nie — odparł — przyszedłem powiedzieć ci, że się żenię.

Zdawało mi się, że na moment stanęło mi serce, nie odrywałem jednak wzroku od jego twarzy.

— Tak — mówił dalej, uśmiechając się radośnie — żenię się z najśłodsza istotą na ziemi.

— Z Constance Hawberk — powiedziałem jak automat.

— Skąd wiesz? — zawołał zdumiony. — Sam nie wiedziałem aż do tamtego dnia w kwietniu, kiedy spacerowaliśmy nad rzeką przed kolacją.

— Kiedy ma to nastąpić? — spytałem.

— Zamierzaliśmy pobrać się we wrześniu, ale godzinę temu przyszła depesza z rozkazem przenoszącym nasz pułk do Presidio w San Francisco. Wyjeżdżamy jutro w południe. Jutro — powtórzył. — Pomyśl tylko, Hildred, już jutro będę najszczęśliwszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek chodził po tym pięknym świecie, Constance pojedzie ze mną.

Podąłem mu rękę, by pogratulować, a on ścisnął ją i potrząsnął jak dobroduszny głupiec, którym zresztą był — albo którego udawał.

— W prezencie ślubnym dostanę własny szwadron — trąkotał dalej. — Kapitan Louis Castaigne i jego żona, co ty na to, Hildred?

Następnie powiedział mi, gdzie odbędzie się ślub i kto w nim będzie uczestniczył, i kazał obiecać, że przyjdę i będę jego drużbą. Zaciśnąłem zęby i słuchałem tej dziecinnej paplaniny, nie okazując, co czuję, ale...

Zbliżałem się już do granic mojej cierpliwości, więc kiedy poderwał się

z miejsca i strzelając obcasami, aż zadzwoniły ostrogi, oznajmił, że musi lecieć, nie zatrzymywałem go.

— Chcę cię tylko prosić o jedno — rzekłem spokojnie.

— Mów, masz już to jak w banku — zaśmiał się.

— Chcę, żebyś poświęcił mi kwadrans na rozmowę jeszcze dziś wieczór.

— Jasne, skoro sobie życzysz — odparł nieco zaskoczony. — Gdzie?

— Gdziekolwiek, może w parku.

— O której, Hildredzie?

— O północy.

— Na Boga, co to... — zaczął, lecz powstrzymał się i ze śmiechem się zgodził.

Patrzyłem za nim, jak schodził po schodach i oddalał się pośpiesznie, a jego szabla dźwięczała przy każdym kroku. Skręcił w Bleeker Street i wiedziałem już, że idzie spotkać się z Constance. Odczekałem dziesięć minut, po czym ruszyłem w jego ślady, zabierając ze sobą wysadzaną klejnotami koronę i jedwabną szatę z wyhaftowanym Żółtym Znakiem. Kiedy skręciłem w Bleeker Street i wszedłem w bramę oznaczoną szyldem: „WILDE, NAPRAWIA CZ REPUTACJĘ. Trzeci dzwonek”, zobaczyłem krzątającego się po warsztacie Hawberka i chyba usłyszałem głos Constance w salonie, ale unikając obojga, pośpieszyłem po rozklekotanych schodach do mieszkania pana Wilde’a. Zastukałem i wszedłem bez ceregieli. Pan Wilde leżał, jęcząc, na podłodze, twarz miał zalaną krwią, a ubranie w strzępach. Czerwone kropki pstrzyły dywan, który także został porozrywany i postrzępiony w niedawnej, jak się wydawało, walce.

— To ta przeklęta kocica — powiedział, powstrzymując jęki i zwracając ku mnie swe bezbarwne oczy. — Rzuciła się na mnie, gdy spałem. Myślę, że kiedyś jeszcze mnie zabije.

Tego już było za wiele; poszedłem do kuchni i chwytając z szafki tasak, zacząłem szukać bestii z piekła rodem, żeby raz na zawsze zrobić z nią porządek. Poszukiwania nie przyniosły owocu, więc po jakimś czasie poniechałem ich i wróciłem do pana Wilde’a, którego zastałem kucającego na wysokim stołku przy stole. Umył już twarz i zmienił ubranie. Głębokie bruzdy, które kocie pazury wyorały mu w twarzy, wypełniało kolodium, a strzep tkaniny zakrywał ranę na gardle. Oznajmiłem, że zabiję tę kocię, gdy tylko ją napotkam, lecz on pokręcił jedynie głową i otworzył leżącą przed nim księgę. Czytał po kolei nazwiska ludzi, którzy zgłosili się do niego w trosce o swoją reputację, zaś sumy, jakie zgromadził, były porażające.

— Od czasu do czasu kogoś przycisnę — wyjaśnił.

— Któregoś dnia ktoś z tych ludzi pana zamorduje — stwierdziłem.

— Tak pan uważa? — rzekł, pocierając okaleczone uszy.

Bez sensu było się z nim spierać, dlatego wziąłem do rąk manuskrypt zatytułowany „Imperialna Dynastia Ameryki” — po raz ostatni brałem

go do rąk w pokoju pana Wilde'a. Przeczytałem go, czując ciarki i dreszcz przyjemności. Kiedy skończyłem, pan Wilde zabrał ode mnie rękopis i zwracając się w stronę ciemnego korytarzyka, który prowadził z gabinetu do sypialni, zawołał głośno:

— Vance.

I wtedy dopiero zauważyłem kucającego w cieniu mężczyznę. Jak to się stało, że nie spostrzegłem go podczas poszukiwania kota, nie pojmowałem.

— Vance, chodź tutaj — krzyknął pan Wilde.

Cień podniósł się i podpełzł do nas, a ja nigdy nie zapomnę twarzy, która zwróciła się do mnie, gdy padło na nią światło zza okna.

— Vance, to jest pan Castaigne — przedstawił mnie pan Wilde.

Nim skończył mówić, mężczyzna rzucił się na podłogę przy stole, zawodząc i próbując mnie chwycić.

— O Boże! O mój Boże! Pomóż mi! Wybacz mi! O panie Castaigne, niech pan zabierze ode mnie tego człowieka. Nie może pan, nie może pan tak myśleć! Pan jest inny... niech mnie pan ocali! Jestem wrakiem... byłem w domu dla obłąkanych, a teraz... kiedy szło ku lepszemu... kiedy zapomniałem o Królu... o Królu w Żółci i... ale znów oszaleję... oszaleję znowu...

Jego głos przeszedł w rzęzenie, jako że pan Wilde skoczył na niego i prawą rękę zacisnął na gardle mężczyzny. Kiedy Vance osunął się bezwładnie na podłogę, pan Wilde wdrapał się zwinnie na swój stołek i kikutem ręki pocierając sztuczne uszy, zwrócił się do mnie i poprosił o księgę. Zdjąłem ją z półki, a on otworzył. Po chwili poszukiwań wśród pięknie zapisanych stron zakasłał, zadowolony z siebie, i wskazał nazwisko Vance.

— Vance — przeczytał na głos — Osgood Oswald Vance. — Na dźwięk własnego nazwiska mężczyzna na podłodze podniósł głowę i zwrócił w stronę pana Wilde'a wykrzywioną z bólu twarz. Oczy miał nabiegłe krwią, wargi opuchnięte. — Zgłosił się 28 kwietnia — kontynuował pan Wilde. — Zawód: kasjer w Narodowym Banku Seaforth; odbył wyrok za fałszerstwo w Sing Sing, skąd został przeniesiony do Zakładu dla Obłąkanych o Skłonnościach Przystępczych. Ułaskawiony przez Gubernatora Nowego Jorku i zwolniony z Zakładu 19 stycznia 1918. Reputacja nadszarpnięta w Sheepshead Bay. Pogłoski, że żyje ponad stan. Termin naprawy reputacji: natychmiast. Honorarium 1.500 \$. Uwaga: Od 20 marca 1919 zdefraudował łączną sumę 30.000 \$, szanowana rodzina i bezpieczna pozycja społeczna dzięki wpływom wuja. Ojciec: prezes banku Seaforth.

Popatrzyłem na mężczyznę na podłodze.

— Wstawaj, Vance — powiedział łagodnym głosem pan Wilde. Vance podniósł się jak zahipnotyzowany. — Teraz zrobi, co mu każemy — stwierdził pan Wilde, po czym otworzywszy rękopis, odczytał całą historię

Imperialnej Dynastii Ameryki.

Następnie życzliwym, kojącym, cichym głosem omówił najważniejsze punkty z Vance'em, który stał jak zaczarowany. Wzrok miał tak pusty i nieobecny, że zdawało mi się, iż postradał zmysły, o czym napomknąłem panu Wilde'owi, który odrzekł, że to i tak nie ma znaczenia. Z wielką cierpliwością klarowaliśmy Vance'owi jego udział w całej sprawie, a on po jakimś czasie chyba zrozumiał. Pan Wilde wyjaśniał treść rękopisu, korzystając z kilku tomów na temat heraldyki, by poprzeć wyniki swoich badań. Wspomniał o początkach dynastii w Carcosie, o jeziorach, które łączyły Hastur, Aldebaran i tajemnicze Hiady. Opowiedział o Cassildzie i Camilli, o ponurych głębinach Demhe i jeziora Hali.

— A łachman Króla w Żółci szaty skryć musi Yhtill na wieki — wymamrotał, lecz nie wydaje mi się, aby Vance go słyszał.

Wreszcie krok po kroku wprowadził Vance'a w zawiłości Imperialnej genealogii, od Uoht po Thale, od Naotalby i Zjawy Prawdy po Aldony, po czym odrzucając rękopis i notatki na bok, rozpoczął cudowną opowieść o Ostatnim Królu. Przyglądałem mu się zafascynowany i podekscytowany. Zadarł do góry głowę, długie ramiona wyciągnął we władczym geście pełnym dumy i siły, zaś oczy jego zapłonęły głęboko w oczodołach jak dwa szmaragdy. Vance słuchał oszołomiony. Jeśli o mnie chodzi, to kiedy wreszcie pan Wilde skończył i wskazując na mnie, zawołał:

— Oto kuzyn Króla! — w głowie zakręciło mi się z podniecenia.

Nadludzkim wysiłkiem jakoś się opanowując, wyjaśniłem Vance'owi, dlaczego to ja i tylko ja godzien jestem korony, zaś mój kuzyn musi udać się na wygnanie bądź umrzeć. Wy tłumaczyłem, że mojemu kuzynowi nigdy nie wolno się ożenić, nawet wówczas, gdy zrzeknie się wszelkich pretensji, i że pod żadnym pozorem nie wolno mu ożenić się z córką markiza Avonshire, przez co w sprawę wplątana zostałaby Anglia. Pokazałem mu listę z tysiącami nazwisk, sporządzoną przez pana Wilde'a; każdy, kogo nazwisko znalazło się na tej liście, otrzymał Żółty Znak, którego żadna żyjąca istota ludzka nie ośmieli się zlekceważyć. Miasto, stan, kraj cały gotowe były powstać i zadrzeć przed Błądą Maską.

Nadszedł już czas, ludzie powinni poznać syna Hasturu i cały świat winien pokłonić się czarnym gwiazdom, które wiszą na niebie nad Carcosą.

Vance oparł się o stół, twarz schował w dłoniach. Pan Wilde kawałkiem ołówka narysował na marginesie wczorajszego *Heralda* prosty szkic. Był to plan mieszkania Hawberka. Następnie napisał rozkaz i opatrzył go pieczęcią, ja zaś, drżąc jak porażony, podpisałem swój pierwszy nakaz egzekucji, posługując się imieniem Hildred-Rex.

Pan Wilde zgramolił się na podłogę i otwierając kluczem szafkę, zdjął z pierwszej półki podłużne, prostokątne pudełko. Przyniósł je na stół i otworzył. Na bibule w środku leżał nowy nóż, a ja wziąłem go do ręki

i podałem Vance'owi wraz z rozkazem i planem mieszkania Hawberka. Wówczas pan Wilde powiedział Vance'owi, że może odejść. I poszedł sobie, powłócząc nogami jak wygnaniec z dzielnicy nędzy.

Siedziałem przez czas jakiś, obserwując, jak światło dnia gaśnie za kwadratową wieżą kościoła Judson Memorial, aż wreszcie, zbierając rękopis i notatki, wziąłem kapelusz i ruszyłem do drzwi.

Pan Wilde przyglądał mi się w milczeniu. Wyszedszy na korytarz, obejrzałem się za siebie. Pan Wilde nie spuszczał ze mnie swych małych oczek. Za jego plecami w gasnącym świetle gromadziły się cienie. W końcu zamknąłem za sobą drzwi i wyszedłem na ciemniejące ulice.

Nie jadłem niczego od śniadania, ale nie byłem głodny. Jakiś na wpół zagłodzony nędzarz, który stał po drugiej stronie ulicy przy Komorze Śmierci, spostrzegłszy mnie, podszedł i opowiedział historię swojej niedoli. Dałem mu pieniądze, sam nie wiem dlaczego, a on odszedł bez podziękowania. Godzinę później podszedł inny nieszczęśnik i jęklwym głosem też opowiedział swą historię. Miałem w kieszeni czystą kartkę, przedstawiającą zarys Żółtego Znak, i mu ją podałem. Patrzył na nią tępo przez chwilę, po czym podniósł na mnie niepewny wzrok i z przesadną, jak mi się zdawało, troską złożył kartkę i schował za pazuchę.

Elektryczne latarnie migotały wśród drzew, na niebie nad Komorą Śmierci wisiał księżyc w nowiu. Nużyło mnie czekanie na placu; przeszedłem spod Marmurowego Łuku do stajni artyleryjskich i z powrotem do fontanny. Kwiaty i trawa wydzielaly zapach, który wywoływał u mnie niepokój. Woda tryskająca z fontanny igrała ze światłem księżyca, a melodyjny plusk jej spadających kropeł przypominał pobrzękiwanie kolczugi w warsztacie Hawberka. Nie był jednak aż tak fascynujący, a przyciemnione migotanie księżycowego światła na wodzie nie wywoływało uczucia najwyższej przyjemności takiego jak wtedy, gdy promienie słońca przemykały po polerowanej stali pancerza na kolanie Hawberka. Obserwowałem przelatujące nietoperze, zataczające koła nad roślinami wodnymi w misie fontanny, lecz ich szybki, nerwowy lot wywołał u mnie niepokój, dlatego odszedłem znowu, by powłóczyć się bez celu pomiędzy drzewami.

W stajniach artylerii panowała ciemność, lecz w koszarach kawalerii okna oficerów były jasno oświetlone, zaś za bramą twierdzy uwijali się kawalerzyści w polowych mundurach, noszący słomę i uprzęże, i kosze pełne konserw.

Kiedy tak snułem się w tę i z powrotem po asfaltowym chodniku, dwukrotnie zmienił się konny wartownik u bramy. Spojrzałem na zegarek. Już prawie pora. Światła w koszarach gasły jedno po drugim, żelazna brama została zamknięta i co minutę lub dwie przez boczną furtkę przechodził oficer, pozostawiając w nocnym powietrzu stukot ekwipunku i pobrzękiwanie ostróg. Na placu zrobiło się bardzo cicho. Ostatni bezdomny włóczęga został

przeznaczony przez odzianego na szaro parkowego strażnika, tory tramwajowe wzdłuż Wooster Street były puste, a ciszę przerywał jedynie stukot kopyt konia, na którym siedział wartownik, i brzęk jego szabli o łąk siodła. W koszarach kwatery oficerskie nadal były oświetlone, a służący w mundurach przechodzili w tę i z powrotem koło wykuszowych okien. Zegar na nowej wieży kościoła świętego Franciszka Ksawerego wybił dwunastą, a wraz z jego ostatnim smutno brzmiącym uderzeniem furtkę obok spuszczonej bramy minął cień, odpowiedział salutem na salut wartownika, po czym przeszedł przez ulicę, wszedł na plac i skierował się do Benedicka.

— Louis — zawołałem.

Mężczyzna obrócił się na obcasie i podszedł prosto do mnie.

— To ty, Hildred?

— Tak, jesteś punktualny.

Wziął mnie pod rękę i ruszyliśmy niespiesznie w stronę Komory Śmierci.

Trajkotał przez cały czas o swoim ślubie i wdziękach Constance, i o ich wspólnych perspektywach, zwracając moją uwagę na kapitańskie dystynkcje na swoich pagonach, na rękawie i czapce od munduru polowego. Wydaje mi się, że muzyki jego ostróg i szabli słuchałem równie uważnie jak jego dziecinnej paplaniny, aż wreszcie stanęliśmy pod więzami na rogu Czwartej Ulicy, naprzeciw Komory Śmierci. Wówczas roześmiał się i zapytał, jaką mam do niego sprawę. Posadziłem go na ławce pod latarnią i sam usiadłem obok. Popatrzył na mnie z zaciekawieniem tym swoim badawczym wzrokiem, którego tak bardzo obawiam się i nienawidzę u lekarzy. Czułem, że to dla mnie obraza, takie spojrzenie, lecz on tego nie wiedział, zaś ja starannie skrywałem swoje odczucia.

— No, stary — spytał — co mogę dla ciebie zrobić?

Wyjąłem z portfela rękopis i notatki na temat Imperialnej Dynastii Ameryki i patrząc mu prosto w oczy, rzekłem:

— Powiem ci. Daj mi słowo oficera, że przeczytasz ten rękopis od początku do końca, o nic mnie nie pytając. Daj słowo, że tak samo przeczytasz te notatki, i daj słowo, że wysłuchasz tego, co później będę miał ci do powiedzenia.

— Daję słowo, skoro sobie życzysz — odrzekł łagodnym głosem. — Podaj mi te papiery, Hildredzie.

Zaczął czytać, unosząc brwi ze zdziwioną, zagadkową miną, na widok której aż trząśłem się od hamowanej złości. W miarę jak czytał, jego brwi ściagały się, a wargi zdawały się układać w słowo „bzdury”.

Po jakimś czasie wyglądał już na znudzonego, lecz czytał dalej, pewnie przez wzgląd na mnie, usiłując wzbudzić swe zainteresowanie, co przestało być usiłowaniem, gdy na gęsto zapisanych kartach napotkał własne nazwisko, a gdy dotarł do mojego, opuścił kartkę i przez chwilę patrzył na mnie przenikliwie. Dotrzymał jednak słowa i wznowił czytanie, a ja pozwoliłem,

by na wpół uformowane pytanie umarło na jego wargach, pozostając bez odpowiedzi. Kiedy dobiegł do końca i odczytał podpis pana Wilde'a, złożył karty ostrożnie i mi je oddał. Podałem mu notatki, a on oparł się na ławce i zsunął czapkę na czoło chłopięcym gestem, który tak dobrze pamiętałem z czasów szkolnych. Obserwowałem jego twarz podczas czytania, a gdy skończył, zabrałem notatki i razem z rękopisem schowałem do portfela. Wówczas rozwinąłem zwój opatrzone Żółtym Znakiem. Zobaczył znak, lecz zdawało się, że go nie rozpoznał, więc dosyć ostrym tonem przywołałem jego uwagę.

— No widzę — rzekł. — Co to takiego?

— To Żółty Znak — odparłem ze złością.

— Ach, więc to ten znak, powiadasz? — powiedział Louis przypochlebnym głosem, którym rozmawiał ze mną doktor Archer i pewnie rozmawiałby nadal, gdybym się z nim nie rozprawił.

Stłumiłem wściekłość i odpowiedziałem tak spokojnie, jak to tylko możliwe:

— Posłuchaj, czy nie dałeś mi słowa?

— Słucham cię, stary — odparł uspokajająco.

Zacząłem mówić bardzo spokojnie.

— Doktor Archer, posiadłszy w jakiś sposób wiedzę o Imperialnej Sukcesji, usiłował pozbawić mnie mego prawa, twierdząc, że na skutek tamtego upadku z konia przed czterema laty rozwinęła się u mnie choroba umysłowa. Ośmielił się umieścić mnie w zamknięciu w swoim zakładzie w nadziei, że albo doprowadzi mnie do obłądzenia, albo otruje. Nie zapomniałem o tym. Odwiedziłem go wczoraj wieczorem i to była nasza ostatnia rozmowa.

Louis pobladł, ale się nie ruszał. Kontynuowałem tonem triumfu:

— W sprawie, która interesuje pana Wilde'a i mnie, pozostało porozmawiać jeszcze z trzema osobami. Są to: mój kuzyn Louis, pan Hawberk i jego córka Constance.

Louis poderwał się na nogi, ja także wstałem i rzuciłem papier opatrzone Żółtym Znakiem na ziemię.

— Och, nie muszę ci mówić tego, co mam do powiedzenia — krzyknąłem, śmiejąc się triumfalnie. — Ty masz rzec się korony na moją korzyść, słyszysz, rzec się *dla mnie*.

Louis popatrzył na mnie z zatrwożoną miną, pozbierał się jednak i rzekł grzecznie:

— Oczywiście, że zrzekam się... czego to mam się rzec?

— Korony — odpowiedziałem ze złością.

— Oczywiście — zgodził się — zrzekam się jej. I chodź, stary, odprowadzę cię do mieszkania.

— Nie próbuj tu ze mną żadnych doktorskich sztuczek — zawołałem, trzęsąc się z wściekłości. — Nie zachowuj się tak, jakbyś myślał,

że zwariowałem.

— Nonsens — odparł. — Chodźmy, Hildredzie, robi się późno.

— Nie — krzyknąłem — musisz posłuchać. Bo ty nie możesz się ożenić, zabraniam ci. Słyszysz? Zabraniam. Zrzekniesz się korony, a w nagrodę ja skażę cię na wygnanie, lecz jeśli odmówisz, umrzesz.

Próbował mnie uspokoić, ja jednak nareszcie czułem podniecenie i wyjmując długi nóż, zastąpiłem mu drogę.

Oświadczyłem, że znajdą doktora Archera w piwnicy z poderżniętym gardłem, i roześmiałem mu się w twarz, gdy pomyślałem o osobie Vance'a z jego nożem, i podpisanym przeze mnie nakazie.

— O tak, jesteś królem — zawołałem — lecz to ja *będę* królem. Kimże jesteś, by powstrzymać mnie przed władaniem Imperium obejmującym całą ziemię! Urodziłem się jako królewski kuzyn, lecz sam będę królem!

Louis stał przede mną sztywny i błąd jak ściana. Jakiś człowiek nadbiegł nagle Czwartą Ulicą, przekroczył bramę Komory Śmierci, pędem pokonał drogę do brązowych drzwi i rzucił się do środka z okrzykiem osoby obłąkanej, zaś ja śmiałem się do łez, ponieważ rozpoznałem Vance'a i wiedziałem, że Hawberk i jego córka nie stoją już na mojej drodze.

— Idź — krzyknąłem — nie stanowisz już zagrożenia. Nigdy nie ożenisz się z Constance, a jeśli na wygnaniu poślubisz inną kobietę, odwiedzę cię tak, jak wczoraj wieczorem odwiedziłem mojego lekarza. Pan Wilde jutro się tobą zajmie.

Następnie odwróciłem się i popędziłem Piątą Aleją na południe, zaś Louis z okrzykiem przerażenia zrzucił swój pas i szablę i pognął za mną jak wiatr. Na rogu Bleecker Street usłyszałem, że mnie dogania, i wpadłem w bramę z szyldem Hawberka. Krzyknął:

— Stój, bo strzelał! — lecz gdy zobaczył, że popędziłem po schodach na górę, pozostawiając za sobą warsztat płatnerza, dał mi spokój i usłyszałem tylko, iż wali w drzwi i krzyczy, jak gdyby można było głosem obudzić umarłych.

Drzwi pana Wilde'a stały otworem, a ja wpadłem w nie, wołając:

— Dokonało się, dokonało! Niech powstaną narody i ujrzą swego Króla!

Nie mogłem jednak znaleźć pana Wilde'a, więc podszedłem do szafki i wyjąłem ze szkatułki wspaniały diadem. Następnie przyoblekłem się w szatę z białego jedwabiu z wyhaftowanym Żółtym Znakiem, a na głowę włożyłem koronę. Nareszcie byłem Królem, Królem z mocy prawa Hasturu, Królem, ponieważ posiadałem tajemnicę Hiad, a w moich myślach niesło się echo głębin jeziora Hali. Byłem Królem! W pierwszych promieniach świtu rozpęta się burza, która wstrząśnie całym globem. I kiedy tak stałem z każdym nerwem napiętym do granic wytrzymałości, przepełniony radością i doniosłością własnych myśli, od których bliski byłem omdlenia, w ciemnym przejściu pomiędzy pokojami jęknął człowiek.

Chwyciłem łojową lampkę i doskoczyłem do drzwi. Kot minął mnie niczym demon, a lampka zgasła, lecz mój długi nóż szybszy był od bestii i słysząc wrzask, wiedziałem, że dosięgło jej moje ostrze. Przez chwilę nasłuchiwałem, jak miota się i rzuca w ciemności, a gdy to ustało, zapaliłem lampkę i podniosłem ją wysoko. Na podłodze leżał pan Wilde z rozerwanym gardłem. Zrazu pomyślałem, że nie żyje, lecz kiedy patrzyłem, w jego zapadniętych oczach rozbłysła zielona iskra, okaleczona ręka zadrżała, po czym spazm rozciągnął mu wargi od ucha do ucha. Rozpacz i przerażenie w moim sercu ustąpiły na moment miejsca nadziei, lecz gdy się pochyliłem, jego oczy wywróciły się białkiem w górę i skonał. I kiedy stałem jak zahipnotyzowany wściekłością i rozpaczą, widząc, jak moja korona, moje imperium, wszystkie moje nadzieje i ambicje, całe moje życie leży u moich stóp w osobie martwego mistrza, zjawili się *oni*, pochwycili mnie od tyłu i związali tak mocno, że żyły wyszły mi jak postronki, a głos zawiódł, gdy chciałem krzyczeć w napadzie szału. Walczyłem pomimo wszystko, zakrwawiony i rozjuszony, i niejednego policjanta poczuł na sobie moje ostre zęby. Zaś gdy nie mogłem się już ruszać, zacieśnili krąg; zobaczyłem starego Hawberka, za nim upiorną twarz mego kuzyna Louisa, a jeszcze dalej, w kącie, kobietę, pochlipującą cicho Constance.

— O tak! Wszystko już rozumiem! — wrzeszczałem. — Przywłaszczyłeś sobie tron i królestwo! Biada! Biada tobie, któryś skradł koronę Króla w Żółci!

(NOTA WYDAWCY: Pan Castaigne zmarł wczoraj w Zakładzie dla Obłąkanych o Skłonnościach Przestępczych).

Maska

CAMILLA: Powinieneś, panie, zdjąć maskę.

NIEZNAJOMY: Doprawdy?

CASSILDA: Doprawdy, już pora. Wszyscyśmy wyzbyli się przebrania prócz pana.

NIEZNAJOMY: Jestem bez maski.

CAMILLA: (*Przerażona, na boku do Cassildy*) Bez maski? Bez maski!
Król w Żółci, Akt I, scena 2.

1

Chociaż nie znałem się w ogóle na chemii, słuchałem zafascynowany. Wziął do ręki białą lilię, którą to Genevieve przyniosła rankiem z Notre Dame, i wrzucił ją do misy. Płyn natychmiast stracił swą krystaliczną przejrzystość. Przez moment lilia otulona była mlecznobiałą pianą, po zniknięciu której płyn zaczął opalizować. Po powierzchni przemykały odcienie oranżu i szkarłatu, po czym z samego dna, gdzie spoczywała lilia, wystrzelił, jak się zdawało, promień najczystszej słonecznej światła. W tej samej chwili jego ręka sięgnęła do misy i wyciągnęła kwiat.

— Jest to całkiem bezpieczne — wyjaśnił — jeśli wybierze się właściwy moment. Sygnałem jest ten złocisty promień.

Podał mi lilię, a ja wzięłam ją do ręki. Przeobraziła się w kamień, w najczystszy marmur.

— Widzisz — rzekł — jest nieskazitelna. Jaki rzeźbiarz umiałby ją tak odtworzyć?

Marmur był biały jak śnieg, choć głęboko we wnętrzu żyłki lilii odznaczały się bladziuchnym lazurem, zaś głęboko w jej sercu utrzymywał się słaby rumieniec.

— Nie pytaj mnie, jaka jest tego przyczyna — uśmiechnął się, dostrzegając moje zaciekawienie. — Nie mam pojęcia, dlaczego żyłki i serce są zabarwione, ale tak jest zawsze. Wczoraj eksperymentowałem z jedną ze złotych rybek Genevieve — proszę, oto ona.

Rybka wyglądała jak wykuta w marmurze. Gdy jednak podniosło się ją do światła, kamień okazywał się nosić wzór z jasnobłękitnych żyłek, a gdzieś z głębi dobywało się bladoróżowe światło podobne do barwy, która drzemie w opalu. Zajrzałem do misy. Zdawała się znowu wypełniona

najczystszy kryształem.

— A gdybym go teraz dotknął? — spytałem.

— Nie wiem — odrzekł — ale lepiej nie próbuj.

— Jedna rzecz mnie ciekawi — powiedziałem — mianowicie, skąd bierze się ten promień słonecznego światła.

— To prawda, wygląda jak promień słońca — przytaknął. — Nie wiem, pojawia się zawsze, gdy zanurzę w płynie coś żywego. Być może — kontynuował z uśmiechem — być może to iskra życia umyka z powrotem w miejsce, z którego przybyła.

Spostrzegłem, że kpi sobie, i pogroziłem mu malstokiem, ale roześmiał się tylko i zmienił temat.

— Zostań na lunch. Genevieve zaraz przyjdzie.

— Widziałem, że poszła na poranną mszę — rzekłem — i wyglądała świeżo i słodko jak ta lilia. Zanim ją zniszczyłeś.

— Uważasz, że ją zniszczyłem? — spytał poważnie Boris.

— Zniszczyłeś czy uwieczniłeś, jak to rozsądzić?

Usiedliśmy w kącie atelier w pobliżu niedokończonej jeszcze grupy Parek. Rozparł się na sofie, obracając w palcach dłuto i spod zmrużonych powiek patrząc na swoje dzieło.

— Przy okazji — rzekł — skończyłem dopieszczać tę staromodną, akademicką Ariadnę, więc chyba będzie musiała powędrować do Salonu. W tym roku nic więcej już nie przygotuję, lecz po sukcesie, jaki odniosła Madonna, wstyd mi wystawiać coś takiego.

Madonna, niespotykanej urody rzeźba w marmurze, do której pozowała Genevieve, okazała się sensacją zeszłorocznego Salonu 6 . Popatrzyłem na Ariadnę. Pod względem techniki była dziełem wspaniałym, lecz zgadzałem się z Borisem, że świat mógł oczekiwać od niego czegoś lepszego. Mimo wszystko nie sposób było teraz uwierzyć, że uda się dokończyć na czas przed Salonem tę wspaniałą i straszną zarazem grupę częściowo wykutą w marmurze za moimi plecami. Parki będą musiały zaczekać.

Byliśmy dumni z Borisa Yvaina. Przyznawaliśmy się do niego, a on przyznawał się do nas, bazując na tym, że urodził się w Ameryce, choć jego ojciec był Francuzem, a matka Rosjanką. Wszyscy z Akademii Sztuk Pięknych mówili na niego Boris. Były jednak tylko dwie osoby, do których on zwracał się w równie bezpośredni sposób: Jack Scott i ja.

Być może ciepłe uczucia, jakimi mnie darzył, miały związek z moją miłością do Genevieve. Nie, żeby zostało to kiedyś wprost między nami powiedziane. Jednak po tym, jak wszystko się wyjaśniło, a ona oznajmiła mi ze łzami w oczach, że to w Borisie jest zakochana, poszedłem do jego domu i mu pogratulowałem. Czysta serdeczność rozmowy tamtego dnia nie oszukała żadnego z nas, jak mi się zawsze wydawało, lecz przynajmniej jednemu przyniosła pewną ulgę. Nie przypuszczam, by on i Genevieve

kiedykolwiek na ten temat rozmawiali, ale Boris wiedział.

Genevieve była śliczna. Gdy patrzyło się na jej czyste jak u Najświętszej Panienki oblicze, przychodził na myśl *Sanctus* ze Mszy Gounoda ⁷. Zawsze jednak miło mi było, kiedy porzucała tę twarz na rzecz, jak to nazywaliśmy, „Kwietniowych Manewrów”. Często bowiem zdarzało jej się być zmienną jak pogoda w kwietniu. Z rana poważna, dostojna i słodka, w południe roześmiana i kapryśna, a wieczorem taka, jakiej by się zupełnie nikt nie spodziewał. Wołałem ją taką niż natchnioną tym podobnym Madonnie spokojem, który wywoływał drżenie w najgłębszych zakamarkach mego serca. Marzyłem wciąż o Genevieve, gdy Boris przemówił ponownie.

— Co sądzisz o moim odkryciu, Alec?

— Uważam, że jest wspaniałe.

— Nie wykorzystam go jednak, wiesz? Zaspokoję tylko swą ciekawość na tyle, na ile się da, i zabiorę tę tajemnicę do grobu.

— Byłby to cios dla rzeźbiarstwa, nieprawdaż? My, malarze, bardzo już straciliśmy na wynalezieniu fotografii.

Boris skinął, bawiąc się końcówką dłuta.

— To nikczemne odkrycie zdeprawowałoby świat sztuki. Nie, nigdy nikomu nie powierzę mej tajemnicy — rzekł powoli.

Trudno byłoby znaleźć kogoś mniej uczonego w tej materii ode mnie; choć oczywiście słyszałem o źródłach mineralnych tak nasyconych krzemionką, że liście i gałązki, które do nich wpadły, zamieniały się z czasem w kamień. Do pewnego stopnia rozumiałem, jaki zachodzi w nich proces, jak krzemionka atom po atomie zastępuje materię roślinną, skutkiem czego powstaje kamienny duplikat. Przyznam, że nigdy mnie to szczególnie nie interesowało, zaś co do powstałych w ten sposób starożytnych skamieniałości, brzydziłem się nimi. W Borisie natomiast, jak się wydawało, nie obrzydzenie one wzbudziły, lecz ciekawość; zaczął badać temat i natknął się przypadkiem na roztwór, który atakując zanurzony w nim obiekt z niesłychaną siłą, w ciągu sekundy dokonywał tego, do czego natura dochodziła latami. Tylko tyle zdołałem zrozumieć z dziwnej historii, którą mi właśnie opowiedział. Odezwał się znowu po długiej chwili milczenia.

— Boję się niemal, gdy pomyślę, co wynalazłem. Naukowcy oszaleliby na punkcie takiego odkrycia. I było to takie proste; dokonało się właściwie samo. Kiedy myślę o tym wzorze i o nowym pierwiastku wytraconym spośród metalowych opilków...

— Jakim nowym pierwiastku?

— Och, nie wymyśliłem mu nazwy i pewnie nigdy nie wymyślę. Wystarczy już na świecie drogocennych kruszców, za które ludzie podrzynają sobie gardła.

Nastawiłem uszu. — Stworzyłeś złoto, Borisie?

— Nie, coś lepszego... ale spójrz tylko, Alec! — poderwał się

ze śmiechem. — Ty i ja mamy teraz wszystko, czego nam na tym świecie trzeba. Ach, jakże złowrogie i pożądliwe już stało się twoje spojrzenie!

Roześmiałem się także i zażartowałem, że zżera mnie żądza złota i lepiej, abyśmy porozmawiali o czymś innym; i kiedy po chwili weszła Genevieve, temat alchemii był już dawno za nami.

Genevieve cała obleczona była w srebrzystą szarość, od stóp do głów. Światło zaiskrzyło się na łagodnych falach jej jasnych włosów, gdy zwróciła do Borisa policzek; następnie zauważyła mnie i odpowiedziała uprzejmie na moje powitanie. Nigdy dotąd nie zapomniała posłać mi całusa koniuszkami białych palców, więc natychmiast poskarżyłem się na to niedopatrzenie. Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę, którą opuściła tak szybko, że ledwo zdążyła dotknąć mojej; wówczas powiedziała, patrząc na Borisa:

— Musisz poprosić Aleca, by został na lunch.

To też było coś nowego. Dotychczas zawsze prosiła mnie o to sama.

— Poprosiłem — odrzekł krótko Boris.

— Mam nadzieję, że się zgodziłeś? — Zwróciła się do mnie z czarującym, uprzejmym uśmiechem.

Zupełnie, jakbyśmy poznali się nie dalej niż przedwczoraj. Ukłoniłem się nisko. — *J'avais bien l'honneur, madame*⁸.

Ona jednakże, nie podejmując typowego dla nas żartobliwego tonu, wymamrotała jakiś gościnny banał i znikła. Boris i ja popatrzyliśmy na siebie.

— Chyba lepiej, żebym poszedł do domu, nie uważasz? — spytałem.

— Diabli wiedzą — odrzekł szczerze.

Podczas gdy na głos rozważaliśmy stosowność mego oddalenia się, Genevieve pojawiła się w drzwiach z odkrytą głową. Wyglądała przepięknie, lecz zbyt głęboki rumieniec zdobił jej policzki i zbyt jasno błyszczały jej oczy. Podeszła prosto do mnie i wzięła mnie pod rękę.

— Lunch już gotowy. Czy byłam nieuprzejma, Alec? Zdaje się, że bolała mnie głowa, ale już mi przeszło. Chodź tutaj, Borisie — po czym drugą rękę wsunęła mu pod ramię. — Alec wie, że zaraz po tobie nie ma na świecie człowieka, którego bym bardziej lubiła, więc nic się nie stanie, jeśli czasem spotka go mały afront.

— *À la bonheur!* — zawołałem. — Kto powiedział, że w kwietniu nie zdarzają się burze?

— Gotowi? — huknął Boris. — Do startu...

I ramię w ramię pognaliśmy do jadalni, wywołując oburzenie służby. W zasadzie nie bardzo można nas było winić; Genevieve miała osiemnaście lat, Boris dwadzieścia trzy, a ja nie skończyłem jeszcze dwudziestu jeden.

Genevieve, nie pozwalały mi opuścić na dłużej uroczego domostwa przy Rue Sainte-Cécile. Boris i ja pracowaliśmy w tamtym okresie sporo, ale tyle, ile nam się podobało, to znaczy z przerwami, i wszyscy trzej, my dwaj i Jack Scott, trochę się razem wałkoniliśmy.

W pewne spokojne popołudnie snułem się samotnie po domu, oglądając bibeloty, zaglądając w różne zakamarki, wyciągając z najdziwniejszych kryjówek słodkości i cygara, aż wreszcie zatrzymałem się w łazience. Boris, cały w glinie, stał tam, myjąc ręce.

Pomieszczenie tonęło w różowym marmurze z wyjątkiem podłogi, którą wyłożono mozaiką różu i szarości. Pośrodku znajdował się kwadratowy basen wpuszczony w podłogę, prowadziły do niego schodki, a rzeźbione kolumny podpierały pokryty freskami sufit. Przecudny marmurowy Kupidyn sprawiał wrażenie, jakby dopiero co wylądował na swym piedestale po drugiej stronie łazienki. Całe wnętrze było dziełem Borisa i moim. Boris, w roboczym ubraniu z białego płótna, zdrapywał z kształtnych dłoni resztki gliny i czerwonego wosku do modelowania, drocząc się przy tym przez ramię z Kupidynem.

— Widzę cię — mówił — nie próbuj nawet odwracać wzroku i udawać, że mnie nie widzisz. Dobrze wiesz, kto cię stworzył, ty mały szelmo.

Zawsze to mnie przypadało odgrywać przy takich okazjach rolę Kupidyna i kiedy przyszła moja kolej, odpowiedziałem w taki sposób, że Boris chwycił mnie za ramię i powlókł w stronę basenu, grożąc, że mnie wykąpie. Po chwili puścił mnie i pobladł.

— Dobry Boże! — powiedział. — Zapomniałem, że basen pełen jest roztworu!

Zadrzałem lekko i tonem kpiny poradziłem, żeby lepiej pamiętał, gdzie przechowuje swą drogocenną miksturę.

— Na Boga, dlaczego trzymasz całe jezioro tej makabrycznej cieczy akurat w takim miejscu? — spytałem.

— Chcę poeksperymentować z czymś większym — odparł.

— Na przykład ze mną?

— No tak, źle mogły się te żarty skończyć. Chcę jednak zobaczyć, jak roztwór działa na bardziej skomplikowane żywe organizmy. Pomyślałem o wielkim białym króliku — wyjaśnił, idąc za mną do atelier.

Zjawił się Jack Scott w umazanej farbą marynarce, przywłaszczył sobie wszystkie orientalne słodkości, jakie tylko znalazł, spłądował cygarnicę, aż wreszcie wraz z Borisem ulotnił się do Galerii Luksemburskiej, gdzie nowa rzeźba w srebrze i brązie Rodina i pejzaż Moneta bez reszty zajmowały uwagę artystycznej Francji. Wróciłem do atelier i wziąłem się do pracy. Na życzenie Borisa malowałem renesansowy parawan, który miał stanąć w buduarze Genevieve. Jednakże mały chłopczyk, który bez większego zapału mi do tego pozował, tego dnia w żaden sposób nie dał się przekupić

i nie zamierzał być grzeczny. Ani przez moment nie mógł usiedzieć spokojnie, tak iż w ciągu pięciu minut stworzyłem cały plik różnych szkiców małego nicponia.

— Pozujesz czy śpiewasz i tańczysz, mój przyjacielu? — spytałem.

— A czego by pan sobie życzył? — odrzekł z uśmiechem aniołka.

Rzecz jasna, odesłałem go, płacąc za cały dzień — oto jak psujemy naszych modeli.

Gdy urwis poszedł, od niechcienia machnąłem parę razy pędzlem, ale tak bardzo nie byłem w nastroju, że całe popołudnie zajęło mi potem naprawianie szkód, które wyrządziłem, dlatego wyczyściłem w końcu paletę, włożyłem pędzle do miski z czarnym mydłem i przeszedłem niespiesznie do palarni. Doprawdy, moim zdaniem, jeśli nie liczyć pokoi Genevieve, żadne pomieszczenie w domu nie było bardziej wolne od zapachu tytoniu niż to. Znajdowała się tam mieszanina najróżniejszych przedmiotów, a ściany pokrywały wytarte gobeliny. Przy oknie stał słodko brzmiący stary szpinet w całkiem dobrym stanie. Były też stojaki z bronią, czasem starą i matową, a czasem lśniącą i nowoczesną, fragmenty indyjskich i tureckich zbroi na kominku, dwa czy trzy niezłe obrazy i stojak na fajki. To tutaj przychodziliśmy, szukając nowych doznań związanych z paleniem. Wątpię, czy na świecie istniał rodzaj fajki, który nie byłby w owym stojaku reprezentowany. Kiedy już sobie jakąś wybraliśmy, natychmiast wynosiliśmy ją stąd i paliliśmy gdzie indziej, jako że miejsce to w gruncie rzeczy było mroczniejsze i mniej zachęcające niż jakikolwiek inny pokój w całym domu. Tego popołudnia jednak zmierzch zapadał tak spokojnie; brązowe dywaniki i miękkie skóry na podłodze tworzyły senną atmosferę; na wielkiej kanapie piętrzyły się poduszki — znalazłem sobie fajkę i zaszyłem się, by — co niezwykle — popalić sobie w palarni. Fajka, którą wybrałem, miała długi, giętki cybuch i zapalając ją, oddałem się marzeniom. Po chwili zgasała, lecz ja się nie poruszyłem. Marzyłem dalej i po jakimś czasie zasnąłem.

Obudziła mnie najsmutniejsza muzyka, jaką mogłem w życiu usłyszeć. W pokoju panował mrok, nie miałem pojęcia, która to godzina. Księżycowy promień srebrzył jedną z krawędzi starego szpinetu, a lakierowane drewno zdawało się tchnąć dźwiękami, tak jak swoją wonią tchnie szkatułka z sandałowego drewna. Ktoś podniósł się w ciemności i odszedł, popłakując cichutko, ja zaś w swej głupocie zawołałem:

— Genevieve!

Upadła, słysząc mój głos, a ja zdążyłem skłąć sam siebie, zapalając światło i próbując podnieść ją z podłogi. Wzdrygnęła się i jęknęła z bólu. Była bardzo spokojna i spytała o Borisa. Zaniósłem ją na sofę i przeszedłem go poszukać, lecz nie było go w domu, służba zaś już spała. Skonsternowany i niespokojny wróciłem szybko do Genevieve. Leżała tak, jak ją zostawiłem, była bardzo blada.

— Nie mogę znaleźć Borisa ani nikogo ze służby — powiedziałem.

— Wiem — odrzekła słabym głosem. — Boris pojechał z panem Scottem do Ept. I nie pamiętam, żebym cię po niego posyłała.

— W takim razie wróci nie wcześniej niż jutro po południu, a... czy coś cię boli? Wystraszyłem cię tak bardzo, że się przewróciłaś? Ależ ze mnie głupiec, rzecz w tym, że nie całkiem się jeszcze wtedy obudziłem.

— Boris myślał, że poszedłeś do domu na obiad. Wybacz, proszę, że zostawiliśmy cię tutaj na tak długo samego.

— Nieźle sobie pokimałem — rzekłem ze śmiechem. — Spałem tak mocno, że sam nie wiedziałem, czy to wciąż sen, czy już jawa, gdy dotarło do mnie, że patrzę na postać, która się do mnie zbliża, i zawołałem cię po imieniu. Testowałaś ten stary szpinet? Musiałaś grać bardzo cicho.

Wymyśliłbym jeszcze tysiąc kłamstw znacznie gorszych od tego, żeby tylko zobaczyć wyraz ulgi, który pojawił się na jej twarzy. Uśmiechnęła się pięknie i powiedziała swym naturalnym głosem:

— Potknęłam się o tę wilczą głowę i chyba skręciłam kostkę. Zawołaj, proszę, Marie, Alecu, i idź do domu.

Zrobiłem to, o co mnie poprosiła, i wyszedłem, gdy zjawiła się służąca.

3

Nazajutrz w południe, gdy się u nich zjawiłem, zastałem Borisa chodzącego nerwowo po atelier.

— Genevieve śpi — oznajmił. — To skręcenie to drobiazg, ale skąd się wzięła tak wysoka gorączka? Doktor nie potrafi znaleźć dla niej wytłumaczenia — czy może nie chce? — mamrotał.

— Genevieve ma gorączkę? — spytałem.

— O tak, a w nocy chwilami zdawała się majaczyć. Co za los! Moja mała wesoła Genevieve bez najmniejszego powodu do zmartwień powtarzała w kółko, że ma złamane serce, że chce umrzeć!

Moje serce stanęło na moment.

Boris z rękoma w kieszeniach oparł się o drzwi swego atelier i wbił wzrok w podłogę, jego pełne dobroci, bystre oczy zasnuł mrok, nowa bruzda zmartwienia przecięła „warg życzliwych znak, co rodziły uśmiech”. Służąca otrzymała polecenie, by wezwać go, gdy tylko Genevieve otworzy oczy. Czekaliśmy i czekaliśmy, zaś Boris, coraz bardziej nerwowy, snuł się dokoła, grzebiąc w wosku do modelowania i czerwonej glinie. Nagle rzucił się do pomieszczenia obok.

— Chodź i zobacz moją różową wannę pełną śmierci! — zawołał.

— A więc to śmierć? — rzekłem, ulegając jego nastrojowi.

— Życiem byś chyba tego nie nazwał — odpowiedział. Mówiąc to, wyłowił ze szklanej kuli złotą rybkę, która wiła się i wykręcała. — Poślemy

i tę tam gdzie jej poprzedniczkę — gdziekolwiek to jest — oświadczył.

W jego głosie pobrzmiwało gorączkowe podniecenie. Martwy ciężar gorączki przygniótł mi członki i mózg, gdy podążałem za nim do basenu o różowych ściankach pełnego krystalicznie czystej cieczy; upuścił stworzenie. Rybka, spadając, wiła się w złości i rzucała, a jej łuski rozbłyskiwały gorącym oranżem; gdy tylko dotknęła cieczy, zesztyniała i stuknęła ciężko o dno. Wtedy pojawiła się mlecznobiała piana, a po powierzchni cieczy zaczęły przemykać najcudowniejsze odcienie, aż wreszcie promień czystego, spokojnego światła wydobył się z bezdennej, jak się zdawało, głębiny. Boris zanurzył rękę i wyciągnął śliczną, marmurową rzecz o różowawym odcieniu, z błękitnymi żyłkami, połyskującą opalizującymi kropelkami.

— Dziecinna zabawa — wymamrotał i popatrzył na mnie ze znużeniem i nostalgią w oczach — tak jakbym był w stanie rozstrzygnąć jego wątpliwości!

W tym momencie zjawił się Jack Scott i przystąpił do „igraszek”, jak to nazwał, z ogromnym zapalem. Nic nie było w stanie go zaspokoić, uparł się, żeby przeprowadzić eksperyment z białym królikiem tu i teraz. Pragnąłem, aby Boris oderwał na chwilę myśli od swoich trosk, ale nie miałem ochoty oglądać, jak życie uchodzi z ciepłej, żywej istoty, dlatego odmówiłem swojej przy tym obecności. Sięgając po pierwszą lepszą książkę, usiadłem w atelier, żeby poczytać. Co za pech! Trafił mi się akurat *Król w Żółci*. Po chwili, która wydawała się wiekiem, odkładałem lekturę na miejsce, wstrząsany nerwowym dreszczem, gdy weszli Boris i Jack, niosąc marmurowego królika. W tym samym momencie na górze odezwał się dzwonek i z pokoju chorej doszedł krzyk. Boris pognał jak błyskawica, a w następnej chwili już wołał:

— Jack, biegnij po doktora, niech natychmiast przyjdzie. Alec, chodź tutaj.

Poszedłem i stanąłem w drzwiach jej pokoju. Wystraszona służąca wyszła pospiesznie i pobiegła po jakieś lekarstwo. Genevieve, siedząc prosto ze szkarłatnymi policzkami i błyszczącymi oczami, bredziła coś bez przerwy i wyrывała się z delikatnych objęć Borisa. Zawołał mnie do pomocy. Ledwo jej dotknąłem, westchnęła i opadła na poduszki, zamykając oczy, a po chwili — po chwili — kiedy wciąż się nad nią nachylaliśmy, otworzyła je na powrót, spojrzała prosto w twarz Borisa — biedna, rozpalona dziewczyna! — i wyznała swój sekret. W tym samym momencie życie nas trojga zmieniło bieg; więź, która łączyła nas od tak dawna, zerwała się na zawsze, zaś w jej miejsce zrodziła się nowa, jako że Genevieve wyrzekła moje imię i udręczona gorączką, rzuciła z siebie ciężar cierpienia, który dotąd leżał jej na sercu. Zdumiony i oniemiały, spuściłem głowę, podczas gdy twarz płonęła mi żywym ogniem, a w uszach huczała krew, ogłupiając mnie swoim zgiełkiem. Nie będąc w stanie się ruszyć czy wyrzec choćby słowo, słuchałem

jej gorącego wyznania, cierpiąc katusze wstydu i smutku. Nie mogłem jej uciszyć, nie mogłem spojrzeć na Borisa. Wreszcie poczułem rękę na swoim ramieniu i Boris zwrócił ku mnie swą pobladłą twarz.

— To nie twoja wina, Alec, nie rozpaczaj, bo skoro cię kocha...

Nie był jednak w stanie dokończyć, a kiedy doktor wkroczył żwawo do pokoju, mówiąc: „Ech, ta gorączka!”, chwyciłem Jacka Scotta za ramię i wyprowadziłem go szybko na ulicę, tłumacząc:

— Boris woli być teraz sam.

Przeszliśmy przez ulicę i znaleźliśmy się w naszej kamienicy, a Jack jeszcze tego samego wieczoru, widząc, że i ja zmagam się z chorobą, znów poszedł po doktora. Ostatnie, co pamiętam jeszcze w miarę wyraźnie, to słowa Jacka:

— Na Boga, doktorze, co to za straszliwa udręka, że jego twarz przybrała taki wyraz? — Na co ja sam pomyślałem o *Królu w Żółci* i Bładej Masce.

Poważnie się rozchorowałem, w końcu dało o sobie znać napięcie, w którym żyłem od dwóch lat, od owego fatalnego majowego poranka, kiedy Genevieve wyszeptła: „Kocham cię, ale wydaje mi się, że najbardziej kocham Borisa”. Nigdy bym nie pomyślał, że może ono przekroczyć granice mojej wytrzymałości. Na pozór spokojny, oszukiwałem sam siebie. Chociaż wewnętrzna walka szarpała mną noc w noc i leżąc samotnie w pokoju, przeklinałem siebie za buntownicze myśli oznaczające brak lojalności wobec Borisa i bycie niegodnym Genevieve, to rano zawsze przynosił ulgę, tak iż wracałem do Genevieve i do mego drogiego Borisa z sercem umytym do czysta przez nocne nawałnice.

Ani jednym słowem, czynem czy choćby myślą, będąc z nimi, nie zdradziłem się ze swym smutkiem nawet przed samym sobą.

Maska, którą nałożyłem na twarz, by oszukać samego siebie, nie była już dłużej maską, była częścią mnie. Noc ją ze mnie zdzierała, odstawiając prawdę, która się pod nią dławiała; nikt tego jednak nie widział poza mną, a gdy dzień wstawał, maska sama, z własnej woli powracała. Oto jakie myśli przemykały przez mą udręczoną głowę, gdy leżałem chory — beznadziejnie płątały się z wizjami białych stworzeń, ciężkich jak kamień, pełzających w basenie Borisa, z obrazem wilczej głowy na podłodze, toczącej pianę i gryzącej Genevieve, która leżała obok i się uśmiechała. Myślałem też o Królu w Żółci spowitym w fantastyczne barwy zszarganej opończy i o gorzkim krzyku Cassildy: „Nie na nas, o Królu, nie na nas!”. Gorączkowo usiłowałem to od siebie odsunąć, lecz zobaczyłem jezioro Hali, wąskie i gładkie, bez jednej zmarszczki na wodzie, nieporuszone najlżejszym podmuchem, i ujrzałem za księżycem wieże Carcosy. Aldebaran, Hiady, Alar, Hastur szybowwały w chmur rozdarcia, które pędząc, trzepotały i łopotały jak targany wiatrem łachman Króla w Żółci. Pośród tego wszystkiego nie opuszczała mnie jedna zdrowa myśl — nic nią nie zachwiało, niezależnie

od tego, co jeszcze działo się w mojej zaburzonej głowie — myśl, że głównym powodem mego istnienia jest konieczność wypełnienia jakiegoś zobowiązania wobec Borisa i Genevieve. Co to było za zobowiązanie? Jego charakter nigdy mi się w pełni nie objawił; czasem zdawało mi się, że mam ich chronić, czasem, że wspierać w trudnych chwilach. Cokolwiek to w istocie być miało, ciężar owej misji spoczywał wyłącznie na mnie i ani przez chwilę nie byłem aż tak chory czy aż tak słaby, by nie odpowiedzieć na to powołanie z całej mojej duszy. Nieustannie otaczało mnie mnóstwo twarzy, przeważnie obcych, kilka jednak rozpoznałem, był wśród nich Boris. Później dowiedziałem się, że to niemożliwie, ale ja wiem, że pochylał się nade mną przynajmniej raz. Poczułem tylko dotyk, usłyszałem odległe echo jego głosu, po czym me zmysły na powrót spowiły ciężkie chmury, a on zniknął, ale *stał* tam i pochylał się nade mną przynajmniej *raz*.

Aż wreszcie któregoś ranka ocknąłem się i zobaczyłem promienie słońca padające na moje łóżko, a obok siedział, czytając, Jack Scott. Nie miałem siły, by odezwać się dostatecznie głośno, nie byłem w stanie jasno myśleć ani niczego sobie przypomnieć, ale zdołałem uśmiechnąć się słabo, gdy oczy Jacka napotkały moje, a kiedy poderwał się i spytał żarliwie, czy czegoś nie potrzebuję, wyszeptalem:

— Tak... Borisa.

Jack podszedł do wezgłowia łóżka i nachylił się, by poprawić mi poduszkę; nie widziałem jego twarzy, jednak odrzekł zdecydowanie:

— Musisz zaczekać, Alec; zbyt słaby jesteś, by się z kimkolwiek widzieć, nawet z Borisem.

Czekałem i nabierałem sił; po kilku dniach byłem w stanie spotkać się, z kim chciałem, w międzyczasie jednak myślałem i wszystko sobie przypominałem. Od chwili gdy cała przeszłość powróciła do mnie wyraźnie, nie miałem cienia wątpliwości, co powinienem zrobić, gdy przyjdzie pora, i czułem pewność, że Boris poprze moją decyzję, wiedziałem, że spojrzy na to tak samo jak ja. Nie prosiłem już, by wzywano kogokolwiek. Ani razu nie zapytałem, dlaczego nie ma od nich żadnej wiadomości; dlaczego w ciągu tego tygodnia, kiedy leżałem, nabierając sił, ani razu nie usłyszałem, by ktoś wypowiedział ich imiona. Pochłonięty swym poszukiwaniem najważniejszego rozwiązania i słabą, lecz zdecydowaną walką przeciwko rozpacz, która mnie ogarniała, pogodziłem się zwyczajnie z powściągliwością Jacka, zakładając, iż boi się o nich mówić, żebym przypadkiem nie zaczął jak niesforne dziecko domagać się ich widzenia. Tymczasem w kółko od nowa zadawałem sobie pytanie, jak to będzie, gdy życie zacznie się dla nas trojga od nowa? Odrodzimy nasze relacje, będą dokładnie takie jak przed tym, gdy zachorowała Genevieve. Będziemy z Borisem patrzeć sobie w oczy i nie będzie w tym spojrzeniu ani urazy,

ani tchórzostwa, ani nieufności. Pobędę znowu przez jakiś czas w ich cudownym, przytulnym domu, po czym bez słowa wyjaśnienia czy wymówki zniknę z ich życia na zawsze. Boris będzie wiedział; Genevieve — jedyna pociecha dla mnie w tym, że nigdy się nie dowie. Zdawało mi się, kiedy tak o tym rozmyślałem, że odkryłem wreszcie znaczenie owego poczucia zobowiązania, które nie opuszczało mnie przez całą gorączkę, że znalazłem na nie jedyną możliwą odpowiedź. Kiedy więc byłem całkiem gotowy, przywołałem pewnego dnia Jacka i rzekłem:

— Jack, chcę się natychmiast widzieć z Borisem. I przekaz moje najserdeczniejsze pozdrowienia dla Genevieve...

Gdy wreszcie dotarło do mnie, iż oboje nie żyją, wpadłem w taki szal, że tę odrobinę sił, którą odzyskałem po chorobie, straciłem znowu ze szczętem. Miotalem się i kłamałem, aż znowu się rozchorowałem i przyszedłem do siebie dopiero po kilku tygodniach jako dwudziestojednolatek przekonany, iż jego młodość minęła bezpowrotnie. Zdawało się, że nie jestem w stanie dłużej cierpieć, i pewnego dnia, gdy Jack wręczył mi list i klucze do domu Borisa, przyjąłem je spokojnie, domagając się jednocześnie, żeby mi o wszystkim opowiedział. Okrucieństwem z mojej strony było go o to prosić, ale musiało do tego dojść, więc oparł się ciężko na swych chudych rękach i otworzył na powrót ranę, która nigdy do końca się nie zabiłniła. Zaczął bardzo spokojnie:

— Alec, jeżeli nie wiesz o czymś, o czym ja sam nie mam pojęcia, zrozumiesz z tego, co zaszło, nie więcej ode mnie. Przypuszczam, że wolałbyś nie znać szczegółów, ale musisz się o nich dowiedzieć; gdybym tak nie uważał, oszczędziłbym ci tej relacji. Bóg świadkiem, że chciałbym, aby mi oszczędzono konieczności jej składania. Powiem krótko:

Tamtego dnia, gdy zostawiłem cię pod opieką doktora i wróciłem do Borisa, zastałem go przy pracy nad Parkami. Genevieve, jak mi powiedział, spała po lekach. Podobno zachowywała się, jakby zupełnie postradała zmysły. On pracował, nic już więcej nie mówiąc, a ja mu się przyglądałem. Nie minęło dużo czasu, gdy spostrzegłem, że trzecia figura z grupy — ta patrząca na wprost, spoglądająca z góry na cały świat — ma jego twarz; nie taką, jaką znałeś, lecz taką, jaką zobaczyłem wtedy i widziałem już do końca. To właśnie jedna z zagadek, które chciałbym kiedyś wyjaśnić, ale nigdy nie zdołałem.

Cóż, on pracował, ja przyglądałem mu się w milczeniu i trwało to niemal do północy. Wówczas usłyszeliśmy, jak otwierają się i zamykają gwałtownie drzwi, i coś poruszyło się szybko w pomieszczeniu obok. Boris rzucił się na korytarz, ja za nim, lecz już było za późno. Leżała na dnie basenu z rękoma skrzyżowanymi na piersi. A Boris strzelił sobie w serce... — Jack zamilkł, pod oczami wystąpiły mu kropelki wilgoci, zadrżały chude policzki. — Zaniósłem go do jego pokoju. Następnie wróciłem i spuściłem z basenu ten

diabelski płyn, po czym odkręciłem wszystkie krany i spłukałem z marmuru każdą najmniejszą kropelkę. Gdy wreszcie ośmieliłem się zejść po stopniach, znalazłem ją tam leżącą, białą jak śnieg. W końcu zdecydowałem, co należy zrobić, poszedłem do laboratorium i najpierw wylałem płyn z misy do kanalizacji, a potem opróżniłem każdy jeden słój i każdą butelkę. W kominku leżało trochę drewna, więc rozpaliłem ogień i rozbijając zamki w szafce Borisa, spaliłem wszystkie papiery, zeszyty i listy, jakie tam znalazłem. Młotkiem z atelier rozbiłem na kawałeczki puste butelki, po czym ładując je do kubła na węgiel, zaniósłem do piwnicy i wrzuciłem do pieca. Musiałem zrobić sześć kursów, ale na koniec nie został nawet ślad po czymkolwiek, co mogłoby dopomóc w odkryciu opracowanej przez Borisa formuły. I wtedy dopiero odważyłem się wezwać doktora. To dobry człowiek i obaj zrobiliśmy, co w naszej mocy, by zachować wszystko w tajemnicy. Bez niego na pewno by mi się to nie udało. Opłaciliśmy służbę i odesłaliśmy wszystkich na wieś, gdzie stary Rosier karmi ich bajeczkami o podróżach Borisa i Genevieve w bardzo odległe miejsca, skąd nie wrócą w ciągu kilku najbliższych lat. Pochowaliśmy Borisa na cmentarzu w Sevres. Poczciwe chłopisko z tego doktora, wie, jak ulitować się nad człowiekiem, który nie mógł już więcej znieść. Wystawił akt zgonu, podając za przyczynę chorobę serca, i o nic mnie nie pytał. — W tejże chwili Jack, podnosząc głowę z dłoni, powiedział: — Otwórz list, Alec; jest do nas obu.

Rozerwałem kopertę. Był to testament Borisa z datą sprzed roku. Zapisał wszystko Genevieve, a w razie jej bezdzietnej śmierci ja miałem przejąć dom przy Rue Sainte-Cécile, zaś Jack Scott miał zostać zarządcą Ept. Po naszej śmierci majątek miał powrócić do rodziny jego matki w Rosji z wyjątkiem marmurowych rzeźb, których był twórcą. Te zapisał mnie.

Litery zamazały nam się przed oczami, a Jack wstał i podeszedł do okna. Po chwili wrócił i usiadł. Bałem się tego, co zaraz powie, jednak przemówił z typową dla siebie prostotą i delikatnością.

— Genevieve leży w pokoju z rzeźbami przed figurą Madonny. Madonna czule się nad nią pochyla, a Genevieve uśmiecha się do jej spokojnej twarzy, która bez niej nigdy by nie powstała. — Głos mu się załamał, lecz chwycił mnie za rękę, mówiąc jeszcze: — Odwagi, Alec.

Nazajutrz rano wyjechał do Ept, by wypełnić ostatnią wolę zmarłego.

Jeszcze tego samego wieczoru wziąłem klucze i poszedłem do domu, który tak dobrze znałem. Wszystko było na swoim miejscu, lecz cisza brzmiała okropnie. Choć podchodziłem dwa razy do drzwi pokoju z rzeźbami, nie mogłem zmusić się, aby wejść. To było ponad moje siły. Przeszedłem do palarni i usiadłem przed szpinetem. Na klawiszach leżała mała koronkowa

chusteczka, a ja odwróciłem wzrok, czując, że się dławię. Było oczywiste, że nie mogę zostać, więc pozamykałem wszystkie drzwi, wszystkie okna i bramy, tak od frontu, jak i z tyłu, i odszedłem. Nazajutrz rano Alcide spakował mój sakwojaż, a ja zostawiając mu pod opieką moje mieszkanie, wsiałem do Orient Ekspresu do Konstantynopola. Podczas dwóch lat, które spędziłem, włóczę się po Wschodzie, początkowo w listach nigdy nie wspominaliśmy Genevieve ani Borisa, stopniowo jednak ich imiona zaczęły się do naszej korespondencji zakradać. Szczególnie dobrze pamiętam pewien fragment jednego z listów Jacka, będącego odpowiedzią na jeden z moich:

„To, co powiedziałaś mi o Borisie, który pochylał się nad Tobą, gdy leżałaś w gorączce, który dotykał Twojej twarzy i do Ciebie mówił, rzecz jasna, nie daje mi spokoju. To, co opisałaś, musiało mieć miejsce dwa tygodnie po jego śmierci. Powtarzam sobie, że to tylko sen albo majaki, ale takie wyjaśnienie mnie nie satysfakcjonuje — Ciebie zapewne też”.

Pod koniec drugiego roku, będąc w Indiach, dostałem od Jacka list tak do niego niepodobny, że postanowiłem natychmiast wracać do Paryża. Pisał:

„Wiedzie mi się dobrze i sprzedaję wszystkie swoje obrazy, jak na artystę, któremu nie potrzeba pieniędzy, przysłało. O nic nie muszę się troszczyć, a jednak niespokojny jestem bardziej, niż gdyby każdy dzień te troski niósł. Nie potrafię pozbyć się dziwnego niepokoju o Ciebie. Nie jest to obawa, raczej zapierające dech w piersiach oczekiwanie — czego, Bóg raczy wiedzieć! Mogę tylko powiedzieć, że bardzo mnie wyczerpuje. Po nocach śnisz mi się zawsze Ty i Boris. Rano niczego nie pamiętam, ale budzę się co dzień z walącym sercem i do wieczora niepokój narasta, dopóki nocą nie zasnę, by doznać znów tego samego. Jestem już wycieńczony i postanowiłem przerwać ten chorobliwy stan. Muszę się z Tobą zobaczyć. Mam przyjechać do Bombaju czy Ty powrócisz do Paryża?”

Wysłałem mu telegram, aby oczekiwał mnie wraz z przybyciem następnego parowca.

Gdy się spotkaliśmy, pomyślałem, że niewiele się zmienił; ja zaś jego zdaniem wydawałam się w doskonałej formie. Przyjemnie było usłyszeć znów jego głos i siedząc tak i gawędząc o tym, co nam jeszcze los może przynieść, poczuliśmy, jak miło jest cieszyć się życiem w tak słoneczny, wiosenny dzień.

Spędziliśmy tydzień w Paryżu, po czym pojechałem z nim na tydzień do Ept, przede wszystkim jednak udaliśmy się na cmentarz w Sèvres, gdzie spoczywał Boris.

— Może ustawilibyśmy Parki w tej małej kępie drzew nad jego grobem?
— spytał Jack, zaś ja odpowiedziałem:

— Myślę, że to Madonna powinna czuwać nad grobem Borisa.

Samopoczucie Jacka jednak wcale się nie poprawiło od mego powrotu.

Sny, których nie był w stanie przypomnieć sobie choćby w najbardziej ogólnym zarysie, nadal go nawiedzały i twierdził, że wrażenie zapierającego dech w piersiach oczekiwania czasami dosłownie go dławi.

— Widzisz, przynoszę ci więcej szkody niż pożytku — powiedziałem. — Spróbuj poszukać jakiejś odmiany beze mnie.

I tak oto wyruszył na samotną wędrowkę po Wyspach Normandzkich, zaś ja udałem się do Paryża. Od mego powrotu nie byłem jeszcze w domu Borisa — teraz moim — lecz wiedziałem, że kiedyś muszę zrobić ten krok. Jack doglądał go pod moją nieobecność, była tam też służba, więc pozbyłem się własnego lokum i przenieśliśmy się na Rue Sainte-Cécile. Zamiast wstrząsu, którego się obawiałem, znalazłem tam spokój, który pozwolił mi bez przeszkód malować. Odwiedziłem wszystkie pomieszczenia — oprócz jednego. Nie potrafiłem zmusić się, by wejść do pokoju z rzeźbami, gdzie leżała Genevieve, a jednak czułem, jak z dnia na dzień rośnie we mnie tęsknota, by spojrzeć na jej twarz, by obok niej uklęknąć.

W pewne kwietniowe popołudnie leżałem rozmarzony w palarni, dokładnie tak jak tamtego dnia przed dwoma laty, i bezwiednie wodziłem wzrokiem po płowych wschodnich dywanikach w poszukiwaniu wilczej skóry. Dostrzegłem w końcu spiczaste uszy i splaszczony, okrutny łeb i przypominałem sobie sen, w którym widziałem leżącą przy nim Genevieve. Na wytartych gobelinach wciąż wisiały hełmy, wśród nich stary hiszpański morion, który założyła Genevieve tamtego razu, gdy zabawialiśmy się fragmentami starodawnych zbroi. Zwróciłem swe oczy na szpinet; każdy poźółkły klawisz zdawał się opowiadać o pieśczości jej dłoni, zaś ja wstałem, przyciągany siłą namietności do zamkniętego pokoju z rzeźbami. Ciężkie drzwi otworzyły się do środka pod naciskiem moich drżących dłoni. Przez okno wlewało się światło, muskając złotem skrzydła Kupidyna i tworząc aureolę na czole Madonny. Jej czuła twarz pochylała się litościwie nad marmurową figurą tak nieskazitelnie czystą, że uklękłem i się przeżegnałem. Genevieve leżała w cieniu pod Madonną, a jednak przez biel jej ramion przeziarał blady lazur żył, zaś pod złożonymi czule dłońmi fałdy sukni zabarwione były na najsubtelniejszy róż, jak gdyby z jej piersi dobywało się delikatne, ciepłe światło.

Nachylając się z pękającym sercem, dotknąłem marmurowych fałd wargami, po czym wycofałem się bezgłośnie do pogrążonych w milczeniu pokoi.

Zjawiała się służąca z listem, więc usiadłem w niewielkiej oranżerii, żeby go przeczytać; kiedy już jednak miałem złamać pieczęć, widząc, że dziewczyna nie rusza się z miejsca, spytałem, czego sobie życzy.

Wyjąkała coś o białym króliku, którego złapano w domu, i zapytała, co ma z nim zrobić. Poleciałem jej wypuścić zwierzę do otoczonego murem ogrodu za domem i otworzyłem list. Był od Jacka, wydał mi się

jednak tak pozbawiony sensu, że pomyślałem, iż chłopisko musiało postradać rozum. Zawierał jedynie litanie błagań, bym nie opuszczał domu, dopóki on nie wróci; nie umiał powiedzieć mi dlaczego, wszystko przez te jego sny, jak twierdził — niczego nie umiał wyjaśnić, ale był pewien, że nie wolno mi opuścić domu przy Rue Sainte-Cécile.

Gdy skończyłem czytać, podniosłem wzrok i ujrzałem tę samą co wcześniej służącą, która stała teraz w drzwiach i trzymała szklane naczyne, a w nim pływające dwie złote rybki.

— Umieść je w akwarium i powiedz, dlaczego wciąż mi przeszkadzasz — rzekłem.

Tłumiąc jakby szloch, wlała wodę wraz z rybkami do akwarium po drugiej stronie oranżerii i odwracając się do mnie, poprosiła, bym zwolnił ją ze służby. Twierdziła, że ludzie robią jej psikusy, najwyraźniej pragnąc wpakować ją w kłopoty; marmurowy królik został skradziony, a na jego miejsce przyniesiono do domu żywego; dwie precudne kamienne rybki znikły, a ona znalazła właśnie te dwie najzwyklejsze żywe, trzepoczące się na podłodze jadalni. Uspokoilem ją i odesłałem, mówiąc, że sam się rozejrzę. Wszedłem do atelier; nie było tam nic poza moimi płótnami i kilkoma odlewami — i poza marmurową białą lilią. Ujrzałem ją na stole po drugiej stronie pomieszczenia. Podszedłem tam, rozszłoszczony. Jednakże kwiat, który podniosłem z blatu, był świeży i delikatny i wypełniał powietrze swym zapachem.

Wtedy nagle zrozumiałem i rzuciłem się korytarzem do pokoju z rzeźbami. Otworzyłem drzwi na oścież, słońce padło mi na twarz, a Madonna uśmiechała się w blasku niebiańskiej chwały, gdy Genevieve podniosła z marmurowej kanapy swą rumianą twarz i otworzyła senne oczy.

W Smoczym Dworze

*Ty, którego serce dla tych, co w piekle, płonie,
W piekle, którego ogień i ciebie wszak wchłonie,
Jak długo wołać będziesz: „Ach, przebacz im, Boże”,
Kim żeś, by słuchał cię Bóg na swym niebieskim tronie?*

W kościele Świętego Barnaby skończyły się właśnie nieszpory; księża odeszli od ołtarza; mali chórzysci przeszli przez prezbiterium i usiedli w stallach. Szwajcar w strojnym mundurze przemaszerował południową nawą, co czwarty krok stukając laską o kamienną posadzkę; za nim pojawił się elokwentny kaznodzieja i wspaniały człowiek, wielbny C.

Zajmując miejsce w pobliżu balustrady oddzielającej prezbiterium od naw, odwróciłem się twarzą do zachodniej strony kościoła. Pozostali ludzie znajdujący się pomiędzy ołtarzem a amboną także się tam zwrócili. Przez chwilę dał się słyszeć szelest i szuranie, kiedy zgromadzeni siadali znowu; kaznodzieja wspiął się po schodach na ambonę i ucichło organowe solo.

Brzmienie organów u Świętego Barnaby zawsze wydawało mi się wielce interesujące. Misterne, wyuczone, za bardzo wręcz, bym mógł je w pełni docenić z moją mizerną znajomością tematu, zawsze zdradzało wielką, chłodną inteligencję. Co więcej, dało się w nim wyczuć francuski smak: smak iście monarszy, opanowany, pełen godności i powściągliwości.

Dziś jednakże od pierwszego akordu wychwyciłem zmianę na gorsze, zmianę złowieszczą. Podczas nieszporów grały przeważnie organy w prezbiterium, akompaniując pięknie śpiewającym chórzystom, od czasu do czasu jednak, zupełnie bezsensownie, jak się zdawało, z zachodniej połowy chóru, gdzie stały organy główne, uderzały ciężkie dźwięki, wdzierając się w niebiański spokój czystych głosów. Że brzmiało to ostro i fałszywie, to mało powiedziane, nie zdradzało przy tym jednak braku umiejętności. Kiedy tak powtarzało się raz za razem, przyszło mi na myśl coś, o czym przeczytałem w moich książkach na temat architektury: starodawny zwyczaj konsekrowania chóru, gdy tylko został zbudowany, tak iż nawa główna, wykańczana nierzadko pół wieku później, czasem nie była pobłogosławiona w ogóle; zacząłem się zastanawiać mimo woli, czy nie było tak w przypadku Świętego Barnaby i czy coś, co zazwyczaj nie miało wstępu do chrześcijańskiej świątyni, nie zakradło się przypadkiem niepostrzeżenie i nie zawładnęło zachodnim chórem. O takich zdarzeniach również czytałem,

ale już nie w książkach o architekturze.

Przypomniałem sobie jednak, że Święty Barnaba ma może ze sto lat, nie więcej, i uśmiechnąłem się na to niedorzeczne skojarzenie średniowiecznych przesądów z owym przykładem pogodnego osiemnastowiecznego rokoka.

Nieszpory jednak się skończyły i powinno teraz rozbrzmieć kilka spokojnych akordów skłaniających do medytacji podczas oczekiwania na naukę. Zamiast nich kakofonia z tyłu kościoła rozgrywała się wraz z odejściem księży, jakby nic nie było w stanie nad nią zapanować.

Należę do przedstawicieli starszego i prostszego pokolenia, którzy nie przepadają za doszukiwaniem się w sztuce psychologicznych subtelności; nigdy też nie próbowałem znaleźć w muzyce niczego poza melodią i harmonią, ale czułem, że w labiryncie dźwięków, które wydobywały się teraz z instrumentu, coś jakby próbowało uciec przed pościgiem. W tę i z powrotem goniły owo coś pedały, a klawisze wyśpiewywały głośno swe poparcie. Biedne diabły! Kimkolwiek było, nie mogło mieć wielkiej nadziei na ucieczkę!

Moje nerwowe poirytowanie przeszło w złość. Czyja to była sprawka? Jak ten ktoś ośmielał się grać w ten sposób podczas nabożeństwa? Popatrzyłem po ludziach koło mnie: nikt nie wydawał się w najmniejszym stopniu zaniepokojony. Łagodne spojrzenia klęczących zakonnic nadal zwróconych do ołtarza nie straciły nic ze swego nabożnego zapatrzenia w bładym cieniu białych kornetów. Strojna dama obok mnie wpatrywała się wyczekująco w wielbego C. Wyraz twarzy miała taki, jakby organy wyśpiewywały *Ave Maria*.

Kaznodzieja wreszcie uczynił znak krzyża i nakazał ciszę. Odwróciłem się do niego z zadowoleniem. Jak dotąd nie zaznałem odpoczynku, na który tak liczyłem, wchodząc tego popołudnia do Świętego Barnaby.

Wyczerpany byłem po trzech nocach fizycznych cierpień i mentalnego niepokoju — ostatnia noc była najgorsza, i to właśnie wycieńczone ciało i obolała, nadwrażliwa duszę przyniosłem do mego ulubionego kościoła, pragnąc ukojenia. Ukojenia po tym, jak przeczytałem *Króla w Żółci*.

— „Gdy słońce wszędzie, wracają i kładą się w swych legowiskach”.⁹

Wielbny C. wypowiedział te słowa opanowanym głosem, rozglądając się spokojnie po zgromadzeniu. Moje oczy zwróciły się, nie wiedzieć czemu, ku tyłom kościoła. Organista wstał zza organów i przechodził przez chór, kierując się do wyjścia, spostrzegłem, jak znika za małymi drzwiami wiodącymi na schody, które prowadzą wprost na ulicę. Był szczupłym mężczyzną, a absolutna biel jego twarzy kontrastowała ostro z głęboką czernią płaszcza. „Idź z Bogiem! — pomyślałem. — Ty i ta twoja upiorna muzyka! Mam nadzieję, że to twój uczeń zagra końcowe solo”.

Z uczuciem ulgi — z głębokim, spokojnym uczuciem ulgi odwróciłem się

z powrotem do łagodnej twarzy na ambonie i skupiłem się na płynących stamtąd słowach. Wreszcie znalazłem spokój ducha, którego szukałem.

— Moje dzieci — mówił kaznodzieja — prawdą, którą ludzkiej duszy najtrudniej jest pojąć, jest ta, że nie ma czego się lękać. Nie sposób dowieść, że nic tak naprawdę nie może wyrządzić jej krzywdy.

„Ciekawa nauka — pomyślałem — jak na katolickiego księdza. Zobaczmy, jak pogodzi ją z doktryną ojców kościoła”.

— Nic tak naprawdę nie może wyrządzić krzywdy duszy — ciągnął niezwykle spokojnym, wyraźnym głosem — ponieważ...

Nigdy jednak nie usłyszałem reszty; me spojrzenie oderwało się od jego twarzy, sam nie wiem z jakiego powodu, i zabłąkało się na chór. Ten sam mężczyzna wstawał zza organów i przechodził przez chór *w tę samą stronę*. Ale nie minęło dość czasu, by wrócił, a gdyby wrócił, przecież bym go zauważył. Poczułem lekki chłód, serce mi stanęło; choć jego wyjście i powrót nie powinny mnie być obchodzić. Patrzyłem na niego: nie mogłem oderwać wzroku od jego czarnej postaci i białej twarzy. Gdy był dokładnie na wprost mnie, odwrócił się i posłał przez kościół prosto w moje oczy spojrzenie pełne głębokiej, śmiertelnej nienawiści: nigdy jeszcze podobnego nie widziałem i daj Boże, bym nigdy więcej nie musiał oglądać! Po czym zniknął za tymi samymi drzwiami, przez które widziałem, jak wychodzi, mniej niż sześćdziesiąt sekund wcześniej.

Siedziałem i starałem się zebrać myśli. Pierwsze moje odczucie było takie jak u małego dziecka, które mocno się skaleczyło i łapie oddech, by za moment wybuchnąć płaczem.

Rozpoznać w sobie nagle obiekt takiej nienawiści — było to bardzo bolesne; a ten człowiek był mi zupełnie obcy. Dlaczego tak bardzo mnie nie cierpiał? Właśnie mnie, którego nigdy w życiu nie widział? Na moment wszystkie inne odczucia zlały się w to jedno, nawet strach niczym był wobec żalu i przez ten moment nie miałem najmniejszych wątpliwości; jednak w następnej chwili górę wziął rozsądek i z pomocą przyszło mi poczucie absurdu.

Jak już wspominałem, Święty Barnaba to nowoczesny kościół. Jest mały i dobrze oświetlony; można objąć go w całości niemal jednym spojrzeniem. Na chór i organy pada mocne, białe światło pochodzące z szeregu wysokich okien w clerestorium, które nie mają nawet szyb z kolorowego szkła.

Jako że ambona znajdowała się pośrodku kościoła, kiedy zwracałem się do niej, każde poruszenie po zachodniej stronie kościoła musiało przyciągnąć mój wzrok. Nic dziwnego, że zauważyłem przechodzącego organistę: zwyczajnie źle oszacowałam upływ czasu pomiędzy jego pierwszym przejściem a drugim. Wszedł za drugim razem innymi bocznymi drzwiami. Co do jego spojrzenia, które tak bardzo wytrąciło mnie z równowagi, niczego takiego nie było, a ze mnie był zwyczajnie nerwowo głupiec.

Rozejrzałem się dokoła. Rzeczywiście, znajdowałem się w idealnym wręcz siedlisku nadprzyrodzonych straszyle! Wyrazista, rozsądna twarz wielebnego C., jego opanowanie i spokojne, pełne gracji gesty, czy nie zniechęcały nieco do rozważań o upiornych zagadkach? Zatrzymałem wzrok nad jego głową i omal się nie roześmiałem. Zwiewna kobieca postać podtrzymująca jeden z rogów baldachimu nad amboną, który wyglądał jak adamaszkowy obrus z frędzlami na silnym wietrze, przy pierwszej próbie pojawienia się na chórze bazyliiszka, skierowałaby na niego swoją złotą trąbę i zdmuchnęła poczwarę w niebyt! Roześmiałem się w duchu ze swojej wizji, która w tym momencie wydała mi się nader zabawna, i siedząc, zacząłem podkpiwać z siebie i wszystkiego wokół, od starej jędzy przy balustradzie, która zmusiła mnie do zapłaty dziesięciu centymów za moje miejsce, zanim mnie na nie wpuściła (to ona bardziej przypominała bazyliiszka, myślałem, niż mój organista z anemiczną cerą) — od tej ponurej, starej więdzmy aż po, owszem — niestety! — aż po samego wielebnego C. Jako że cała pobożność ze mnie uszła. Nigdy w życiu nie doświadczyłem niczego podobnego, ale teraz zebrało mi się na drwiny.

Co do kazania, nie usłyszałem już z niego ani słowa, bo w uszach dźwięczało mi: „Ku drzwiom katedry szedł, sześć kazań wygłosiwszy, obłudnych najbardziej z tych, co dotąd z ust jego wyszły” — stanowiąc akompaniament dla najbardziej nierealnych, prześmiewczych myśli.

Nie było sensu dłużej siedzieć: musiałem wyjść z kościoła i pozbyć się nienawistnego nastroju. Wiedziałem, że popełniam straszną nieuprzejmość, a jednak wstałem i wyszedłem.

Wiosenne słońce lśniło na Rue St. Honoré, kiedy zbiegałem po stopniach kościoła. Na rogu ulicy stał wózek pełen żółtych żonkili, białych fiołków z Riwiery, ciemniejszych rosyjskich i białych hiacyntów w złocistym obłoku mimozy. Ulica pełna była niedzielnych amatorów przyjemnego spędzania czasu. Wymachiwałem laską i śmiałem się z innymi. Ktoś wyprzedził mnie i szedł przede mną. Ani razu się nie odwrócił, lecz w jego białym profilu była ta sama wrogość, co wcześniej w oczach. Przyglądałem mu się, dopóki nie zniknął mi z oczu. Gibkie plecy wyrażały tę samą groźbę; każdy krok, który nas od siebie oddalał, zdawał się przybliżać go do załatwienia jakiejś sprawy związanej z moim unicestwieniem.

Wlokłem się dalej, a stopy prawie odmawiały mi posłuszeństwa. Zaczęło się we mnie budzić poczucie odpowiedzialności za coś dawno zapomnianego. Zaczęło mi się wydawać, że zasłużyłem sobie na to, czym mi groził, a sięgało to wszystko daleko w przeszłość — daleko, bardzo daleko. Przez wszystkie te lata leżało w uśpieniu, żyło jednak i lada moment miało wstać i spojrzeć mi w twarz. Postanowiłem, że spróbuję uciec — i najszybciej, jak mogłem, poczłapałem na Rue de Rivoli, przez Place de la Concorde i na Quai. Chorym wzrokiem popatrzyłem na słońce połyskujące na białej pianie fontanny

i rozlewające się po plecach smagłych bożków rzecznych z brązu, popatrzyłem na odległy Łuk, przyjrzałem się ametystowej mgłę i ciągnącym się bez końca szarym łodygom i leciuchno pozieleniałym nagim gałęziom. I wtedy zobaczyłem go znowu, siedł kasztanową aleją Cours la Reine.

Opuściłem brzeg rzeki, ruszyłem na oślep przez Pola Elizejskie i skręciłem w stronę Łuku. Zachodzące słońce kładło swe promienie na zieloną murawę Rond-point: siedział w pełnym blasku na ławce w otoczeniu dzieci i młodych matek. Był tylko niedzielny spacerowiczem, tak jak inni, jak ja sam. Wypowiedziałem niemal te słowa na głos, przez cały czas zapatrzony we wrogość i nienawiść malujące się na jego twarzy. On jednak na mnie nie patrzył. Przeczłapałem obok niego i powlokłem swe stopy z ołowiu w górę Alei. Wiedziałem, że każde moje z nim spotkanie przybliża go do celu, a mnie do dopełnienia mego losu. A mimo to próbowałem się ratować.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca przelewały się przez wielki Łuk. Przeszedłem dołem i spotkałem go twarzą w twarz. Zostawiłem go daleko w tyle na Polach Elizejskich, a jednak zjawił się z potokiem ludzi wracających z Lasku Bulońskiego. Znalazł się tak blisko, że się o mnie otarł. Jego szczupłe ciało było pod luźnym czarnym okryciem jak stal. Nie przejawiał żadnych oznak pośpiechu ani zmęczenia, ani niczego co ludzkie. Całą swoją postacią wyrażał jedno: pragnienie i moc wyrządzenia mi zła.

Cierpiąc katusze, przyglądałem się, jak idzie szeroką, zatłoczoną Aleją, gdzie jak okiem sięgnąć promienie słońca rozbłyskały na kołach, końskich uprzężach i hełmach Gwardii Republikańskiej.

Wkrótce zniknął mi z oczu, a wtedy odwróciłem się i pobiegłem. Do lasku i dużo dalej — sam nie wiem, dokąd zmierzałem, ale po długim, jak mi się zdawało, czasie zapadła noc, a ja spostrzegłem, że siedzę przy stoliku przed małą kawiarenką. Wróciłem do Lasku. Minęło już kilka godzin, odkąd go widziałem. Zmęczenie fizyczne i cierpienie psychiczne nie pozostawiły mi sił, by myśleć czy czuć cokolwiek. Byłem zmęczony, taki zmęczony! Pragnąłem zaszyć się we własnym pokoju. Postanowiłem pójść do domu. Ale czekała mnie daleka droga.

Mieszkam w Smoczym Dworze okalającym wąski przesmyk łączący Rue de Rennes z Rue du Dragon.

To nieprzejezdna uliczka, dostępna tylko dla pieszych. Nad wejściem od Rue de Rennes znajduje się żelazny balkon podpierany przez smoka. Po obu stronach przesmyku wznoszą się wysokie stare domy, zamykając górą wyloty na obie ulice. Wielkie wrota, za dnia otwarte do środka zwieńczonego łukiem przejścia, zamykają przesmyk po północy i wówczas, aby dostać się do Dworu, należy zadzwonić do pewnych małych bocznych drzwi. W dziurawym bruku gromadzą się paskudne kałuże. Strome schody prowadzą

z góry ku drzwiom wychodzącym na przesmyk. Parter zajęty jest przez sklepiki handlarzy starzyzną i przez kowali tworzących cudeńka z kutego żelaza. Przez cały dzień miejsce to rozbrzmiewa metalicznym stukotem młotków i pobrząkiwaniem stalowych prętów.

Choć dół może nie wydawać się zbyt przyjemny, to na górze króluje pogoda ducha, przytulność i ciężka, uczciwa praca.

Na piątej kondygnacji znajdują się pracownie architektów i malarzy oraz kryjówki studentów w średnim wieku, takich jak ja, którzy pragną mieszkać sami. Na początku, kiedy tu zamieszkałem, byłem młody i nie sam.

Musiałem przejść kawalek, zanim pojawił się jakiś środek lokomocji, lecz w końcu, gdy niemal dotarłem z powrotem do Łuku Triumfalnego, nadjechała pusta dorożka, więc do niej wsiadłem.

Od Łuku jedzie się na Rue de Rennes przeszło pół godziny, zwłaszcza dorożką ciągniętą przez zmęczonego konia, przez cały dzień będącego na łasce niedzielnych spacerowiczów.

Minęło sporo czasu, nim przeszedłem pod smoczymi skrzydłami; nie raz i nie dwa mogłem w tym czasie spotkać swego wroga, lecz nie zobaczyłem go ani razu, a mój azyl był tuż-tuż.

Przed szeroką bramą bawiła się gromadka dzieci. Nasz dozorca i jego żona przechadzali się wśród nich ze swoim czarnym pudłem, pilnując porządku; na chodniku kilka par tańczyło walca. Odpowiedziałem na ich pozdrowienia i pospieszyłem do środka.

Wszyscy mieszkańcy Dworu wylegli na ulicę. Budynki były w zasadzie puste, oświetlone przez kilka wiszących wysoko latarni, w których słabo płonął gaz.

Moje mieszkanie znajdowało się na najwyższym piętrze w połowie przesmyku, prowadził do niego niemal z samej ulicy ciąg schodów z jednym tylko małym podestem po drodze. Postawiłem stopę na progu w otwartych drzwiach, a przyjazne, stare, zniszczone wzniosły się przede mną, prowadząc do miejsca schronienia i odpoczynku. Oglądając się przez prawe ramię, spostrzegłem *jego*, jakieś dziesięć kroków ode mnie. Musiał wejść do Dworu razem ze mną.

Szedł prosto, ani powoli, ani szybko, ale prosto na mnie. I patrzył na mnie. Pierwszy raz od chwili, gdy nasze spojrzenia skrzyżowały się w kościele, nasze oczy się spotkały i wiedziałem, że przyszedł mój czas.

Zacząłem cofać się przesmykiem, idąc tyłem, przez cały czas zwrócony twarzą do niego. Zamierzałem uciec przez bramę wychodzącą na Rue du Dragon. Jego wzrok powiedział mi, że nie powinienem uciekać.

Zdawało się, że trwa to wieki, ja się cofam, on idzie naprzód w idealnej ciszy; wreszcie poczułem cień zwieńczonej łukiem bramy, jeszcze krok i już się w niej znalazłem. Chciałem obrócić się tutaj i wyskoczyć na ulicę. Ale cień okazał się tym, który wypełził z piwnicy. Wielkie wrota na Rue du

Dragon były zamknięte. Poczułem to za sprawą ciemności, która mnie otoczyła, i w tym samym momencie wyczytałem to z jego twarzy. Jakże jaśniała w mroku, zbliżając się szybko! Głębokie piwnice, zamknięte wielkie wrota, ich zimne, wielkie rygle, wszystko było po jego stronie. To, czym mi groził, miało się wypełnić: gromadziło się i napierało na mnie nieprzeniknionym cieniem; miejscem, z którego miało uderzyć, były jego piekielne oczy. Wyzuty z nadziei, oparłem się plecami o żelazne wrota, by mu się przeciwstawić...

Rozległo się szuranie krzesel o kamienną posadzkę, szelest, gdy zgromadzenie wstawało. Usłyszałem łaskę szwajcara w południowej nawie, a tuż za nią kroki wielbego C., który zmierzał do zakrystii.

Kłęczące zakonnice powstały z pobożnej zadumy, przykłękły przed ołtarzem i odeszły. Strojna dama, moja sąsiadka, z pełną wdzięku rezerwą również się podniosła. Gdy wychodziła, jej wzrok ledwo musnął mą twarz z dezaprobatą.

Półżywy, przynajmniej tak mi się zdawało, a jednak niezwykle wyczulony na każdy detal, siedziałem pośród przemieszczającego się bez pośpiechu tłumy, po czym także wstałem i ruszyłem do drzwi.

Przespałem kazanie. Czy ja przespałem kazanie? Podniosłem wzrok i zobaczyłem go, jak idzie przez chór na swoje miejsce. Widziałem go tylko z boku; chuda, zgięta ręka w czarnym okryciu wyglądała jak jedno z tych diabelskich, bezimiennych narzędzi, które leżą nieużywane w izbach tortur średniowiecznych zamków.

A jednak mu uciekłem, choć jego oczy mówiły, że nie powinienem. Czy mu uciekłem? To, co dało mu nade mną władzę, wypełzło z otchłani zapomnienia, gdzie miało pozostać na zawsze. Jako że teraz rozpoznałem organistę. Śmierć i koszmarnie siedlisko dusz straconych, dokąd w chwili słabości posłałem go dawno temu, zmieniły go w oczach każdego, tylko nie moich. Rozpoznałem go niemal przy pierwszym spojrzeniu; ani przez chwilę nie wątpiłem w to, po co się tu zjawił; a teraz wiedziałem, że choć me ciało tkwiło bezpiecznie w uroczym kościółku, to moja dusza była dręczona przez niego w Smoczym Dworze.

Podkradłem się do drzwi: organy ryknęły mi nad głową z całą mocą. Oślepiające światło wypełniło kościół, wymazując mi sprzed oczu ołtarz. Ludzie wyblakli, łuki sklepienia znikły. Wzniósłem palące oczy tam, skąd bił nieprzenikniony blask, i ujrzałem wiszące na niebie czarne gwiazdy — i wilgotny wiatr znad jeziora Hali ochłodził mi twarz.

W tym momencie hen daleko, spośród pędzących fal spienionych chmur ciągnących się bez końca wyłonił się księżyc ociekający wodą z bałwanów; a za księżycem wyrastały wieże Carcosy.

Śmierć i koszmarnie siedlisko dusz straconych, dokąd w chwili słabości go posłałem, zmieniły go w oczach każdego, tylko nie moich. I w tej chwili

usłyszałem *jego głos*, podnosił się, nabrzmiwał, grzmiał w płonącym świetle, a gdy spadałem, jasność, coraz większa jasność spływała na mnie falami płomieni. Aż utonałem w otchłani i usłyszałem Króla w Żółci szepczącego do mej duszy:

— Straszna to rzecz, wpaść w ręce Boga żywego!

Żółty Znak

*Niech sam odgadnie czerwony brzask,
Jak postąpimy,
Nim zgaśnie błękit światła gwiazd
I w niebyt zstąpimy.*

1

Tyłu rzeczy na tym świecie nie da się wyjaśnić! Dlaczego, na przykład, niektóre akordy w muzyce przywodzą mi na myśl brąz i złoto jesiennych liści? Dlaczego „Msza Cecylińska” sprawia, że moje myśli zaczynają błąkać się po grotach, których nierówne ściany połyskują od mas rodzimego srebra? Co takiego było w zgiełku i wrzawie Broadwayu o szóstej po południu, że przed oczami migał mi obraz spokojnego lasu bretońskiego, gdzie słoneczny blask sączył się przez wiosenne listowie, zaś Sylvia pochylała się z zaciekawieniem i czułością nad małą, zieloną jaszczurką, mówiąc cicho: „Pomyśleć, że i ona jest stworzeniem bożym!”

Gdy po raz pierwszy zobaczyłem stróża, stał odwrócony do mnie plecami. Patrzyłem na niego obojętnie, dopóki nie wszedł do kościoła. Poświęciłem mu tyle samo uwagi co wszystkim innym ludziom snującym się tego ranka po Washington Square, i gdy tylko zamknąłem okno i wróciłem do atelier, natychmiast o nim zapomniałem. Późnym popołudniem, jako że dzień był ciepły, otworzyłem znowu okno i wychyliłem się, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Mężczyzna stał na dziedzińcu kościoła, a ja znowu popatrzyłem na niego równie mało zaciekawiony jak przed południem. Spojrzałem na drugą stronę placu, gdzie szumiała fontanna, i z głową pełną niewyraźnych obrazów drzew, asfaltowych ulic i przemierzających się grupki nian i ludzi szukających wypoczynku, ruszyłem z powrotem do sztalugi. Kiedy się odwracałem, me obojętne spojrzenie objęło także mężczyznę stojącego na kościelnym dziedzińcu. Jego twarz była teraz zwrócona w moją stronę i najzupełniej mimowolnie wychyliłem się, aby się jej przyjrzeć. W tym samym momencie on zadarł głowę i spojrzał na mnie. Natychmiast pomyślałem o toczącym zwłoki robactwie. Pojęcia nie mam, co takiego odrażało mnie w tym mężczyźnie, lecz skojarzenie z tłustą, białą larwą pełzającą w trumnie było tak silne, że aż przyprawiło mnie o mdłości i musiało się to odmalować na moim obliczu, bo odwrócił opuchniętą twarz,

wykonując ruch, który przywiódł mi na myśl wystraszonego żerującego w kasztanie robaka.

Wróciłem do sztalug i pokazałem modelce, że ma przyjąć pozę. Popracowałem chwilę i doszedłem do przekonania, że w błyskawicznym tempie psuję to, co już zrobiłem, więc wziąłem szpachelkę i zeszkrobałem farbę. Ciało na obrazie miało ziemistą, niezdrową barwę, a ja nie rozumiałem, jak mogłem nanieść tak paskudny kolor na studium, na którym wcześniej jaśniały odcienie zdrowia.

Popatrzyłem na Tessie. Nie zmieniała się, czysty rumieniec barwił jej szyję i policzki, gdy ja marszczyłem brwi.

— Zrobiłam coś nie tak? — spytała.

— Nie... kompletnie spaskudziłem to ramię i nijak nie mogę zrozumieć, jak mogłem nanieść na płótno takie błoto — odrzekłem.

— Czy źle pozuję? — dociekała.

— Ależ skąd, pozujesz doskonale.

— Zatem to nie moja wina?

— Nie. Wyłącznie moja.

— Bardzo mi przykro — rzekła.

Powiedziałem jej, że może chwilę odpocząć, podczas gdy ja wezmę szmatkę, terpentynę i nimi potraktuję dżumę na płótnie, więc poszła zapalić papierosa i poprzeglądać ilustracje w *Courier Français*.

Nie wiedziałem, czy to coś z terpentyną, czy jakiś defekt płótna, lecz im dłużej tarłem, tym bardziej ta gangrena zdawała się rozszerzać. Robiłem, co w mojej mocy, by się jej pozbyć, a jednak choroba rozlewała się z kończyny na kończynę. Zatrwożony, starałem się to powstrzymać, lecz zmienił się już także kolor piersi i cała postać zdawała się chłonać zarazę tak, jak gąbka chłonie wodę. Szorowałem energicznie szpachelką, terpentyną i skrobakiem, przez cały czas myśląc, jaką to scenę zrobię Duvalowi, który sprzedał mi płótno; wkrótce jednak spostrzegłem, że to nie płótno było wadliwe ani nie farby od Edwarda. „Na pewno to terpentyna — pomyślałem ze złością — chyba że popołudniowe światło tak zaćmiło i zmyliło mi wzrok, że źle widzę”. Zawołałem Tessie, modelkę. Przyszła i nachyliła się nad moim krzesłem, wypuszczając w powietrze kółka dymu.

— Co też pan zrobił? — wykrzyknęła.

— Nic — warknąłem — pewnie to ta terpentyna.

— Jaki okropny kolor — ciągnęła. — Uważa pan, że moje ciało przypomina spleśniały ser?

— Nie, wcale tak nie uważam — odparłem ze złością — czy widziałaś kiedykolwiek, abym tak malował?

— Skądże!

— No właśnie!

— To musi być terpentyna albo coś — przyznała.

Założyła kimono i podeszła do okna. Skrobałem i szorowałem, dopóki się nie zmęczyłem, aż wreszcie zebrałem pędzle i cisnąłem nimi w płótno, dosadnie się przy tym wyrażając, z którego to wyrażenia ton jedynie sięgnął uszu Tessie.

Mimo to natychmiast zaczęła:

— Dość tego! Kto to widział, kłąć, rzucać się i niszczyć pędzle! Trzy tygodnie pracował pan nad tym studium, a teraz co! Co to da, że podrze pan płótno? Ech, wy, artyści!

Poczułem wstyd, jaki zwykle czuję po takim wybuchu, i odwróciłem zniszczone płótno do ściany. Tessie pomogła mi wyczyścić pędzle, po czym lekkim krokiem odeszła, żeby się ubrać. Zza parawanu raczyła mnie poradami dotyczącymi częściowej bądź całkowitej utraty panowania nad sobą, dopóki, uznawszy być może, że wystarczy mi już udręki na dzisiaj, nie wyszła i nie poprosiła, bym zapiął stanik jej sukni na ramieniu, gdzie nie mogła sięgnąć.

— Wszystko zaczęło iść źle, odkąd wrócił pan od okna i powiedział o tym szkaradnym człowieku, którego zobaczył pan na dziedzińcu kościoła — stwierdziła.

— Tak, pewnie zaczarował obraz — odrzekłem, ziewając. Spojrzałem na zegarek.

— Już po szóstej — powiedziała Tessie, poprawiając kapelusz przed lustrem.

— Owszem — odparłem — nie chciałem cię tak długo zatrzymywać.

Wyrząłem przez okno, ale wzdrygnąłem się z obrzydzenia, ponieważ młody człowiek o bladej twarzy stał na dole na kościelnym dziedzińcu. Tessie zauważyła moją reakcję i też wyrzała.

— To ten człowiek się panu nie podoba? — wyszeptła.

Skinąłem.

— Nie widzę jego twarzy, ale rzeczywiście wydaje się obrzmiały i nalany. Z jakiegoś powodu — mówiła dalej, spoglądając na mnie — przypomina mi sen... okropny sen, który mi się kiedyś przyśnił. Chociaż — zamyśliła się, patrząc na swe zgrabne pantofelki — czy aby na pewno był to sen?

— Skąd miałbym to wiedzieć? — uśmiechnąłem się.

Tessie odpowiedziała uśmiechem.

— Też pan tam był — odrzekła — więc może coś pan wie.

— Oj, Tessie, Tessie! — skarciłem ją. — Nie próbuj schlebiać mi, mówiąc, że o mnie śniłaś.

— Kiedy naprawdę śniłam — obstawała przy swoim. — Mam panu opowiedzieć?

— Proszę bardzo — odparłem, zapalając papierosa.

Tessie oparła się o parapet otwartego okna i zaczęła bardzo poważnie:

— W pewną noc ostatniej zimy leżałam w łóżku, nie myśląc o niczym

szczególnym. Za dnia pozowałam panu i byłam zmęczona, a jednak zupełnie nie mogłam zasnąć. Słyszałam, jak zegary w mieście wybijają dziesiątą, jedenastą i północ. Zasnęłam pewnie jakoś po północy, bo nie pamiętam, żebym słyszała bijące dzwony jeszcze później. Zdawało mi się, że ledwo zdążyłam zmrużyć powieki, gdy przyśniło mi się coś, co kazało mi podejść do okna. Wstałam i otwierając okno, wyjrzałam. Dwudziesta Piąta Ulica była pusta jak okiem sięgnąć. Zaczęłam się bać; wszystko na zewnątrz zdawało się takie... takie czarne i nieprzyjemne. Raptem doszedł do moich uszu z oddali odgłos toczących się kół i doznałam wrażenia, że to coś, na co muszę poczekać. Koła zbliżały się bardzo powoli, aż wreszcie zdołałam dojrzeć przemieszczający się ulicą pojazd. Był coraz bliżej, a gdy przejeżdżał pod moim oknem, spostrzegłam, że to karawan. W tym momencie zadrżałam, a woźnica obrócił się i spojrzał prosto na mnie. Obudziłam się, stojąc przy oknie i dygocząc z zimna, ale przystrojony w czarne pióra karawan i woźnica znikli. To samo przyśniło mi się znowu w marcu i znowu obudziłam się przy otwartym oknie. Dziś w nocy śniłam znowu. Pamięta pan, jak lało; kiedy się obudziłam, stojąc w otwartym oknie, moja koszula nocna była przemoczona.

— A jaka była w tym śnie moja rola? — spytałem.

— Pan... pan był w trumnie; ale nie był pan martwy.

— W trumnie?

— Tak.

— Skąd wiesz? Widziałas mnie?

— Nie, ale wiedziałam, że pan tam jest.

— Jadłś może grzanki z serem albo sałatkę z homarem?

Roześmiałem się, lecz przerwał mi przerażony krzyk dziewczyny.

— Hejże! Co się dzieje? — spytałem, kiedy kulila się we wnęce przy oknie.

— Ten... ten człowiek na dole, na kościelnym dziedzińcu... to on powoził karawanem.

— Bzdura — powiedziałem, lecz oczy Tessie były wielkie z przerażenia. Podeszedłem do okna i wyjrzałem. Mężczyzny nie było. — Daj spokój, Tessie — rzekłem — nie bądź niemądra. Za długo pozowałam. Zrobiłaś się nerwowa.

— Myśli pan, że mogłabym zapomnieć tamtą twarz? — wyszeptwała. — Trzy razy widziałam, jak ten karawan przejeżdżał pod moim oknem, i za każdym razem woźnica na mnie spoglądał. Och, jego twarz była taka blada i... i spuchnięta? Wydawała się martwa... wyglądała, jakby była martwa już od dawna.

Skloniłem dziewczynę, by usiadła i wypła kieliszek marsali. Następnie usiadłem obok i próbowałem jej coś poradzić.

— Posłuchaj, Tessie — zacząłem — wyjedź na tydzień albo dwa na wieś, a żaden więcej karawan ci się nie przyśni. Pozujesz całymi dniami, a nocą nerwy masz napięte jak postronki. Tak dłużej być nie może. W dodatku

zamiast iść spać, kiedy skończysz pracę, biegasz na pikniki do parku, jeździsz do Eldorado albo na Coney Island i kiedy przychodzisz tu rano, jesteś wykończona. Nie było żadnego karawanu. Zjadłaś coś wieczorem i stąd ten sen.

Uśmiechnęła się słabo.

— A co z tym mężczyzną na dziedzińcu?

— Och, to zwyczajny, szary, niezbyt zdrowo wyglądający człowiek:

— Jakem Tessie Reardon, przysięgam panu, panie Scott, że twarz tego mężczyzny z dziedzińca to zarazem twarz człowieka powożącego karawanem!

— I co z tego? — spytałem. — Przecież to uczciwe zajęcie.

— A więc jednak uważa pan, że *widziałam* karawan?

— Ojej — odrzekłem dyplomatycznie — jeśli widziałas, to może rzeczywiście powoził nim ten mężczyzna. Nie byłoby w tym nic niezwykłego.

Tessie wstała, rozwinęła nasyconą perfumami chusteczkę i wyjmując kawałek gumy z węzélka na rogu, włożyła go do ust. Następnie zakładając rękawiczki, podała mi rękę ze szczerem:

— Dobrej nocy, panie Scott. — I wyszła.

2

Nazajutrz rano Thomas, goniec, przyniósł mi *Heralda* i pewną wiadomość. Sąsiadujący z hotelem kościół został sprzedany. Podziękowałem za to Bogu nie tylko dlatego, że jako katolik niechęcią darzyłem urzędującą po sąsiedzku wspólnotę, ale też dlatego, że nerwy szarpał mi tamtejszy zuchwały podżegacz, którego każde słowo odbijało się echem w nawie kościoła tak, jakby przemawiał w moim pokoju, i który z uporem wymawiał „r” tak nosowo i z takim naciskiem, że burzyła się przeciw temu każda komórka mego ciała. No i był jeszcze ten diabeł w ludzkiej skórze, organista, który interpretował stare, piękne hymny na swój własny sposób, a ja żądny byłem krwi każdego, kto zagrał doksologię ze zmianą choćby najmniej istotnego z akordów, co zdarza się tylko w kręgach bardzo młodych studentów. Wierzę, że pastor był dobrym człowiekiem, lecz kiedy ryczał: „Pan, mocarz wojny, Jahwe jest imię Jego. Rzucił w morze rrrrydwany farrrrraona i jego wojsko. Miecza dobędę, a rrrręka moja ich zetrze”, zastanawiałem się, ilu wieków czyśćca trzeba będzie, by odkupić ten grzech.

— Kto nabył nieruchomość? — spytałem Thomasa.

— Nikt, kogo bym znał, psze pana. Gadają, że ten gość od tej tutaj czynszówki miał na nią chrapkę. Ponoć ma budować nowe mieszkania.

Podszedłem do okna. Młody człowiek o niezdrowej twarzy stał przy bramie prowadzącej na dziedziniec kościoła i na sam jego widok ogarnęło mnie to samo co wcześniej niepohamowane obrzydzenie.

— Przy okazji, Thomasie — rzekłem — kim jest ten człowiek tam na dole?

Thomas pociągnął nosem. — Ta gnida, psze pana? To nocny cieć z kościoła. Mam go po dziurki w nosie, jak tak se siedzi na tych schodkach noc całą i patrzy na cię jak na plugastwo. Raz żem go zdzielił w ten łeb, psze pana... psze o wybaczenie...

— Mów dalej, Thomasie.

— Raz z wieczora idę se z Harrym, tym drugim Anglikiem, i widzę go, jak se tam siedzi na tych schodkach. Żeśmy wzięli ze sobą Molly i Jen, te dwie pokojówki, a on gapi się na nas jakoś tak obelżywie, no to podchodzę i mówię: „Co się tak gapisz, ty tłusta glisto?”, psze o wybaczenie, psze pana, ale tak żem powiedział. A on nic, no to ja mówię: „Chodź ino tu, to rozwalę ci ten dyniowaty łeb!” No i otwieram se bramę i wchodzę, a on dalej nic, tylko się gapi. No to żem go wałnął, ale ble!, ten łeb miał taki zimny i rozlazły, że żem się prawie porzygał, jak go dotknąłem.

— I co wtedy zrobił? — spytałem zaciekawiony.

— On? Nic.

— A ty, Thomasie?

Młody człowiek zarumienił się ze wstydu i niepewny uśmiech zagościł na jego twarzy.

— Panie Scott, nie jestem tchórz i sam nie pojmuję, czemu żem dał drapaka. Służyłem w lansjerach, trębaczem byłem pod Tel-el-Kebir, nawet żem był ranny.

— Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że uciekłeś?

— No właśnie, psze pana, uciekłem.

— Dlaczego?

— Sam chciałem wiedzieć, psze pana. Złapałem Molly i w nogi, wszyscy zestrachali się tak samo jak ja.

— Ale czego się tak wystraszyli?

Thomas początkowo nie chciał odpowiedzieć, lecz moja ciekawość względem odpychającego młodzieńca na dole została rozbudzona, więc naciskałem. Trzy lata pobytu w Ameryce nie tylko zmieniły londyńską gwarę gońca, ale i wpoili w niego amerykański strach przed ośmieszeniem.

— Nie uwierzy mi pan, panie Scott.

— Owszem, uwierzę.

— Nie będzie się pan śmiał?

— Skądże!

Zawahał się znowu. — No tak, psze pana, Bóg świadkiem, że jakem go wałnął, to on złapał mnie za ręce, psze pana, a jak wykręciłem mu miękką, rozlazłą piączę, to jeden palec został mi w dłoni.

Czyste obrzydzenie i przerażenie z twarzy Thomasa musiało odbić się na mojej własnej, gdyż dodał:

— Straszne to było i teraz, jak go widzę, to po prostu idę dalej. Coby nie puścić pawia.

Gdy Thomas wyszedł, podszedłem do okna. Mężczyzna stał przy ogrodzeniu kościoła z obiema dłońmi na bramie, lecz szybko wróciłem do sztalug, czując przerażenie i mdłości, jako że spostrzegłem, iż brakuje mu środkowego palca prawej ręki.

O dziewiątej zjawiała się Tessie i znikła szybko za parawanem, wołając radośnie:

— Dzień dobry, panie Scott!

Kiedy się wyłoniła i przyjęła pozę na podeście, ku jej zadowoleniu rozpocząłem pracę nad nowym płótnem. Milczała, dopóki rysowałem, lecz gdy tylko ucichło szuranie węgla, a ja chwyciłem za fiksatywę, zaczęła trąkotać.

— Och, jak cudownie się tej nocy bawiłam. Poszliśmy do teatru Tony'ego Pastora.

— My, czyli kto? — spytałem.

— Ach, Meggie, wie pan, modelka pana Whyte'a, i Rudzia McCormick — mówimy na nią Rudzia, bo ma cudowne, rude włosy, które wy, artyści, tak bardzo lubicie — i jeszcze Lizzie Burke.

Spryskałem płótno fiksatywą i rzekłem: — No, słucham dalej.

— Widziałyśmy Kelly i Baby Barnes, które tańczyły kankana... i w ogóle wszystko. Trochę poflirtowałam.

— Czyżbyś mnie zdradziła, Tessie?

Roześmiała się i pokręciła głową.

— To brat Lizzie Burke, Ed. Dżentelmen w każdym calu.

Poczułem się w obowiązku udzielić jej kilku ojcowskich rad na temat flirtowania, które przyjęła z promiennym uśmiechem.

— Oj, poradziłabym sobie i z flirtem z zupełnie obcym mężczyzną — rzekła, oglądając uważnie swą gumę do żucia — ale Ed to co innego. Lizzie jest moją najbliższą przyjaciółką.

Po czym zdała mi relację z tego, jak Ed wrócił z fabryki pończoch w Lowell w Massachusetts i zastał ją i Lizzie podroste, jakim stał się kulturalnym młodzieńcem, jak nie poskapił pół dolara na lody i ostrygi, żeby uczcić objęcie posady sprzedawcy w dziale z wyrobami wełnianymi w domu towarowym Macy's. Zanim skończyła, zacząłem malować, zaś ona na powrót przybrała pozę, uśmiechając się i świergocząc jak wróbel. Do południa zdołałem w zasadzie odtworzyć studium i Tessie podeszła, by rzucić okiem.

— O wiele lepiej — stwierdziła.

Też tak uważałem i zjadłem lunch z uczuciem zadowolenia, że wszystko tak dobrze idzie. Tessie rozłożyła swój posiłek na stole kreślarskim naprzeciw mnie i popijaliśmy czerwone wino z jednej butelki, i zapalaliśmy papierosy

od jednej zapałki. Bardzo byłem do Tessie przywiązany. Przeglądałem się, jak wyrasta z kruchej, niezdarnej dziewczyny na szczupłą, lecz cudownie ukształtowaną kobietę. Pozowała mi od trzech lat i była ulubioną spośród wszystkich moich modelek. Naprawdę, bardzo bym się zmartwił, gdyby przemieniła się w pyską latawicę, ale nie zauważyłem żadnej zmiany na gorsze w jej zachowaniu i czułem, że w głębi serca wszystko jest z nią w porządku. Nigdy nie rozmawialiśmy o zasadach moralnych i nie zamierzałem tego zmieniać, po części dlatego, że sam ich nie miałem, a po części, ponieważ wiedziałem, że pomimo moich kazań i tak będzie robić, co jej się będzie podobało. Mimo wszystko miałem nadzieję, że nie skomplikuje sobie życia, bo dobrze jej życzyłem, a poza tym kierowało mną egoistyczne pragnienie zachowania mej najlepszej modelki. Wiedziałem, że flirtowanie w przypadku dziewcząt takich jak Tessie nie musi prowadzić do niczego poważnego i że takie rzeczy w Ameryce nie przypominają zupełnie w niczym tych samych rzeczy w Paryżu. Ponieważ jednak znałem życie, wiedziałem, że któregoś dnia ktoś w końcu w taki czy inny sposób mi ją zabierze, i choć wmawiałem sam sobie, że małżeństwo jest bzdurą, to miałem szczerą nadzieję, że w tym przypadku na końcu drogi będzie czekał ksiądz. Jestem katolikiem. Kiedy uczestniczę w sumie, kiedy czynię znak krzyża, czuję, że wszystko, łącznie ze mną, staje się bardziej radosne, a kiedy się spowiadam, staję się lepszym człowiekiem. Człowiek, który żyje tak samotnie jak ja, musi się komuś spowiadać. Poza tym Sylvia była katoliczką i to był dla mnie dostateczny powód. Ale mówiłem o Tessie, a to co innego. Tessie też była katoliczką, i to znacznie pobożniejszą ode mnie, zatem biorąc to wszystko pod uwagę, nie musiałem szczególnie przejmować się moją modelką pod warunkiem, że się nie zakocha. Wówczas jednak, jak wiedziałem, los sam zadecydowałby o jej przyszłości i modliłem się w duchu, żeby ów los trzymał ją z dala od mężczyzn takich jak ja, żeby zamiast tego stawiał na jej drodze samych Edów Burke'ów i Jimmymch McCormicków.

Tessie siedziała, wydychając w górę dym z papierosa i pobrzękując lodem w szklance.

— Wiesz, Mała, że tej nocy też miałem sen? — rzekłem. Czasami mówiłem do niej „Mała”.

— Chyba nie o tamtym mężczyźnie — zaśmiała się.

— Właśnie że tak. Sen podobny do twojego, z tym że znacznie gorszy.

Mówiąc to, wykazałem się głupotą i bezmyślnością, ale każdy wie, jak niewiele taktu posiada każdy przeciętny artysta.

— Zasnąłem pewnie około dziesiątej — ciągnąłem — i po chwili przyśniło mi się, że się obudziłem. Tak wyraźnie słyszałem wybijające północ dzwony, wiatr szumiący w konarach drzew i pogwizdujące w zatoce parowce, że nawet teraz trudno mi uwierzyć, iż był to tylko sen. Zdawało mi się, że leżę

w skrzyni ze szklaną pokrywą. Widziałem niewyraźnie uliczne latarnie, które mijałem, ponieważ muszę ci powiedzieć, Tessie, że skrzynia, w której spoczywałem, zdawała się znajdować na wyściełanym wozie podskakującym na bruku. Po jakimś czasie straciłem cierpliwość i usiłowałem się poruszyć, lecz skrzynia była za wąska. Ręce miałem skrzyżowane na piersi, więc nie mogłem ich podnieść, żeby sobie pomóc. Nasłuchiwałem, a potem próbowałem krzyknąć. Odebrało mi głos. Słyszałem tupot zaprzężonych do wozu koni, a nawet oddech woźnicy. Po chwili jeszcze jeden dźwięk doszedł do moich uszu, coś jakby stukot otwieranego okna. Zdołałem obrócić lekko głowę i odkryłem, że mogę wyjrzeć nie tylko przez szklane wieko skrzyni, ale też przez boczne szyby krytego wozu. Widziałem domy, puste i ciche, w żadnym nie mogłem dostrzec światła ani jakichkolwiek oznak życia, poza jednym. W tym jednym domu na parterze było otwarte okno, a w nim postać cała w bieli stała i wyglądała na ulicę. To byłaś ty...

Tessie odwróciła ode mnie swoją twarz i oparła łokieć na stole.

— Widziałem twoją twarz — podjąłem opowieść — która zdawała się taka smutna. Kiedy już cię mineliśmy, skręciliśmy w wąski, ciemny zaułek. Po chwili konie stanęły. Czekałem i czekałem, zamykając oczy ze strachu i zniecierpliwienia, lecz wokół było cicho jak w grobie. Mijały, jak mi się zdawało, godziny, aż zacząłem czuć się nieswojo. Wrażenie, że ktoś stoi blisko mnie, kazało mi otworzyć oczy. I wtedy ujrzałem białą twarz woźnicy z karawanu, który patrzył na mnie przez wieko trumny...

Przerwał mi głośny szloch Tessie. Drżała jak osika. Zrozumiałem, że zrobiłem z siebie bałwana, i starałem się naprawić szkodę.

— Oj, Tess — mówiłem — opowiedziałem ci o tym tylko po to, by pokazać, jaki wpływ mogła mieć twoja opowieść na sny innej osoby. Nie przypuszczasz chyba, że naprawdę leżałem w trumnie, co? Dlaczego tak drżysz? Nie widzisz, że twój sen i moja nieuzasadniona niechęć względem tego nieszkodliwego kościelnego stróża po prostu wprawiły w ruch mój mózg, gdy tylko zasnąłem?

Schowała głowę w ramionach i szlochała, jakby jej miało serce pęknąć. Ależ patentowanego osła z siebie zrobiłem! Jednak najgorsze miało dopiero nastąpić. Podeszedłem i objąłem ją.

— Tessie, moja droga, wybac mi — mówiłem. — Nie wiem, co mi strzeliło do głowy, żeby straszyć cię takimi bzdurami. Jesteś zbyt rozsądna, zbyt pobożna, żeby wierzyć w sny.

Jej dłoń zacisnęła się na mojej, jej głowa oparła się na moim ramieniu, jednak wciąż drżała, a ja gładziłem ją, próbując ją pocieszyć.

— No już, Tess, otwórz oczy i uśmiechnij się.

Jej oczy otworzyły się powoli, leniwie, i napotkały moje, lecz ich wyraz był tak dziwny, że szybko zacząłem pocieszać ją znowu.

— Wszystko to dyrdymały, Tessie, przecież nie lękasz się, że stanie ci się

z tego powodu jakaś krzywda.

— Nie — odrzekła, lecz jej szkarłatne wargi zadrżały.

— To o co chodzi? Boisz się?

— Tak. Ale nie o siebie.

— Czyżby o mnie? — spytałem wesoło.

— O pana — wyszeptała ledwo słyszalnie. — Ja... pan... nie jest mi obojętny.

Najpierw zacząłem się śmiać, lecz kiedy w pełni ją zrozumiałem, doznałem szoku i siedziałem jak obrócony w kamień. Ta głupota była ukoronowaniem wszystkich, jakie dotąd popełniłem. W chwili, jaka minęła pomiędzy jej odpowiedzią a moją reakcją, przez głowę przemknęło mi tysiąc możliwych odpowiedzi na to niewinne wyznanie. Mogłem zbyć je śmiechem. Mogłem udawać, że źle ją zrozumiałem, i zapewnić o swoim dobrym zdrowiu. Mogłem zwyczajnie stwierdzić, że to niemożliwe, aby mnie kochała. Moja reakcja była jednak szybsza od myśli i mogłem sobie rozmyślać do woli teraz, gdy było już za późno, jako że pocałowałem ją w usta.

Tego wieczoru jak zwykle wybrałem się na przechadzkę po Parku Waszyngtona, rozmyślając o wydarzeniach mijającego dnia. Byłem w stu procentach związany. Nie było już odwrotu, a ja patrzyłem przyszłości prosto w twarz. Nie byłem dobrym człowiekiem, nie byłem nawet uczciwy, ale nie miałem zamiaru oszukiwać siebie ani Tessie. Jedyna namiętność mego życia leżała pogrzebana w skąpanym w słońcu bretońskim lesie. Czy leżała pogrzebana na zawsze? Nadzieja krzyczała: „Nie!” Przez trzy lata słuchałem głosu Nadziei i przez trzy lata czekałem na odgłos kroków przed moimi drzwiami. Czy Sylvia zapomniała? „Nie!”, krzyczała Nadzieja.

Powiedziałem, że nie byłem dobrym człowiekiem. To prawda, ale nie byłem też do końca czarnym charakterem. Wiodłem proste, beztroskie życie, czerpiąc przyjemności, gdzie tylko się dało, ubolewając czasem, niekiedy gorzko, nad ich konsekwencjami. Jedno wszakże, poza malarstwem, traktowałem poważnie, a teraz leżało to ukryte, albo i całkiem zaginione gdzieś w bretońskim lesie. Za późno już było żałować tego, co zaszło za dnia. Cokolwiek to było, litość, nagły przypływ czułości wywołany smutkiem czy też bardziej prymitywny odruch zaspokojonej próżności, teraz nie miało to znaczenia i jeśli moim zamiarem nie było złamanie niewinnego serca, to mogłem obrać tylko jedną drogę. Ogień i siła, głębia namiętnej miłości, jakiej nawet bym się po sobie nie spodziewał pomimo całego mego rzekomego doświadczenia, nie pozostawiły mi innego wyjścia, jak tylko odwzajemnić jej zaangażowanie albo ją odesłać. Czy to dlatego, że takim jestem tchórzem, gdy przyjdzie zadać ból innej osobie, czy może dlatego, że noszę w sobie coś z ponurego purytanina, nie wiem, w każdym razie nie zamierzałem wyrzekać się odpowiedzialności za tamten bezmyślny pocałunek i prawdę mówiąc, nawet nie zdążyłem, bo zaraz otworzyła się

śluza jej serca i wszystko zeń wypłynęło. Ci, którzy nieodmiennie znajdują ponurą satysfakcję, unieszczęśliwiając siebie i wszystkich dokoła, może by to jakoś wytrzymali. Ja nie mogłem. Nie śmiałem. Gdy burza ucichła, powiedziałem jej, że lepiej by dla niej było, gdyby zakochała się w Edzie Burke'u i przywdziała na palec prostą złotą obrączkę, lecz nie chciała o tym słyszeć, zaś ja pomyślałem, że skoro już postanowiła kochać się w kimś, kto nie może się z nią ożenić, to może lepiej, abym był to ja. Ja przynajmniej umiałem traktować ją z inteligentną czułością, a kiedy zmęczy ją to zadurzenie, będzie mogła zwyczajnie odejść. Jako że podjąłem już w tym względzie decyzję, choć wiedziałem, jakie to będzie trudne. Pamiętałem, jak zazwyczaj kończą się platoniczne związki, i przypominałem sobie, jak strasznie byłem zdegustowany, kiedy o nich słyszałem. Wiedziałem, że podejmuję się naprawdę wielkiego wyzwania jak na tak pozbawionego skrupułów mężczyznę, i bałem się przyszłości, lecz ani przez moment nie wątpiłem, że Tess będzie ze mną bezpieczna. Gdyby chodziło o kogoś innego, nie o Tessie, nie miałbym najmniejszych skrupułów. Jednak nie przyszłoby mi do głowy, żeby uczynić z Tessie swą ofiarę, tak jak uczyniłbym ją z każdej bardziej doświadczonej kobiety. Spojrzałem przyszłości prosto w twarz i zobaczyłem kilka prawdopodobnych zakończeń tego romansu. Albo Tessie się tym wszystkim zmęczy, albo stanie się tak nieszczęśliwa, że będę musiał ją poślubić lub odejść. Jeśli ją poślubię, będziemy nieszczęśliwi oboje. Ja u boku żony, która się dla mnie nie nadaje, i ona u boku męża, który nie nadaje się do życia z żadną kobietą. Jako że moja przeszłość nie dawała mi prawa do ożenku. Jeśli zaś odejdę, ona może albo odchorować to, wyzdrowieć i poślubić jakiegoś Eddiego Burke'a, albo też bezmyślnie bądź z premedytacją pójść i zrobić coś głupiego. Z drugiej strony, kiedy się mną zmęczy, wówczas wciąż będzie miała przed sobą całe życie pełne pięknych widoków z Burke'ami, ślubnymi obrączkami, bliźniakami, mieszkaniem w Harlemie i Bóg wie czym jeszcze. Idąc dalej wśród drzew, mijając Łuk Waszyngtona, postanowiłem, że tak czy owak Tessie będzie miała we mnie serdecznego przyjaciela, a przyszłość zatroszczy się o siebie sama. Następnie wróciłem do domu i założyłem strój wieczorowy, ponieważ mała, delikatnie pachnąca perfumami karteczka na mojej toalecie głosiła: „Czekaj w dorożce o jedenastej przy bocznych drzwiach”, a podpisana była: „Edith Carmichael, Metropolitan Theater, 19 czerwca 189...”

Kolację tego wieczoru zjadłem, a raczej zjedliśmy, panna Carmichael i ja, u Solariego, a świt zaczynał właśnie złościć krzyż na kościele Judson Memoriał, gdy wkraczałem na Washington Square po tym, jak Edith odprowadziłem do hotelu Brunswick. W parku nie było ani żywej duszy, kiedy szedłem pomiędzy drzewami, a potem chodnikiem wiodącym od pomnika Garibaldiego do kamienicy Hamiltona, lecz mijając kościelny

dziedziniac, spostrzegłem siedzącą na schodkach postać. Poczułem, jak po plecach przeszły mi ciarki na widok bladej, opuchniętej twarzy, i przyspieszyłem kroku. Wtedy stróż powiedział coś, co mogło być skierowane do mnie, ale mogło też być zwykłym mamrotaniem pod nosem, jednak we mnie rozpałała się nagle dzika złość, że może się do mnie zwracać taka kreatura. Przez moment miałem chęć zawrócić i zdzielić go w głowę laską, lecz poszedłem dalej i wszedłszy do Hamiltona, udałem się do swojego mieszkania. Przez jakiś czas rzucałem się w łóżku, usiłując pozbyć się z uszu dźwięku jego głosu, ale nie mogłem. Moją głowę wypełniało mamrotanie niczym gęsty, oleisty dym wydobywający się z kadzi do wytapiania tłuszczu albo odrażający smród rozkładu. I kiedy tak leżałem i rzucałem się w pościeli, głos w moich uszach stał się jakby bardziej wyraźny i zacząłem rozróżniać słowa. Docierały do mnie powoli, jak gdybym zapominał ich znaczenia, aż wreszcie dźwięki ułożyły się w konkretną treść. Brzmiała ona tak:

„Czyś znalazł Żółty Znak?”

„Czyś znalazł Żółty Znak?”

„Czyś znalazł Żółty Znak?”

Byłem wściekły. Co mógł przez to rozumieć? Wreszcie przeklinając go i całe jego plemię, przekreśliłem się na drugi bok i zasnąłem, lecz kiedy się później obudziłem, byłem blady i wycieńczony, bo przyśnił mi się ten sam sen co poprzedniej nocy i przejąłem się nim bardziej, niż gotów to byłem przyznać.

Ubrałem się i zszedłem do atelier. Tessie siedziała przy oknie, lecz kiedy wszedłem, wstała, zarzuciła mi obie ręce na szyję, czekając na całusa. Wyglądała tak słodko i delikatnie, że pocałowałem ją dwa razy, po czym zasiadłem przed sztalugą.

— Hejże! A gdzie jest studium, które wczoraj zacząłem? — spytałem.

Tessie popatrzyła wzrokiem winowajczyni, ale nie odpowiedziała. Zacząłem szperać w stertach płócien, mówiąc:

— Pospiesz się, Tess, przygotuj się. Musimy wykorzystać poranne światło.

Gdy wreszcie poniechałem szukania pośród innych płócien i odwróciłem się, by w poszukiwaniu zaginionego studium rozejrzeć się po pokoju, zauważyłem, że Tessie stoi obok parawanu wciąż kompletnie ubrana.

— Co się dzieje? — spytałem. — Żle się czujesz?

— Nie.

— To się pospiesz.

— Chcesz, żebym pozowała tak jak... tak jak zawsze?

I wtedy zrozumiałem. Oto pojawiła się nowa komplikacja. Straciłem oczywiście najlepszą pozującą nago modelkę, jaką kiedykolwiek widziałem. Popatrzyłem na Tessie. Twarz miała purpurową. Ale pech! Ale pech! Spożyliśmy z drzewa poznania dobra i zła i Eden, wrodzona niewinność stały

się pieśnią przeszłości — to znaczy, dla niej.

Chyba spostrzegła wyraz zawodu na mojej twarzy, bo rzekła:

— Będę pozować, jeśli sobie życzysz. Studium jest za parawanem, sama je tam schowałam.

— Nie — odparłem — zaczniemy coś nowego.

I poszedłem do garderoby, gdzie wybrałem mauretański kostium, który dosłownie jarzył się od błyskotek. Był to autentyczny strój, a Tessie weszła z nim za parawan oczarowana. Gdy się zza niego wyłoniła, замуrowało mnie. Czarne, długie włosy nad czołem opasywał turkusowy diadem, a ich końcówki zawijały się nad błyszczącym pasem. Na stopach miała haftowane pantofelki z długimi noskami, a spódnica kostiumu, zdobiona niesamowitymi srebrnymi arabeskami, opadała do samych kostek. Haftowana kamizelka w barwie metalicznego, głębokiego błękitu wyszywana srebrem i krótki żakiet z cekinami i turkusami pięknie podkreślały jej urodę. Podeszła do mnie i podniosła uśmiechniętą buzię. Wsunąłem dłoń do kieszeni i wyjmując złoty łańcuszek z krzyżykiem, założyłem go jej na szyję.

— Jest twój, Tessie.

— Mój? — Głos jej się załamał.

— Twój. A teraz pozuj.

Po czym z promiennym uśmiechem wbiegła za parawan i po chwili wyłoniła się z małym pudełeczkiem, na którym było moje imię.

— Zamierzałam dać ci to, jak będę szła do domu — rzekła — ale teraz już nie mogę się doczekać.

Otworzyłem pudełeczko. Na różowej bawełnie leżała czarna onyksowa brosza ze złotą inkrustacją dzwignego symbolu bądź litery. Znak ten nie pochodził ani z pisma arabskiego, ani chińskiego, ani, jak się później dowiedziałem, z żadnego ludzkiego języka.

— Tylko to mogę dać ci na pamiątkę — powiedziała nieśmiało.

Byłem zły, ale powiedziałem jej, że bardzo sobie cenię prezent, i obiecałem zawsze go nosić. Przypięła mi broszę do marynarki tuż pod klapą.

— Jakie to niemądre z twojej strony, Tess, żeby kupować mi tak piękną rzecz — rzekłem.

— Nie kupiłam jej — roześmiała się.

— Więc skąd ją masz?

Wówczas opowiedziała mi, jak pewnego dnia znalazła broszę, wracając z Akwarium w parku Battery, jak dała ogłoszenia i sprawdzała w gazetach, lecz koniec końców, porzuciła nadzieję, że uda jej się znaleźć właściciela.

— Było to zeszłej zimy — powiedziała — dokładnie wtedy, gdy po raz pierwszy przyśnił mi się sen o karawanie.

Przypomniał mi się mój własny sen z minionej nocy, lecz nie powiedziałem i już po chwili węgiel w mojej ręce śmigał po nowym płótnie, a Tessie stała nieruchomo na podeście.

Następny dzień okazał się dla mnie fatalny. Kiedy przenosiłem płótno na blejtranie z jednej sztalugi na drugą, poślizgnąłem się na polerowanej podłodze i upadłem ciężko na oba nadgarstki. Tak paskudnie je wykręciłem, że daremne okazały się próby utrzymania pędzla i zmuszony byłem snuć się po atelier, piorunując wzrokiem niedokończone rysunki i szkice, aż ogarnęła mnie taka rozpacz, że usiadłem, żeby palić i kręcić młynka palcami ze złości. Deszcz smagał szyby i bębnił o dach kościoła, swym jednostajnym stukotem wywołując u mnie nerwowość. Tessie siedziała przy oknie, szyjąc, i co jakiś czas spoglądała na mnie z tak niewinnym współczuciem, że zacząłem się wstydzić swojej irytacji i rozejrzałem się za czymś, czym mógłbym się zająć. Przeczytałem już wszystkie gazety i wszystkie książki z mojej biblioteki, lecz żeby tylko znaleźć coś do roboty, podchodziłem do szafek i łokciem otwierałem drzwiczki. Każdy z tomów mogłem rozpoznać po kolorze i przyglądałem się im wszystkim, krążąc po bibliotece i pogwizdując dla poprawy humoru. Miałem już przejść do jadalni, gdy mój wzrok spoczął na żółtej książce stojącej w kącie na najwyższej półce ostatniego regału. Nie pamiętałem jej, a z podłogi nie byłem w stanie odczytać wyblakłych liter na grzbiecie, więc wróciłem do palarni i zawołałem Tessie. Przyszła z atelier i wspięła się, by sięgnąć książkę.

— Co to jest? — spytałem.

— *Król w Żółci*.

Odebrało mi mowę. Kto to tam umieścił? Jak znalazło się w moim mieszkaniu? Dawno temu postanowiłem, że nigdy tej książki nie otworzę, i nic na świecie nie mogło mnie nakłonić do jej kupna. Z obawy, że ciekawość może zrodzić we mnie pokusę, by do niej zajrzeć, nigdy nawet nie spoglądałem na nią w księgarniach. Gdyby zaś ciekawość taka kiedykolwiek we mnie powstała, to okropna tragedia młodego Castaigne'a, którego znałem, powstrzymywała mnie przed zgłębianiem jej nikczemnej treści. Nigdy nie godziłem się, by słuchać jej opisów, i nikt tak naprawdę nigdy nie odważył się mówić na głos o drugiej jej części, więc nie miałem zielonego pojęcia, co mogą odkryć przede mną jej karty. Wpatrywałem się w toksyczny, żółty grzbiet, jakby to był jadowity wąż.

— Nie dotykaj jej, Tessie — powiedziałem. — Zejdz.

Moje ostrzeżenie, rzecz jasna, tylko wzbudziło jej ciekawość i nim zdążyłem ją powstrzymać, zdjęła książkę z półki i ze śmiechem, tanecznym krokiem wróciła z nią do atelier. Wołałem ją, ale umykała moim bezradnym rękoma z dręczącym uśmiechem, a ja goniłem ją nieco zniecierpliwiony.

— Tessie! — krzyknąłem, wchodząc do biblioteki. — Posłuchaj, mówię poważnie. Odłóż tę książkę. Nie życzę sobie, żebyś ją otwierała.

Biblioteka była pusta. Zajrzałem do obu bawialni, do sypialni, pralni, do kuchni, aż wróciłem do biblioteki i rozpocząłem bardziej regularne

poszukiwania. Ukryła się tak dobrze, że dopiero pół godziny później znalazłem ją kucającą, bladą i milczącą przy oknie z małymi szybkami w składziku na górze. Już na pierwszy rzut oka spostrzegłem, że została za swój brak rozważy ukarana. *Król w Żółci* leżał u jej stóp, otwarty na drugiej części. Spojrzałem na Tessie i zrozumiałem, że jest za późno. Otworzyła *Króla w Żółci*. Wzięłem ją za rękę i zaprowadziłem do atelier. Zdawała się oszołomiona, a gdy kazałem jej położyć się na sofie, posłuchała mnie bez słowa sprzeciwu. Po jakimś czasie zamknęła oczy, oddech jej się wyrównał, stał się głębszy, lecz nie miałem pewności, czy śpi, czy nie. Przez dłuższy czas siedziałem przy niej w milczeniu, lecz ona ani się nie poruszyła, ani nie odezwała, więc w końcu wstałem i wchodząc do nieużywanego składziku, wzięłem żółtą książkę do mniej bolącej ręki. Wydawała się ciężka jak z ołowiu, lecz zabrałem ją ze sobą do atelier i siadając na dywaniku przy sofie, otworzyłem ją i przeczytałem od deski do deski.

Gdy blady z nadmiaru emocji upuściłem książkę i oparłem się zmęczony o sofę, Tessie otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

Mówiliśmy przez czas jakiś smętnie i monotonicznie, zanim spostrzegłem się, że rozmawiamy o *Królu w Żółci*. Och, cóż to za grzech, napisać takie słowa... słowa czyste jak kryształ, przejrzyste i dźwięczące jak szemrzące strumyki, słowa, które iskrzą się i jaśniejają jak zatrute klejnoty Medyceuszy! Och, jakaż to nikczemna, przeklęta beznadziejnie dusza potrafi fascynować i paraliżować ludzkie istoty takimi słowy — słowy rozumianymi przez głupich i świątłych jednak, słowy, które cenniejsze są od diamentów, bardziej kojące niżli niebiańska muzyka, straszniejsze niż śmierć.

Rozmawialiśmy dalej, nie bacząc na gromadzące się cienie, a ona błagała mnie, bym wyrzucił broszę z czarnego onyksu z osobliwą inkrustacją, która jak już wiedzieliśmy, była Żółtym Znakiem. Nigdy nie zrozumieć, dlaczego tego nie zrobiłem, choć nawet w tym momencie, tutaj, w mojej sypialni, gdzie piszę to wyznanie, bardzo pragnąłbym się dowiedzieć, co takiego powstrzymało mnie przed zdarciem Żółtego Znak z piersi i wrzuceniem go do ognia. Jestem pewien, że chciałem to zrobić, jednak Tessie błagała mnie na próżno. Zapadła noc, godzina mijała za godziną, a my nadal szeptaliśmy do siebie o Królu, o Bładej Masce, o północy wybijanej na wieżach spowitego we mgle miasta. Mówiliśmy o Hasturze i o Cassildzie, podczas gdy na dworze mgła nacierała na ciemne szyby, a chmur fale przetaczały się i rozbijały o brzeg jeziora Hali.

W domu było bardzo cicho i ciszy tej nie mącił żaden dźwięk z tonącej we mgle ulicy. Tessie leżała wśród poduszek, jej twarz była jak szara plama w ciemności, lecz dłonie splatały się z moimi i wiedziałem, że ona wie i czyta w moich myślach, tak jak ja czytam w jej, jako że posiadliśmy tajemnicę Hiad i ujrzeliśmy Widmo Prawdy. Po czym gdy odpowiadaliśmy sobie nawzajem,

pospiesznie, bez słów, myśli za myśl, cienie poruszyły się w ciemności koło nas, a z daleka, z odległych ulic doszedł dźwięk. Był coraz bliżej, głuche skrzypienie kół, coraz bliżej i bliżej, i jeszcze bliżej, aż wreszcie przed naszą bramą ustał, a ja dowlokłem się do okna i zobaczyłem przystrojony w czarne pióra karawan. Brama na dole otworzyła się i zamknęła, zaś ja podkradłem się, dygocząc, do drzwi i je zaryglowałem, lecz wiedziałem, że żadne rygle, żadne zamki nie zdołają powstrzymać kreatury, która szła po Żółty Znak. I usłyszałem go, jak sunie bardzo cicho korytarzem. Był już przy drzwiach, a rygle rozpadły się pod jego dotykiem. I wszedł. Wytrzeszczonymi oczami wpatrywałem się w ciemność, ale gdy wszedł do pokoju, to go nie widziałem. Dopiero gdy poczułem, jak oplata mnie swoim zimnym, miękkim ramieniem, krzyknąłem i zacząłem walczyć jak furiat, lecz moje ręce były bezużyteczne, a on wydarł onyksową broszę z mojej marynarki i z całej siły uderzył mnie w twarz. Upadając, usłyszałem, jak Tessie woła cicho, a jej dusza uleciała do Boga, i już wtedy, kiedy upadałem, zapragnąłem za nią podążyć, bo wiedziałem, że Król w Żółci rozchylił łańchman swojej szaty i wołać już można było tylko do Chrystusa.

Mógłbym opowiedzieć więcej, lecz nie rozumiem, w czym miałoby to pomóc światu. Gdy o mnie chodzi, to nie dla mnie już ludzka pomoc i nadzieja. Kiedy leżę tutaj, pisząc, obojętny nawet na to, czy nie umrę przypadkiem, zanim skończę, widzę lekarza zbierającego swoje proszki i fiołki i czyniącego nieokreślony gest do dobrego księdza u mego boku, gest, który rozumiem.

Zaciekawi ich ta tragedia — tych z wielkiego świata, tych, którzy piszą książki i drukują miliony gazet, ale nie napiszę nic więcej, a ojciec spowiednik, wypełniwszy swą posługę, położy na mych ostatnich słowach świętą pieczęć tajemnicy. Ci z wielkiego świata mogą posyłać swe bestie do zrujnowanych domów i dotkniętych śmiercią rodzin, a ich gazety skapią się we łzach i krwi, lecz w moim przypadku ich szpiedzy będą musieli zatrzymać się przed konfesjonałem. Wiedzą, że Tessie nie żyje, a ja umieram. Wiedzą, że mieszkańcy kamienicy, zbudzeni piekielnym wrzaskiem, wpadli do mego pokoju i znaleźli jednego żywego i dwoje martwych, lecz nie wiedzą, że doktor, wskazując na upiorną hałdę w stanie daleko posuniętego rozkładu — blade zwłoki kościelnego stróża — powiedział: „Nie wiem, co o tym sądzić, nie umiem znaleźć żadnego wyjaśnienia. Ten człowiek najpewniej nie żyje od wielu miesięcy!”

Zdał się, że umieram. Chciałbym, aby książdż...

Księżycowy Starzec

Tyleż jestem dobry co i zły, jak naród mój...

I twierdzę, że zła w istocie nie ma;

*(Jeśli zaś jest, to twierdzę, iż tak samo ważne jest dla ciebie, dla ziemi
tej czy dla mnie jak wszystko inne).*

Nic nie istnieje jedynie dla siebie;

Twierdzę, iż ziemia cała i wszystkie gwiazdy na niebie

Istnieją dla Religii.

Twierdzę, że żaden człek dotąd nie był dość pobożny;

Żaden nie czytał dość i nie wielbił;

Żaden nie odgadł dotąd, jaki sam jest boski ani

Jak pewna jest przyszłość.

Walt Whitman, „Wyruszając z Paumanok”

Słyszałem, co mówili Mówcy... mowę

O początku i końcu głosili;

Ja zaś nie mówię ani o początku, ani o końcu.

Walt Whitman, „Pieśń o sobie”

1

Na temat Yue-Lao i Xina wiem niewiele więcej od was. Strasznie mi zależy, żeby to było jasne. Być może to, co piszę, pozwoli rządowi Stanów Zjednoczonych ocalić nieco pieniędzy i ludzkich istnień, być może popchnie do działania świat nauki, przez co w taki czy inny sposób położy kres koszmarnej niepewności dwóch ludzi. Pewność jest lepsza niż życie w zawieszeniu.

Jeśli rząd ośmieli się zlekceważyć to ostrzeżenie i odmówi natychmiastowego wysłania należycie wyposażonej ekspedycji, miejscowi mogą dokonać pochopnej zemsty na całej okolicy, pozostawiając pocerniałe, spustoszone zgliszcza tam, gdzie dzisiaj las i pełne kwiatów łąki okalają jezioro w Cardinal Woods.

Znacie już część tej historii; nowojorskie gazety pełne były mniej lub bardziej autentycznych szczegółów.

Tyle jest w tym prawdy: Barris złapał „Błyskota” na gorącym uczynku, a raczej już po nim, gdyż jego kieszenie, buty i brudne ręce pełne były grudek złota. Mówię „złota” najzupełniej świadomie. Wy możecie je nazywać, jak tam sobie chcecie. Wiecie także, że Barris... ale jeśli nie zacznę u zarania całego ciągu wydarzeń, koniec końców i tak niczego nie zrozumiecie.

Trzeciego dnia sierpnia obecnego roku stałem przy ladzie u Tiffany’ego, gawędząc z George’em Godfreyem z działu projektów. Na szklanym blacie pomiędzy nami leżał zwinięty wąż, przepiękna błyskotka z cyzelowanego złota.

— Nie — odpowiedział Godfrey na moje pytanie — to nie moja robota, niestety. Rety, człowieku, przecież to arcydzieło!

— Czyje? — spytałem.

— Cóż, sam bardzo chciałbym wiedzieć — odrzekł Godfrey. — Kupiliśmy to od pewnego starego gaduły, który twierdzi, że mieszka na wsi gdzieś w Cardinal Woods. To w pobliżu Gwiezdnego Jeziora, jak mi się wydaje...

— Jeziora Gwiazd? — zasugerowałem.

— Niektórzy nazywają je Gwiezdnym, wszystko jedno. Tak czy owak, mój chłopak roztropek twierdzi, że reprezentuje rzeźbiarza, który wykonał tego węża, we wszelkich sprawach praktycznych i finansowych. Dostał tyle, ile sobie zażyczył. Mamy nadzieję, że przyniesie nam tego więcej. Już to sprzedaliśmy do Metropolitan Museum.

Opierałem się niedbale o gablotkę, wpatrując się w oczy artysty i znawcy szlachetnych kruszców, pochylającego się nad złotym wężem.

— Arcydzieło! — mruczał pod nosem, pieszcząc lśniące zawijasy. — Spójrz tylko na tę fakturę! Fiu!

Nie patrzyłem jednak na węża. Coś się poruszało... wypęzało z kieszeni w marynarce Godfreya, tej po mojej stronie... coś miękkiego i żółtego z odnóżami jak u kraba pokrytymi sztywnymi, żółtymi włoskami.

— Wielkie nieba! — zawołałem. — Co masz w kieszeni? Wypęza... próbuje pełznąć ci po marynarce, Godfrey!

Odrzucił się szybko i wyciągnął stwora lewą ręką.

Cofnąłem się gwałtownie, gdy podniósł dyndające paskudztwo przed moim nosem, po czym roześmiał się i umieścił je na blacie.

— Widziałeś kiedyś coś podobnego? — spytał.

— Nie — odrzekłem zgodnie z prawdą — i mam nadzieję, że już nigdy nie zobaczę. Co to jest?

— Nie wiem. Pytałem ludzi z Muzeum Historii Naturalnej — nie potrafili mi powiedzieć. Ci z Instytutu Smithsona też są w lesie. Wydaje mi się, że to brakujące ogniwo pomiędzy jeżem morskim, pajakiem i samym diablem. Wygląda jadowniczo, ale nie mogę znaleźć ani zębów, ani paszczy. Czy jest ślepe? Te tutaj to mogą być oczy, ale wyglądają, jakby były

namalowane. Tak nieprawdopodobna kreatura mogłaby być dziełem jakiegoś japońskiego rzeźbiarza, ale trudno uwierzyć, że mógł ją stworzyć Bóg. Wygląda na niedokończoną. Przychodzi mi do głowy szalony pomysł, że stworzenie to może być tylko częścią większego, bardziej absurdałnego organizmu... Wydaje się takie samotne, tak beznadziejnie zależne, tak przekłęcie niedokończone. Zamierzam wykorzystać je jako model. Jeśli nie uda mi się przebić samych Japońców, to nie nazywam się Godfrey.

Stwór przemieszczał się powoli po szklanej gablotce w moją stronę. Odsunąłem się.

— Godfrey — rzekłem — osobiście wykonałbym egzekucję tego, kto podjąłby się tego, co proponujesz. Po co utrzymywać takie paskudztwo? Japońską groteskę jako jeszcze ścierpię, ale nie coś... nie tego pajaka...

— To jest krab.

— Krab czy pajak, czy padalec... ble! Po co chcesz to robić? Przecież to jakiś koszmar... nieczyste stworzenie!

Już nienawidziłem tego czegoś. Była to pierwsza żywa istota, jaką udało mi się znienawidzić.

Od pewnego czasu wyczuwałem też unoszący się w powietrzu wilgotny, gryzący smród, zaś Godfrey wyjaśnił, że to woń owej gadziny.

— No to zabij ją i zakop — zasugerowałem. — A właściwie skąd to się u ciebie wzięło?

— Tego też nie wiem — roześmiał się Godfrey. — Lgnęło do pudełka, w którym przywędrował złoty wąż. Przypuszczam, że to pasażer na gapę mojego chłopka roztropka.

— Jeśli w Cardinal Woods czają się takie stwory — rzekłem — to zaczynam żałować, że się tam wybieram.

— Wybierasz się? — zaciekawiał się Godfrey. — Na polowanie?

— Tak, z Barrisem i Pierpontem. Dlaczego nie zabijesz tego obrzydlistwa?

— Jedź już na to swoje polowanie i zostaw mnie w spokoju — roześmiał się Godfrey.

Wzdrygnąłem się, spojrzawszy na „kraba”, i pożegnałem się z Godfreyem do grudnia.

Tego wieczoru Pierpont, Barris i ja siedzieliśmy, gawędząc, w wagonie dla palących Quebec Expressu, gdy długi pociąg opuszczał dworzec Grand Central. Stary David pojechał z psami już wcześniej; biedactwa nienawidziły podróżowywać w wagonie bagażowym, ale linie kolejowe Quebec i Północna nie posiadają wagonów dla myśliwych, dlatego Davida i trzy setery szkockie czekała nieciekawa noc.

Jeśli nie liczyć Pierponta, Barrisa i mnie, wagon był pusty. Barris, zadbany, tęgi, rumiany i opalony, siedział, bębniąc o półkę pod oknem i pykając z krótkiej, aromatycznej fajki. Jego futerał z bronią leżał obok niego na podłodze.

— Gdy już osiwieję i stuknie mi kilka dziesiątek na karku — mówił leniwie Pierpont — nie będę flirtował ze ślicznymi pokojówkami. A ty, Roy?

— Nie — odpowiedziałem, patrząc na Barrisa.

— Chodzi wam o tę pokojówkę w czepku z wagonu pulmanowskiego? — spytał Barris.

— No tak — potwierdził Pierpont.

Uśmiechnąłem się, bo też ów czepek zauważyłem.

Barris podkreślił sztywny siwy wąs i ziewnął.

— To możecie, dzieci, iść spokojnie spać — powiedział. — Ta pokojówka należy do tajnych służb.

— Ach — rzekł Pierpont — więc to twoja koleżanka?

— I mógłbyś nas sobie przedstawić, wiesz? — powiedziałem. — Ta podróż jest taka nudna.

Barris wyjął z kieszeni telegram i obracając go w palcach, uśmiechnął się. Po dłuższej chwili podał go Pierpontowi, który zaczął czytać z lekko uniesionymi brwiami.

— To jakiś bełkot... pewnie szyfr — stwierdził. — Widzę podpis generała Drummonda...

— Generał Drummond, szef Państwowych Tajnych Służb — wyjaśnił Barris.

— Coś ciekawego? — spytałem, zapalając papierosa.

— Coś tak interesującego — odparł Barris — że zamierzam zająć się tym osobiście...

— I uszczuplić nasze myśliwskie trio...

— Nie. Chcecie posłuchać? Chcesz, Billy Pierponcie?

— Tak — odrzekł nasz młodzieniec idealny.

Barris wytarł w chusteczkę ustnik fajki, wyczyścił wyciorem cybuch, pyknął raz albo dwa i oparł się wygodnie.

— Pierpont — zaczął — czy pamiętasz tamten wieczór w Klubie Stanów Zjednoczonych, kiedy to generał Miles, generał Drummond i ja badaliśmy złoty samorodek przyniesiony przez kapitana Mahana? Też mu się przyglądałeś, jak sądzę.

— Owszem — przytaknął Pierpont.

— Czy to było złoto? — spytał Barris, bębniąc o okno.

— Z pewnością — odparł Pierpont.

— Też widziałem — wtrąciłem się — oczywiście, że to było złoto.

— Widział go także profesor La Grange — ciągnął Barris — i on również potwierdził, że to złoto.

— No i? — rzekł Pierpont.

— No i — powiedział Barris — to nie było złoto.

Po chwili ciszy Pierpont zapytał, jakie testy przeprowadzono.

— Te co zwykle — odrzekł Barris. — Mennica Stanów Zjednoczonych

potwierdziła, że to złoto, podobnie jak każdy złotnik, który je zobaczył. Ale to nie złoto... a jednocześnie... to jest złoto.

Wymieniliśmy z Pierpontem spojrzenia.

— A zatem — powiedziałem — dla tak lubianego przez Barrisa efektu teatralnego spytam: czym był ów samorodek?

— W zasadzie było to czyste złoto, ale — ciągnął Barris, czerpiąc wielką radość z zainteresowania, jakie wzbudził — tak naprawdę złotem nie był. Pierpont, co to jest złoto?

— Złoto to pierwiastek, metal...

— Błąd, Billy Pierponcie! — orzekł chłodno Barris.

— Złoto było pierwiastkiem, kiedy chodziłem do szkoły — wtrąciłem.

— Od dwóch tygodni już pierwiastkiem nie jest — oznajmił Barris — i poza generałem Drummondem, profesorem La Grangem i mną, wy, moi drodzy młodzieńcy, jesteście jedynymi ludźmi na świecie, którzy o tym wiedzą. Choć jest ktoś jeszcze.

— Chcesz powiedzieć, że złoto jest kompozytem metali? — powiedział powoli Pierpont.

— Otóż to. La Grange właśnie je wyprodukował. Przedwczoraj wyprodukował łuskę czystego złota. Tamta grudka okazała się także wytworem rąk ludzkich.

Czy to możliwe, że Barris żartował? Czy była to jakaś gigantyczna mistyfikacja? Spojrzałem na Pierponta. Wymamrotał coś o rozwiązaniu problemu „wolnego srebra” i odwrócił głowę w stronę Barrisa, jednak było w twarzy Barrisa coś takiego, co nie pozwalało na żarty, dlatego Pierpont i ja zamilkliśmy i popadliśmy w zadumę.

— Nie pytajcie mnie, jak się to robi — odezwał się cicho Barris. — Sam nie wiem. Wiem tylko, że w okolicach Cardinal Woods żyje grupa ludzi, którzy wiedzą, jak wytwarzać złoto, i je wytwarzają. Rozumiecie, jakie zagrożenie niesie to każdej cywilizowanej nacji. Rzecz jasna, trzeba ów proceder powstrzymać. Drummond i ja zdecydowaliśmy, że to ja jestem człowiekiem, który tego dokona. Gdziekolwiek i kimkolwiek są ci ludzie, ci wytwórcy złota, trzeba ich schwycić, każdego jednego z nich... schwycić bądź zastrzelić.

— Bądź zastrzelić — powtórzył Pierpont będący właścicielem Kopalni Złota Cross-Cut, który też uważał, że dochód z niej jest niewystarczający. — Profesor La Grange zachowa się oczywiście roztropnie... nauce nie trzeba wiedzieć o tym, co może wzburzyć świat!

— Mój mały Willy — roześmiał się na to Barris — twoje dochody są bezpieczne.

— I przypuszczam — odezwałem się — że to jakaś skaza w badanej grudce naprowadziła profesora La Grange’a na trop.

— Właśnie tak. Wyciął skazę przed wysłaniem samorodka na testy.

Pracując nad nią, wyodrębnił ze złota trzy pierwiastki.

— To wielki człowiek — stwierdził Pierpont — ale okaże się największy na świecie, jeśli zdoła zachować tajemnicę swego odkrycia tylko dla siebie.

— Kto? — spytał Barris.

— Profesor La Grange.

— Profesor La Grange to właśnie zginął od strzału w serce dwie godziny temu — padło z ust Barrisa.

2

Po pięciu dniach naszego pobytu w chacie myśliwskiej w Cardinal Woods Barris otrzymał telegram przyniesiony mu przez konnego posłańca z najbliższej stacji telegraficznej w Cardinal Springs, osadzie leżącej przy torach kolejowych służących do wywózki drewna, które w Three Rivers Junction pięćdziesiąt kilometrów dalej łączą się z linią Quebec i Północną.

Siedziałem z Pierpontem na dworze pod drzewem i w ramach eksperymentu obaj nabijaliśmy specjalne naboje; Barris stał obok nas, opalony, wyprostowany, ostrożnie trzymał fajkę, żeby żadna iskra nie poleciała przypadkiem do skrzynki z prochem. Tętent kopyt na trawie przykuł naszą uwagę, a gdy tyczkowaty posłaniec ściągnął wodze przed drzwiami chaty, Barris wyszedł naprzód i odebrał zapieczętowany telegram. Gdy złamał pieczęć, wszedł do domu, a po chwili wyszedł, czytając coś, co sam zdążył już napisać.

— Proszę to wysłać natychmiast — powiedział, patrząc posłańcowi prosto w oczy.

— Natychmiast, panie pułkowniku — odrzekł zabiedzony wieśniak.

Pierpont podniósł wzrok i uśmiechnął się do posłańca, który chwycił już za wodze i sadowił się w siodle. Barris podał mu zapisaną odpowiedź i skinął na dowidzenia: rozległ się tętent na murawie, potem pobrzękiwanie wędzidła i ostróg na żwirze i posłaniec zniknął. Fajka Barrisa zgasła, a on stanął pod wiatr, żeby ją na nowo zapalić.

— To dziwne — zauważyłem — że ten twój posłaniec, wynędział wieśniak, mówi jak absolwent Harwardu.

— Bo to jest absolwent Harwardu.

— Spisek zatacza coraz szersze kręgi — stwierdził Pierpont. — Czy lasy Cardinal Woods pełne są twoich ludzi z tajnych służb, Barris?

— Nie — odparł Barris. — Tylko stacje telegraficzne. Ilu uncji prochu używacie, Roy?

Powiedziałem mu, podnosząc do góry stalową miarkę. Skinął. Po chwili usiadł na składanym stołku obok nas i wziął zaciskacz.

— Telegram był od Drummonda — powiedział — a posłaniec to jeden z moich ludzi, jak to obaj mądrale wykombinowaliście. Ha! Gdyby przemówił

miejscową gwarą, na pewno byście się nie zorientowali!

— Przebranie miał niezłe — pochwalił Pierpont.

Barris zakręcił zaciskaczem i popatrzył na stos nabitych prochem naboi. Wziął jeden do ręki i zacisnął.

— Zostaw — powiedział Pierpont. — Za mocno zaciskasz.

— Czyżby jego pukawka kopiała, gdy za mocno zaciśnie się naboje? — spytał z czułością Barris. — W takim razie sam je będzie sobie zaciskał. A gdzie jego konus?

„Jego konus” był importowanym angielskim dziwakiem, sztywnym, zawsze do czysta wyszorowanym i przydechowo wymawiającym spółgłoski, a nazywał się Howlett. Jako pokojowy i pomocnik na polowaniach, noszący broń i zaciskający naboje, pomagał Pierpontowi znosić trudy codziennej egzystencji, robiąc za niego dosłownie wszystko poza oddychaniem. W ostatnim czasie jednak drwiny Barrisa skłoniły Pierponta do zrobienia paru rzeczy samodzielnie. Ku własnemu zdumieniu odkrył, że czyszczenie strzelby nie jest wcale takie nudne, po czym nabił ostrożnie nabój albo dwa, poczuł się z siebie bardzo zadowolony, nabił jeszcze parę, zacisnął je i ze wzmożonym apetytem udał się na śniadanie. Teraz zaś, gdy Barris zapytał, gdzie „jego konus”, Pierpont nie odpowiedział, tylko nabrał z woreczka miarkę prochu i z powagą wysypał do częściowo napełnionej łuski.

Stary David wyszedł z domu z psami i odbywaliśmy naradę, gdy Voyou, jeden z moich seterów, machnął wspaniałym ogonem i zmiotł ze stolika z tuzin nie zaciśniętych naboi, które potoczyły się po trawie, wypluwając proch i ołowiane kulki.

— Przejdź się z psami, Davidzie — powiedziałem. — Zróbcie kilometr, dwa. Polować będziemy około czwartej w pobliżu Paprociowego Gąszczu.

— Na dwie strzelby — odezwał się Barris.

— Ty nie idziesz? — spytał Pierpont, podnosząc wzrok, gdy David zniknął z psami.

— Idę na grubszego zwierza — odrzekł krótko Barris.

Podniósł z tacy, którą przed chwilą postawił przy nas Howlett, kufel piwa i się napił. W milczeniu zrobiliśmy to samo. Pierpont postawił swój kufel na trawie obok siebie i wrócił do nabijania.

Rozmawialiśmy o zabójstwie profesora La Grange’a, o tym, jak na prośbę Drummonda zostało zatajone przez władze Nowego Jorku, o tym, że najprawdopodobniej była to robota jednego z gangów wytwórców złota, i o tym, jaką czujność te gangi najwyraźniej zachowują.

— Och, wiedzą, że Drummond prędzej czy później zacznie ich szukać — rzekł Barris — ale nie wiedzą, że boskie młyny już zaczęły mielić. Przemądrzałym nowojorskim gazetom trafiło się jak ślepej kurze ziarno, kiedy ich szczurzooki reporterzyna wetknął swój czerwony nos do domu przy Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy i na kolanie spłodził notatkę o „samobójstwie”

profesora La Grange'a. Billy Pierponcie, mój rewolwer wisi w twoim pokoju, wezmę także twój...

— Proszę bardzo — powiedział Pierpont.

— Nie będzie mnie całą noc — ciągnął Barris — wezmę ze sobą tylko moje ponczo, trochę chleba i mięsa. Poza pukawkami, oczywiście.

— Zapukają tej nocy? — spytałem.

— Nie, myślę, że pomilczą jeszcze kilka tygodni. Muszę trochę powęszyc. Roy, nie wydało ci się to nigdy dziwne, że tak przecudnej urody okolica nie jest w ogóle zamieszкана?

— To tak jak z tymi wspaniałymi rozlewiskami i strumieniami, które można znaleźć w pobliżu każdej rzeki z pstrągami, gdzie jednak nigdy nie złowi się żadnej ryby — zasugerował Pierpont.

— Otóż to... i Bóg raczy wiedzieć dlaczego — rzekł Barris. — Przypuszczam, że od tej okolicy ludzie stronią z równie tajemniczego powodu.

— Tym lepiej się tutaj poluje — zauważyłem.

— Poluje się nieźle — przyznał Barris. — Widzieliście bekasy na łące nad jeziorem? Cała jest od nich brązowa! Wspaniała łąka.

— Jest całkowicie naturalna — powiedział Piermont. — Żaden człowiek nigdy jej nie kosił.

— Zatem jest nadnaturalna — stwierdził Barris. — Pierpont, chcesz ze mną pójść?

Przystojna twarz Pierponta okryła się rumieńcem i odpowiedział powoli: — Strasznie to miło z twojej strony... jeśli mogę.

— Bzdura — rzekłem, dotknięty tym, że poprosił Pierponta. — Jaki jest pożytek z Willy'ego bez jego sługi?

— To prawda — przytaknęła poważnie Barris. — A nie możesz zabrać Howletta, sam wiesz.

Pierpont mruknął coś, co zakończyło się na „lera”.

— W takim razie — rzekłem — dziś po południu w Paprociowym Gąszczu będzie tylko jedna strzelba. I dobrze. Życzę wam przyjemności płynącej z zimnej kolacji i zimnego postania. Nie zapomnij nocnej koszuli, Willy, i nie śpij na mokrej ziemi.

— Zostaw już Pierponta w spokoju — odparł Barris — ty, Roy, pójdziesz następnym razem.

— No dobrze... to znaczy, że załapię się na strzelaninę?

— A ja? — spytał zasmucony Pierpont.

— Ty wtedy też, chłopcze; nie kłóćcie się już! Poproś Howletta, żeby spakował nam prowiant... tylko lekki, bez butelek, bo brzęczą.

— Moja piersiówka nie brzęczy — odparł Pierpont i odszedł, by przygotować się do nocnego czyhania na niebezpiecznych ludzi.

— To rzeczywiście dziwne — rzekłem — że nikt się tutaj nie osiedla. Ilu

ludzi mieszka w Cardinal Springs, Barris?

— Dwudziestu, włączając w to telegrafistę i wyłączając drwali, którzy ciągle zmieniają się i przenoszą. Mam wśród nich sześciu swoich.

— A gdzie ich nie masz? W Four Hundred?

— Tam też mam... kumple Billy'ego, tylko on o tym nie wie. David mówił mi, że zeszłej nocy latało dużo słonek. Powinieneś parę ustrzelić dziś po południu.

Pogadaliśmy jeszcze o kryjówce w olchach i o mokradłach, aż Pierpont wyszedł z domu i pora była się rozstać.

— *Au revoir* — powiedział Barris, przypinając do pasa prowiant. — Idziemy, Pierpont, i nie chodź po mokrej trawie.

— Jak nie wróćcie jutro do południa — zapowiedziałem — to wezmę Howletta i Davida i was wytopimy. Mówisz, że kierujecie się na północ?

— Na północ — potwierdził Barris, sprawdzając kompas.

— Przez jakieś trzy kilometry wiedzie leśny szlak, a dalej przez kolejne trzy wąska ścieżka — powiedział Pierpont.

— Z których z różnych powodów nie skorzystamy — dodał Barris przyjemnym głosem. — Nie martw się, Roy, i daruj sobie tę ekspedycję ratunkową, nic nam nie grozi.

Wiedział, rzecz jasna, co mówi, więc zachowałem spokój.

Kiedy koniec płaszcza myśliwskiego Pierponta znikł w Długim Gąszczu, spostrzegłem, że stoję sam z Howlitem. Przez moment patrzył mi w oczy, po czym grzecznie zniżył wzrok.

— Howlett — rzekłem — zanieś te łuski i całe oprzyrządowanie do składziku z bronią i niczego nie upuść. Czy Voyou nie pokaleczył się rano cierniami?

— Nie, panie Cardenhe — odrzekł Howlett.

— W takim razie uważaj, żeby niczego więcej nie upuścić — powiedziałem i odszedłem, pozostawiając go porządnie zdziwionego.

Przecież on w życiu nie upuścił żadnego naboju. Biedny Howlett!

3

Po południu, około czwartej spotkałem się z Davidem i psami w zagajniku, który ciągnie się aż do Paprociowego Gąszczu. Trzy setery, Voyou, Gamin i Mioche były w świetnej formie — David, spacerując z nimi rano, ustrzelił słonekę i parę kuropatw — i hasały po zagajniku, kiedy się zjawiłem ze strzelbą pod pachą i zapaloną fajką.

— Jak tam perspektywy, Davidzie? — spytałem, usiłując nie stracić równowagi w piszczącym kłębowisku merdających psich ogonów. — Hejże... co ci się stało, Mioche?

— Miał cierń w łapie, sir. Wyciągnąłem go i opatrzyłem ranę, ale chyba

dostał się piach. Za pozwoleniem, sir, chyba zabiorę go ze sobą.

— Tak będzie bezpieczniej — stwierdziłem. — Zabierz też Gamina, dziś po południu wystarczy mi jeden pies. Jak sytuacja?

— Bardzo dobrze, sir. Zaraz za dębniakiem siedzą kuropatwy, słonki przeważnie w olchach. Widziałem mnóstwo bekasów na łąkach. Koło jeziora było coś jeszcze, nie wiem co, ale kaczkę rozkwakały się jak głupie, kiedy tkwiłem w zaroślach, i uciekły do lasu, jakby je goniło stado lisów.

— Pewnie to był lis — stwierdziłem. — Weź psy na smycz, muszą nauczyć się chodzić przy nodze. Wrócę przed kolacją.

— Jest jeszcze coś, sir — rzekł David, ociągając się ze strzelbą pod pachą.

— Tak?

— W starym lesie przy dębniaku widziałem jakiegoś mężczyznę... przynajmniej tak mi się wydaje.

— Drwala?

— Chyba nie, sir... chyba że... Czy są wśród nich Chińczycy?

— Chińczycy? Nie. Chyba nie widziałeś w tym lesie Chińczyka?

— Hm... wydaje mi się, że tak... ale pewien nie jestem. Zniknął, kiedy wbiegłem w zarośla.

— Czy psy coś zauważyły?

— Nie wiem dokładnie. Zachowywały się dziwnie. Gamin leżał i piszczał — może miał kolkę — a Mioche skamlał — może przez tamten cień.

— A Vyou?

— Vyou był najdziwniejszy, sir, sierść mu się zjeżyła na grzbiecie, a ja zobaczyłem świstaka biegnącego do pobliskiego drzewa.

— To nic dziwnego, że Vyou się najeżył. Twój Chińczyk, Davidzie, to był zwykły pień albo kępa trawy. Zabierz już teraz psy.

— Pewnie ma pan rację, sir. Do zobaczenia — powiedział David i odszedł z seterami, a ja zostałem w zagajniku sam z Vyou.

Popatrzyłem na psa, a on popatrzył na mnie.

— Vyou!

Pies usiadł, przebijając tylko przednimi łapami, a jego piękne brązowe oczy błyszczały.

— Gałgan z ciebie — powiedziałem. — To gdzie idziemy, w olchy czy za dębniak? Za dębniak? Świetnie! To na kuropatwy! Do nogi, przyjacielu, pokaż swoje znakomite ułożenie.

Vyou ruszył za mną, trzymając się blisko i wspaniałomyślnie nie zwracając uwagi na zuchwałe wiewiórki oraz tysiąc jeden kuszących, ważnych zapachów, które każdy zwyczajny pies natychmiast musiałby zbadać.

Brązowożółty jesienny krajobraz szeleścił dokoła od niesionych z wiatrem liści i gałązek, które trzeszczały nam pod nogami, gdy wyszliśmy z zagajnika do starego lasu. Każdy cichy strumyk spieszący w stronę jeziora migotał

wesoło barwami namalowanymi przez unoszące się na powierzchni liście, szkarłatne klonowe i żółte dębowe. Cętki słonecznego światła pstrzyły sadzawki, penetrując ich brązowe głębie, oświetlając żwirowe dno, gdzie ławice małych rybek pływały tam i z powrotem, tam i z powrotem w sobie tylko znanym celu. W wysokiej, łamliwej trawie na skraju lasu grały świerszcze, lecz zostawiliśmy je daleko za sobą, pogrążając się w ciszy w głębi lasu.

— Szukaj! — poleciłem Voyou.

Pies wyrwał naprzód, zatoczył koło, zygzakiem przebiegł przez otaczające nas paprocie, wszystko to niemal w jednej chwili, aż zeszytniał jak skała albo posąg z brązu. Podszedłem do przodu, podnosząc strzelbę, dwa kroki, trzy, może dziesięć, gdy z chaszczy poderwał się wielki samiec kuropatwy i przeleciał skrajem zarośli w większy gąszcz. Moja strzelba rozbłysła, huknęła, odbijając się echem od otaczających lasy wzgórz, i za woalem dymu coś ciemnego spadło z powietrza w otoczeniu chmury piór tak brązowych jak liście pod moimi stopami.

— Aport!

Z ziemi poderwał się Voyou i po chwili już wracał pędem z wygiętą szyją, sztywnym, lecz merdającym ogonem, trzymając delikatnie w różowym pysku masę zmierzwionych, brązowych piór. Z wielką powagą złożył ptaka u moich stóp i położył się przy nim, z jedwabistymi uszami na łapach, z pyskiem na ziemi.

Wrzuciłem kuropatwę do torby, przez chwilę w ciszy popieściłem w nagrodę Voyou, po czym zarzuciłem broń na ramię i pokazałem psu, że ruszamy.

Było pewnie około piętej, gdy wszedłem na niewielką leśną polanę i usiadłem, by odetchnąć. Voyou podszedł i położył się przede mną.

— Co tam? — spytałem.

Voyou z powagą wyciągnął jedną łapę, a ja ująłem ją w swoje ręce.

— I tak nie uda nam się wrócić na kolację — rzekłem — więc równie dobrze możemy się nie spieszyć. Wszystko to twoja wina, wiesz? Masz cierni w łapie? Pokaż... proszę! Już wyjęty, przyjacielu, możesz teraz powęszyć trochę dokoła. Ale jak będziesz tak latał z wywieszonym jęczorem, to cały zaraz będziesz we mchu i gałązkach... I nie możesz położyć się i tak głośno nie sapać...? Nie, nie musisz niuchać i szukać w tych paprociach, bo zamierzam zapalić sobie teraz, zdrzemnąć się minutkę i wrócić do domu przy świetle księżyca. Pomyśl, jak wspaniała kolację sobie zjemy! Pomyśl, jak będzie się martwił Howlett, gdy nie wrócimy na czas! Pomyśl, jakie to historie będziesz mógł opowiedzieć Gaminowi i Mioche'owi! Pomyśl, jakim wspaniałym jesteś psem!.. No, stary, zmęczony jesteś. Zdrzemnij się ze mną.

Voyou był trochę zmęczony. Wyciągnął się na liściach u moich stóp,

lecz tego, czy naprawdę śpi, czy nie, nie mogłem być pewien, dopóki nie zadrżały mu tylne łapy, a wtedy wiedziałem już, że śni o wielkich psich czynach.

Sam zdrzemnąłem się może przez minutkę, a może i nie, w każdym razie słońce zdawało się wisieć wcale nie niżej, gdy usiadłem i podniosłem powieki. Voyou dźwignął łeb, dostrzegł w moich oczach, że jeszcze nie idę, wałnął kilka razy ogonem o suche liście i wzdychając, ułożył się z powrotem.

Rozejrzałem się leniwie dokoła i dopiero teraz zauważyłem, jak niezwyklej urody miejsce wybrałem sobie na drzemkę. Była to owalna polana w sercu lasu, równa i wymoszczona zieloną trawą. Otaczały ją olbrzymie drzewa; tworzyły jeden wysoki, okrągły mur zieleni, zasłaniając wszystko poza turkusowym owalem nieba nad głową. W tej chwili spostrzegłem także, że pośrodku murawy znajduje się sadzawka, krystalicznie czysta i połyskująca jak lustro pośrodku łąki w sąsiedztwie granitowego bloku. Wydawało się wręcz niemożliwe, by owa symetria drzew, trawy i przejrzystej sadzawki była dziełem natury. Nigdy przedtem nie widziałem owej polany ani nie słyszałem, by mówili o niej Pierpont czy Barris. Był to istny cud, to diamentowo czyste jeziorko o regularnym kształcie i wdzięku rzymskiej fontanny osadzone w przepięknej zieleni. I te wspaniałe drzewa — one również zdawały się należeć nie do Ameryki, lecz do jakiegoś nawiedzanego legendą lasu we Francji, gdzie omszałe marmurowe płyty sterczą zapomniane na cienistych polanach, a leśny półmrok chroni wróżki i blade cienie przed krainą ciemności.

Położyłem się znowu i patrzyłem, jak słoneczny blask spływa na gąszcz poplątanej roślinności, gdzie jaśniały szkarłatne kwiaty lobelii, albo jak jeden długi, pylisty promień muska brzegi pływających po sadzawce liści, nadając im barwę bledziuchnego złota. Były też ptaki przelatujące przez mroczne aleje wśród drzew niczym języki ognia, precudne kardynały w szacie z głębokiego szkarłatu, ptaki, które nadały nazwę tym lasom, odległej o dwadzieścia pięć kilometrów osadzie i całej okolicy.

Przekręciłem się na plecy i spojrzałem w niebo. Jakiż piękny odcień posiadało, błękit wpadający w turkus. Zdawało mi się, że leżę na dnie studni o ścianach z zieleni górujących ze wszystkich stron. I kiedy tak leżałem, powietrze wokół mnie zaczął wypełniać słodki zapach. Stawał się coraz słodszy i coraz bardziej wyraźny, a ja pomyślałem, cóż to za zabłąkany wietrzyk szumiący gdzieś nad łąkami lilii mógł go do mnie przynieść. Nie wiał jednak najmniejszy wietrzyk, powietrze stało bez ruchu. Na mej dłoni przysiadła złocista dzika pszczoła. Tak samo jak mnie, wonny bezruch powietrza nie dawał jej spokoju.

I wtedy gdzieś z tyłu zawarczał mój pies.

Usiadłem i znieruchomiałem, początkowo ledwo oddychając, lecz wzrok skupiłem na postaci przesuwającej się brzgiem sadzawki wśród traw. Pies

warczał teraz ciszej, czujny i drżący.

Wreszcie podniosłem się i podszedłem szybko do sadzawki, a pies podążył tuż za mną.

Ta postać — kobieta — powoli się ku nam odwróciła.

4

Stała nieruchomo, gdy zbliżyłem się do sadzawki. W lesie dokoła panowała taka cisza, że kiedy do niej przemówiłem, przestraszył mnie dźwięk własnego głosu.

— Nie — odpowiedziała, a głos jej zabrzmiał delikatnie jak szum płynącej wody. — Nie zgubiłam się. Czy podejdzie do mnie? Pański piękny pies?

Nim zdążyłem przemówić, Voyou podkradł się i przytulił jedwabisty łeb do jej kolan.

— Chyba nie przyszła pani tutaj sama.

— Sama? Owszem, przyszłam sama.

— Przecież najbliższa osada to Cardinal Springs, przeszło dwadzieścia kilometrów stąd, gdzie stoimy.

— Nie wiem, co to Cardinal Springs — powiedziała.

— A do Ste. Croix w Kanadzie jest ze sześćdziesiąt kilometrów, co najmniej... Jak się pani znalazła w tym lesie? — spytałem zdumiony.

— W lesie? — powtórzyła nieco zniecierpliwiona.

— No tak.

Nie odpowiedziała od razu, lecz stała i pieściła Voyou łagodną mową i gestem.

— Podoba mi się pański piękny pies, ale nie podoba mi się, że tak jestem przepytywana — oznajmiła spokojnie. — Mam na imię Ysonde i przyszłam do fontanny, żeby zobaczyć pańskiego psa.

Dosłownie mnie zatkało. Dopiero po dłuższej chwili powiedziałem, że za godzinę zacznie się zmierzchać, lecz ona ani nic nie odrzekła, ani nawet na mnie nie spojrzała.

— Piękna ta sadzawka — zaryzykowałem. — Nazywa ją pani fontanną... cudowna z niej fontanna: nigdy przedtem jej nie widziałem. Trudno sobie wyobrazić, że natura stworzyła coś podobnego.

— Czyżby? — odparła.

— Pani tak nie uważa?

— Nie zastanawiałam się nad tym. Ale chciałabym, aby odchodząc, zostawił mi pan swego psa.

— Mojego... mojego psa?

— Jeśli pan się zgodzi — rzekła słodko i po raz pierwszy spojrzała mi w twarz.

Nasze spojrzenia spotkały się na moment, po czym jej twarz spoważniała,

a ja spostrzegłem, że wzrok utkwiła w moim czole. Nagle wstała i podeszła bliżej, uważnie wpatrując się wciąż w to samo miejsce. Miałem tam blady znak, maleńki księżyc tuż nad brwią. Takie znamię.

— Czy to blizna? — zapytała, przybliżając się.

— Ten księżyc? Nie.

— Nie? Jest pan pewien? — dociekała.

— Najzupełniej — odparłem zdziwiony.

— Zatem... znamię?

— Tak... mogę spytać, skąd ta ciekawość?

Gdy się ode mnie znów oddaliła, spostrzegłem, jak pobladły jej policzki. Przycisnęła na moment dłoń do oczu, jakby chciała pozbyć się widoku mej twarzy, po czym powoli opuszczając ręce, usiadła na długim, kamiennym bloku, który okalał w połowie sadzawkę i na którym, ku swemu zdumieniu, dostrzegłem rzeźbienia. Voyou podszedł do niej znowu i położył łeb na jej kolanach.

— Jak się pan nazywa? — spytała po dłuższym czasie.

— Roy Cardenhe.

— A ja Ysonde. Wyrzeźbiłam w kamieniu te ważki, ryby, te muszle i motyle, widzi pan?

— To pani! Są tak cudownie delikatne... Ale to nie są amerykańskie ważki...

— Nie, te są piękniejsze. Widzi pan, mam przy sobie młotek i dłuto.

Wyjęła z dziwnej sakiewki przy boku mały młoteczek i dłuto i wyciągnęła do mnie ręce.

— Jest pani bardzo uzdolniona — stwierdziłem. — Gdzie pani studiowała?

— Ja? Nigdzie. Wszystko to samo do mnie przyszło. Rzeźbiłam w kamieniu to, co zobaczyłam. Podoba się panu? Kiedyś pokażę panu inne moje rzeźby. Gdybym miała wielką bryłę brązu, mogłabym wyrzeźbić pańskiego psa, byłby piękny jak żywy.

Jej młoteczek wpadł do fontanny, a ja nachyliłem się i zanurzyłem rękę, by go znaleźć.

— Tam jest, połyskuje na piasku — rzekła, nachylając się nad sadzawką wraz ze mną.

— Gdzie? — spytałem, patrząc na nasze odbicia w wodzie. Jako że tylko w wodzie, jak dotąd, ośmieliłem się tak długo patrzeć jej w twarz.

Tafla sadzawki odbijała niespotykany owal głowy, gęste włosy, oczy. Usłyszałem jedwabisty szelest ubrań, pochwyciłem błysk jasnego ramienia i młoteczek został wyciągnięty, ociekając wodą.

Zmącona powierzchnia sadzawki uspokoiła się i ujrzałem odbicie jej oczu.

— Proszę posłuchać — rzekła — myśli pan, że przyjdzie tu jeszcze do mojej fontanny?

— Przyjdę — powiedziałem.

Mój głos zabrzmiał głucho; szum wody wypełnił mi uszy.

Nagle po tafli sadzawki przemknął cień; przetarłem oczy. Tam, gdzie jej twarz nachylała się obok mojej, nie odbijało się nic poza różowym wieczornym niebem z połyskującą blado jedną gwiazdą.

Wyprostowałem się i obróciłem. Ysonde znikła. Ujrzałem nad sobą słabe światło gwiazdy migoczącej w wieczornej zorzy, ujrzałem wysokie drzewa nieruchome w spokojnym wieczornym powietrzu, ujrzałem mego psa śpiącego twardo u moich stóp.

Wypełniający powietrze słodki zapach ulotnił się, pozostawiając w moich nozdrzach ciężką woń paproci i leśnej pleśni. Ścisnął mnie ślepy strach, chwyciłem strzelbę i pognałem przez ciemniejący las.

Pies podążył za mną, przedzierając się przez zarośla u mego boku. Światło stało się coraz słabsze, ale kroczyłem dalej, pot zalewał mi twarz i rosił włosy, w głowie miałem mętlik. Jak dotarłem do zagajnika, prawie nie pamiętam. Gdy skręciłem na ścieżkę, mignęła mi przed oczami ludzka twarz patrząca na mnie z ciemniejącego gąszczu — okropna ludzka twarz, żółta i wychudzona, o wysokich kościach policzkowych i wąskich oczach.

Zatrzymałem się mimowolnie; pies u mego boku zawarczał. Rzuciłem się tam, brnąłem na oślep przez gąszcz, ale noc zapadała szybko i skończyłem, sapiąc i walcząc w labiryncie poskręcanych gałęzi i pnączy, nie widząc nawet podszycia, które mnie uwięziło.

Błądą twarz, do tego odrapaną, sam zaprezentowałem przy późnej kolacji tego wieczoru. Obsłużył mnie Howlett z niemym wyrzutem w oczach, bo zupa wystygła, a kuropatwa wyschła na wiór.

David wprowadził psy, kiedy same zjadły kolację, a ja przysunąłem fotel do ognia i postawiłem na stoliku obok piwo. Psy zwinęły się w kłębki u moich stóp, mrugając z powagą do iskier, które strzelały i unosiły się falami z grubych brzoźowych polan.

— Davidzie — odezwałem się — czy nie mówiłeś, że widziałeś dzisiaj Chińczyka?

— Mówiłem, sir.

— Co teraz o tym sądzisz?

— Mogłem się pomylić, sir...

— Wcale tak nie uważasz. Jakiej to whisky nalałeś mi dzisiaj do piórkówki?

— Tej co zwykle, sir.

— Dużo jej ubyło?

— Jakieś trzy łyki, jak zwykle, sir.

— A myślisz, że mogła z tą whisky zająć jakaś pomyłka... że mogło dostać się do niej jakieś lekarstwo, na przykład?

David uśmiechnął się i odparł: — Nie, sir.

— Cóż — rzekłem — miałem przedziwny sen.

Gdy powiedziałem „sen”, od razu poczułem się lepiej i pewniej. Do tej pory nie ośmieliłem się o tym wspominać, nawet przed sobą samym.

— Przedziwny sen — powtórzyłem. — Zasnąłem w lesie około piętej na tej ślicznej polanie z fontanną... to jest, z sadzawką. Znasz to miejsce?

— Nie, sir.

Opisałem je z najdrobniejszymi szczegółami, dwukrotnie, David jednak pokręcił głową.

— Rzeźbiony kamień, powiada pan, sir? Nigdy się na niego nie natknąłem. Nie chodzi panu o Nowe Źródło...

— Nie, nie! Ta polana jest dużo dalej. Czy możliwe, że jacyś ludzie żyją w lesie pomiędzy naszą chatą a granicą z Kanadą?

— Nie, nikt tu nie mieszka aż do Ste. Croix. Przynajmniej nic o tym nie wiem.

— Oczywiście — rzekłem. — Kiedy zdawało mi się, że widzę Chińczyka, był to tylko wytwór mojej wyobraźni. Oczywiście to twoja przygoda podziałała na mnie bardziej, niż mi się wydawało. I oczywiście nie widziałeś żadnego Chińczyka, Davidzie.

— Zapewne, sir — odrzekł z powątpiewaniem David.

Odesłałem go do łóżka, mówiąc, że psy zostaną przy mnie przez całą noc, a kiedy odszedł, wziąłem porządny, długi łyk piwa, „nie ma co sobie żałować”, jak mawiał Pierpont, i zapaliłem cygaro. Pomyślałem następnie o Barrisie i Pierponcie, o ich zimnym posłaniu, bo wiedziałem, że nie ośmiela się rozpaścić ogniska, i pomimo bijącego od komina ciepła i strzelającego ognia, wstrząsnął mną dreszcz współczucia.

Opowiem Barrisowi i Pierpontowi całą historię i zabiorę ich, żeby obejrzeeli rzeźbiony kamień i fontannę — pomyślałem. — Ależ to był piękny sen... Ysonde... jeśli był to sen.

Po czym podszedłem do lustra i przyjrzałem się blademu, białemu znamieniu nad brwią.

5

Około ósmej następnego ranka, kiedy siedziałem i apatycznie przyglądałem się, jak Howlett napełnia mój kubek kawą, Gamin i Mioche zaskowytały, a po chwili usłyszałem wchodzącego na werandę Barrisa.

— Witaj, Roy — rzucił Pierpont, wkraczając w tym samym momencie do jadalni. — Gdzie moje śniadanie, psiakość! Gdzie jest Howlett... I żadnej mi tu tylko kawy z mlekiem... Chcę kotleta i parę jajek. Spójrz na tego psa, ogon mu zaraz odpadnie od merdania...

— Pierpont — rzekłem — twoja chaotyczna gadatliwość jest wprost szokująca, acz mile widziana. Gdzie Barris? Mokry jesteś od stóp do głów.

Pierpont usiadł i zdjął sztywne od błota getry.

— Barris poszedł od razu zadzwonić do Cardinal Springs... zdaje się, że chce tu sprowadzić paru swoich ludzi... Gamin, ty głupku! Howlett, trzy jaja w koszulkach i tosty... co to ja mówiłem? Aha, o Barrisie. Natknął się na coś, co, jak ma nadzieję, pomoże mu namierzyć tamtych wytwórców złota.

— Billy! No proszę! — zawołałem, przyjemnie zaskoczony. — Uczysz się składnie mówić! A niech mnie! Sam robisz sobie naboje, sam nosisz strzelbę i sam z niej strzelasz, no, no! O, jest Barris, cały w błocie. Naprawdę, chłopcy, powinniście zmienić ubranie... Fe! Co to za koszmarny smród!

— To pewnie to — rzekł Barris, wrzucając coś do paleniska, gdzie owo coś skuliło się, a potem zaczęło się wić. — Znalazłem w lesie nad jeziorem. Wiesz, co to może być, Roy?

Ku swemu obrzydzeniu zobaczyłem, że to kolejny z pająko-róbako-krabostworów, jakiego Godfrey miał u Tiffany'ego.

— Tak mi się zdawało, że znam skądś ten gryzący odór — rzekłem. — Na miłość boską, zabierz go od stołu, Barris!

— Ale co to jest? — upierał się, odpinając lornetkę i rewolwer.

— Powiem ci, co wiem, po śniadaniu — odparłem stanowczo. — Howlett, weź miotłę i wymieć to paskudztwo na drogę. Z czego się śmiesz, Pierpont?

Howlett wymiotł odrażającego stwora na dwór, a Barris i Pierpont poszli zmienić mokre od rosy ubrania na coś suchego. David przyszedł zabrać psy na przechadzkę, a po kilku minutach wrócił Barris i zajął swoje miejsce u szczytu stołu.

— A więc — rzekłem — macie co opowiadać?

— Niewiele. Siedzą w pobliżu jeziora po drugiej stronie lasu... znaczy się, ci wytwórcy złota. Zamierzam złapać jednego dziś wieczorem. Nie namierzyłem jeszcze dokładnie głównego gangu — podaj mi, proszę, grzanki, Roy — nie, dokładnego miejsca jego pobytu nie znam, ale jednego przynajmniej przyskrzyliłem. Pierpont okazał się bardzo pomocny, naprawdę — i co powiesz na to, Roy? On chce wstąpić do tajnych służb.

— Nasz mały Willy!

— Otóż to. Odwiode go od tego. Ale co to za gadzinę ja tu przyniosłem? Czy Howlett ją wymiotł?

— Jak dla mnie to może ją wmieść z powrotem — odrzekłem obojętnie. — Zjadłem już śniadanie.

— Nie, nie — powiedział Barris, szybko przełykając kawę — nie trzeba. Opowiedz mi o tym stworze...

— Dostałbyś za swoje, jakbym położył ci go na grzance — odparłem. Na co akurat Pierpont wszedł rozpromieniony, wykąpany i odświeżony.

— Mów, Roy, nie przerywaj sobie — rzekł.

No więc opowiedziałem im o Godfreyu i jego gadzim pieścioszku.

— Ale tak na zdrowy rozum, co interesującego widzi w tym stworzeniu

Godfrey? — zakończyłem, wrzucając papierosa do kominka.

— To coś japońskiego, nie uważasz? — rzekł Pierpont.

— Nie — odparł Barris — nie ma w tym nic z artystycznej groteski, jest ordynarne i okropne... wydaje się tandetne i niedokończone...

— Niedokończone, otóż to — rzekłem — jak dzieło amerykańskiego humorysty.

— Tak — przyznał Pierpont — tandetne. A co z tym złotym wężem?

— Ach, kupiło go Metropolitan Museum. Musicie go zobaczyć. Jest wspaniały.

Barris i Pierpont zapalili papierosy, a po chwili wszyscy wstaliśmy i wyszliśmy na trawnik, gdzie pod klonami rozpięte były hamaki.

Wyszedł też David z bronią pod pachą i psami, które trzymały się blisko jego nogi.

— Dziś o czwartej po południu trzy strzelby na łąkach — poinformował go Pierpont.

— Roy — rzekł Barris, gdy David uklonił się nam i ruszył dalej — a co ty robiłeś wczoraj?

Czekałem na to pytanie. Przez całą noc śniłem o Ysonde, o leśnej polanie, gdzie na dnie krystalicznej fontanny widziałem odbicie jej oczu. Przez cały ranek, kąpiąc się i ubierając, przekonywałem sam siebie, że nie warto tego snu opowiadać i że poszukiwanie polany i istniejących w mej wyobraźni rzeźbień na kamieniu byłoby niedorzecznością. Teraz jednak, gdy Barris zadał pytanie, postanowiłem nagle ze wszystkiego się zwierzyć.

— Wiecie, panowie — zacząłem szybko — opowiem wam coś dziwnego. Możecie się śmiać, ile chcecie, ale najpierw chciałbym zapytać o coś Barrisa. Byłeś kiedyś w Chinach?

— Tak — przyznał Barris, patrząc mi prosto w oczy.

— Czy jest możliwe, żeby Chińczyk został drwalem?

— Widziałeś tu Chińczyka? — spytał spokojnym głosem.

— Nie wiem. I Davidowi, i mnie wydawało się, że tak.

Barris i Pierpont wymienili spojrzenia.

— Wy też go widzieliście? — spytałem, odwracając się tak, by widzieć również Pierponta.

— Nie... — odrzekł powoli Barris — ale wiem, że jest albo był w tych lasach jakiś Chińczyk.

— Chyba sam diabeł! — zawołałem.

— Tak — przytaknął Barris poważnie — diabeł, jeśli tak wolisz, członek Kuen-Yuin.

Przysunąłem się z krzesłem do hamaka, w którym to leżał Pierpont, wyciągając do mnie rękę z kulą z czystego złota.

— A zatem? — rzekłem, przyglądając się uważnie jej grawerowanej powierzchni przedstawiającej całą masę poskręcanych stworów, chyba

smoków.

— A zatem — powtórzył po mnie Barris, wyciągając rękę, by odebrać złotą kulę — ta złota kula z wizerunkami gadów i chińskich hieroglifów jest symbolem Kuen-Yuin.

— Skąd to macie? — spytałem, czując, że dowiem się zaraz czegoś, co nie będzie mi się chciało pomieścić w głowie.

Okazało się, że Pierpont znalazł złoty przedmiot o wschodzie słońca nad jeziorem.

— To symbol Kuen-Yuin — powtórzył Barris — strasznego Kuen-Yuin, chińskich czarowników i najbardziej diabolicznej sekty na ziemi.

Paliliśmy papierosy w milczeniu, dopóki Barris nie wstał i nie zaczął chodzić w tę i z powrotem pośród drzew, podkręcając siwe wąsy.

— Członkowie Kuen-Yuin są czarownikami — powiedział, zatrzymując się przed hamakiem, w którym leżał i obserwował go Pierpont. — Dokładnie wiem, co mówię: czarownikami. Widziałem ich, widziałem ich przy tej ich diabelskiej robocie i powtarzam wam uroczyście, że jeśli są anioły w niebie, to jest też rasa diabłów na ziemi, a są nimi czarownicy. Ech! — zawołał. — Co tam magia Indian i joginów, i inne dyrdymały! Mówię ci, Roy, członkowie Kuen-Yuin posiadają absolutną władzę nad setkami milionów ludzi, nad ich umysłem i ciałem, nad ciałem i duszą. Czy wiecie, co dzieje się w głębi Chin? Czy wie Europa... czy ktokolwiek z ludzi byłby w stanie wyobrazić sobie, co dzieje się w tej gigantycznej czeluści piekieł? Czytacie gazety, słuchacie dyplomatycznych banialuk o Li Hongzangu i cesarzu, poznajecie relacje z bitew na morzu i lądzie i wiecie, że Japonia wzniciła mini-burzę na poszarpanej granicy wielkiego nieznanego. Ale nigdy dotąd nie słyszeliście o Kuen-Yuin; ani wy, ani żaden Europejczyk, poza może jednym czy drugim zbłąkanym misjonarzem, a ja powiadam wam, że kiedy ogień z tej piekielnej czeluści przedrze się przez kontynent na brzeg oceanu, to zdoła rozlać się po połowie świata — i niech Bóg ma w opiece jego drugą połowę.

Papieros Pierponta zgaśł; zapalił drugiego i popatrzył twardo na Barrisa.

— Ale — podjął spokojnie Barris — nie ma się co martwić na zapas, jak wiecie... Powiedziałem zresztą więcej, niż zamierzałem. Nic nikomu z tego nie przyjdzie. Także wy, Roy i Pierpont, o tym zapomnijcie. Taka sytuacja wydaje się równie niemożliwa i odległa jak to, że zgaśnie słońce. Chciałbym natomiast porozmawiać o możliwości czy też prawdopodobieństwie, że jakiś Chińczyk, członek Kuen-Yuin jest tutaj w tym momencie, w tym lesie.

— Jeśli jest — rzekł Pierpont — to być może wytwórcy złota jemu właśnie zawdzięczają swe odkrycie.

— Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości — przytaknął żarliwie Barris.

Wziąłem do ręki złotą kulę i przyglądałem się wygrawerowanym na niej kształtom.

— Barris — odezwał się Pierpont — nie zdołałem uwierzyć w czary, dopóki mam na sobie garnitur od Sanforda, w kieszeni którego spoczywa nie porozcinany jeszcze egzemplarz *Księżnej*.

— Ani ja — poparłem go — ponieważ czytuję gazety i wiem, że pan Godkin by na to nie pozwolił... Hejże! Co się dzieje z tą kulą?

— A co się dzieje? — spytał ponuro Barris.

— O rety... zmienia kolor... na fiolet, nie, szkarłat... nie, jest zielona, znaczy się... Wielkie nieba! Te smoki poruszają się pod moimi palcami...

— Niemożliwe! — mruknął Pierpont, pochylając się nade mną. — To nie są smoki...

— Nie! — wykrzyknąłem w podnieceniu. — To wizerunki tego gada, którego przyniósł Barris... widzisz... widzisz, jak wiją się, jak pełzają?

— Rzuć to! — nakazał Barris; i rzuciłem kulę na ziemię.

I zaraz klękliśmy przy niej na trawie, lecz kula znowu była złota, pokryta groteskowymi rzeźbieniami smoków i dziwnych znaków.

Pierpont nieco czerwony na twarzy podniósł ją i podał Barrisowi. Barris położył ją na krześle i usiadł obok mnie.

— Fiu! — odezwałem się, ocierając pot z twarzy. — Jak udało ci się zrobić nam takiego psikus, Barris?

— Psikus? — powtórzył Barris tonem pogardy.

Spojrzałem na Pierponta i serce mi stanęło. Jeśli nie był to psikus, to co? Pierpont odwzajemnił moje spojrzenie i poczerwieniał jeszcze bardziej, jednak rzekł tylko:

— Dziwne to jak diabli.

Zaś Barris na to:

— Owszem, jak diabli.

Po czym poprosił mnie, bym raz jeszcze opowiedział moją historię, no więc opowiedziałem, zaczynając od momentu spotkania z Davidem w zagajniku do chwili, gdy wskoczyłem w ciemniejące chaszcze, gdzie tamta żółta maska szczyrzyła do mnie zęby jak czaszka upióra.

— Spróbujemy odszukać tę fontannę? — spytałem po chwili milczenia.

— Tak... i, hm... tamtą panią — zasugerował niejasno Pierpont.

— Nie bądź szuja — powiedziałem lekko zniecierpliwiony. — Wcale nie musisz z nami iść.

— Ależ pójde — odparł Pierpont — chyba że waszym zdaniem jestem zbyt mało dyskretny...

— Milcz, Pierpont — nakazał Barris — to poważna sprawa; nigdy nie słyszałem o takiej polanie ani o takiej fontannie, ale prawdą jest, że nikt nie poznał tych lasów do końca. Warto spróbować. Roy, czy zdołasz znaleźć drogę w to miejsce?

— Bez trudu — odrzekłem. — Kiedy pójdziemy?

— Kompletnie rozłoży nam to polowanie na bekasy — stwierdził Pierpont — ale gdy ktoś ma okazję znalezienia żywej kobiety jak ze snu...

Podniosłem się, głęboko urażony, lecz Pierpont nie wyglądał na skruszonego, zaś jego śmiech był bardzo zaraźliwy.

— Pani będzie twoja, nie odbiorę przecież trofeum odkrywcy — mówił. — Obiecuję, że nie będę mieszał się do twoich snów, będę śnił o innych paniach.

— Daj już spokój — zagroziłem — bo każę Howlettowi wpakować cię zaraz do łóżka. Barris, jeśli jesteś gotowy, to może uda nam się wrócić na kolację.

Barris wstał i wpatrywał się we mnie z powagą.

— O co chodzi? — spytałem nerwowo, bo spostrzegłem, że wzrok utkwiał w moim czole, i pomyślałem o Ysonde i białej bliznie w kształcie księżyca.

— Czy to znamię? — spytał Barris.

— Tak... czemu pytasz?

— A tak... ciekawy zbieg okoliczności...

— Na litość boską, jaki?

— Ta blizna... czy raczej znamię. To odcisk smoczego pazura... księżyc będący symbolem Yue-Lao...

— A kim, u diabła, jest ten Yue-Lao? — spytałem gniewnie.

— Yue-Lao, Księżycowy Starzec, Dzil-Nbu wszystkich Kuen-Yuin. To chińska mitologia, jednak wierzy się, że Yue-Lao powrócił, by objąć władzę nad Kuen-Yuin.

— Ta rozmowa — wtrącił się Pierpont — zaczyna trącić zabobonem. Roya tchórz obleciał, a Barris się z nas podśmiewa. Chodźcie, panowie, złożymy wizytę pani ze snów... Barris, słyszę galopujące konie; twoi ludzie jadą...

Przed werandę zajechali dwaj ubłoceni jeźdźcy i na znak dany przez Barrisa zsiadli z koni. Spostrzegłem, że obaj mają karabiny powtarzalne i ciężkie rewolwery Colta.

Z poważaniem udali się za Barrisem do jadalni, a po chwili usłyszeliśmy pobrzękiwanie talerzy i butelek i niski, śpiewny głos Barrisa.

Po półgodzinie wyszli, zasalutowali Pierpontowi i mnie i odjechali galopem w stronę granicy z Kanadą. Minęło dziesięć minut, a Barris nadal się nie pojawiał, więc wstaliśmy i weszliśmy do domu, żeby go poszukać. Siedział w milczeniu przed stołem, przyglądając się małej złotej kuli, która teraz żarzyła się szkarłatem i oranżem jak rozżarzony węgiel. Za jego plecami, jak skamieniały, z rozdziawioną gębą i wybałuszonymi oczami stał Howlett.

— Idziesz? — spytał Pierpont nieco wystraszony.

Barris nie odpowiedział. Kula powoli odzyskiwała swój bladozłoty kolor,

za to twarz, którą ukazał nam Barris, była biała jak papier. Po chwili wstał i uśmiechnął się z trudem, który zadał ból nam wszystkim.

— Dajcie mi ołówek i kawałek papieru — powiedział.

Howlett przyniósł jedno i drugie. Barris podszedł do okna i pisał coś szybko. Złożył kartkę, umieścił ją w górnej szufladzie swego biurka, zamknął ją na klucz, podał mi go i pokazał, że mamy iść za nim.

Kiedy staliśmy znowu pod klonami, zwrócił się do mnie z nieprzeniknioną twarzą. — Będiesz wiedział, kiedy użyć klucza — rzekł. — Chodźmy, Pierpont, musimy spróbować znaleźć fontannę Roya.

6

O drugiej po południu, jak zasugerował Barris, poniechaliśmy szukania fontanny na polanie i przeszliśmy przez las do zagajnika, gdzie David i Howlett czekali na nas ze strzelbami i trzema psami.

Pierpont stroił sobie ze mnie bezlitosne żarty z powodu „pani ze snów”, jak ją nazywał, i gdyby nie znaczący zbieg okoliczności, jakim były pytania Ysonde i Barrisa o białą bliznę na moim czole, sam dawno już uznałbym rzecz całą za sen. A tak — nie potrafiłem tego w żaden sposób wyjaśnić. Nie udało nam się znaleźć polany, choć z pięćdziesiąt razy podchodziliśmy do punktów orientacyjnych, które upewniały mnie, że zaraz na nią wkroczymy. Barris milczał, z rzadka tylko odzywając się słowem do któregoś z nas podczas całych poszukiwań. Nigdy dotąd nie widziałem go przygnębionego. Gdy jednak zobaczyliśmy zagajnik, gdzie czekała na nas kuropatwa na zimno i butelka burgunda, zdawało się, że Barris odzyskał typowy dla siebie dobry humor.

— Oto i pani ze snów! — rzekł Pierpont, wznosząc kieliszek i wstając.

Nie podobało mi się to. Jeśli nawet był to tylko sen, drażniły mnie ciągle drwiny Pierponta.

Barris chyba mnie rozumiał — nie wiem, ale nakazał Pierpontowi pić wino i nie gadać więcej, a młody człowiek posłuchał go z isticie dziecinna uległością, która niemal wywołała u Barrisa uśmiech.

— A co z bekasami, Davidzie? — spytałem. — Łąki są ich pewnie pełne.

— Na łąkach nie ma ani jednego bekasa, sir — odrzekł poważnie David.

— Niemożliwe — wykrzyknął Barris. — Nie mogły przecież odlecieć.

— Właśnie że odleciały, sir — potwierdził David grobowym głosem, który ledwo rozpoznawałem.

Wszyscy trzej popatrzyliśmy na starszego mężczyznę z zaciekawieniem, czekając na szczegóły owego rozczarowującego, acz sensacyjnego doniesienia.

David popatrzył teraz na Howletta, a Howlett zapatrzył się w niebo.

— Szedłem — zaczął starszy mężczyzna ze wzrokiem utkwionym

w Howletcie — siedłem z psami wzdłuż zagajnika, gdy usłyszałem w zaroślach jakiś hałas i zobaczyłem Howletta, siedł bardzo szybko w moją stronę. W gruncie rzeczy — mówił dalej David — rzec można, że biegł. Biegleś, Howlett?

Howlett odrzekł: — Tak — z udawanym kaszlem.

— Proszę wybaczyć — dodał David — ale wolałbym, żeby resztę opowiedział Howlett. Widział to, czego ja nie widziałem.

— Mów, Howlett — polecił Pierpont, mocno zaciekawiony.

Howlett zakaszał znowu, zasłaniając się wielką, czerwoną ręką.

— Co mówi David, to prawda, sir — zaczął. — Zobaczyłem w oddali psy, strasznie szczekwały, sir, a David stał i palił fajkę za bukiem, gdy ujrzałem, jak z krzaków wyskakuje głowa trzymając kij, sir, jakby zamierzała się na psy.

— Głowa trzymająca kij? — odezwał się srogim głosem Pierpont.

— Głowa i ręce, sir — wyjaśnił Howlett — ręce, co trzymały malowany kij... thak, sir. „Owlett, myślę sobie, coś thu jest nie thak”, no więc wyskakhuję i biegnę, ale ten łajdhak mnie zobaczył i jak dhobieglem dho Dhavidha, już gho nie było. „Withaj, Owlett, mówi Dhavid, dho dhiabła — proszę o wybaczenie, sir — skąd się thu wzięłeś?”, pyta bardzo głośno. „Przybiegłem, mówię, bo jakiś Chińczyk dhrazni psy!” „Na Bogha, jakhi Chińczyk?”, mówi Dhavid, celując z broni w krzakhi. Zdawało mi się, że gho widzę, pobieглиśmy, psy zaraz za nami, ale nie zobaczyliśmy żadnego Chińczyka.

— Resztę sam opowiem — rzekł David, a Howlett zakaszał i stanął skromnie za psami.

— Mów — polecił Barris dziwnym głosem.

— A więc, sir, kiedy Howlett i ja zaprzestaliśmy pościgu, byliśmy na skraju urwiska nad południową łąką. Zobaczyłem, że są tam setki ptaków, głównie broźców i siewek, Howlett też je widział. Raptem, zanim zdążyłem odezwać się do Howletta choćby słowem, coś plusnęło w jeziorze, ale był to taki plusk, jakby całe urwisko zważyło się do wody. Tak się wystraszyłem, że skoczyłem prosto w zarośla, Howlett usiadł na miejscu, zaś wszystkie bekasy poderwały się — setki ich były — wrzeszcząc ze strachu, a kaczki wypadły na łąkę, jakby je sam czart gonił.

David urwał i popatrzył w zamyśleniu na psy.

— Mów dalej — polecił Barris wciąż spiętym głosem.

— Dalej już nic nie było, sir. Bekasy nie wróciły.

— A ten plusk w jeziorze?

— Nie wiem, co to było, sir.

— Łosoś? Łosoś chyba nie wystraszyłby tak bekasów i kaczek?

— Nie, nie, sir. Nawet pięćdziesiąt skaczących łososi nie wywołałoby takiego plusku. Prawda, Howlett?

— No...

— Roy — odezwał się Barris po dłuższej chwili — to, co powiedział nam David, załatwia na dziś sprawę polowania na bekasy. Mam zamiar zabrać już Pierponta do domu. A Howlett i David pójdą za nami z psami — mam im coś do powiedzenia. Jak chcesz, możesz iść z nami, a jak nie, to idź i ustrzel parę kuropatw na kolację i wróć przed ósmą, jeżeli chcesz zobaczyć, co wraz z Pierpontem odkryliśmy ostatniej nocy.

David gwizdnął na Gamina i Mioche'a i ruszył za Howllettem z koszem w stronę domu. Ja zaś przywołałem Voyou, wziąłem do ręki strzelbę i zwróciłem się do Barrisa:

— Wróć przed ósmą. Czyżbyś spodziewał się schwytać kogoś z tych wytwórców złota?

— Owszem — odrzekł bez zapału Barris.

Pierpont zaczął mówić coś o Chińczyku, ale Barris pokazał mu, że ma ruszać, i skinąwszy do mnie, wkroczył na ścieżkę, którą Howlett i David podążyli w stronę domu. Gdy zniknęli, wetknąłem strzelbę pod pachę i skręciłem ostro do lasu z Voyou truchającym tuż przy mojej nodze.

Wbrew mej woli ponowne pojawienie się Chińczyka wywołało u mnie nerwowość. Gdyby znowu zakłócił mój spokój, przyrzekłem sobie, że rzucę się na niego i dowiem się, co robi w Cardinal Woods. Jeśli nie będzie umiał satysfakcjonująco mi tego wytłumaczyć, zaprowadzę go do Barrisa w charakterze podejrzanego o produkcję złota — zaprowadzę go tak czy inaczej, pomyślałem, nie będzie więcej paskudził lasu swoją szkaradną gębą. Ciekawe, co też David usłyszał w jeziorze. Musiała to być jakaś wielka ryba, może jednak łosoś, myślałem; Davida i Howletta nerwy pewnie zawiodły po szalonym pościgu za Chińczykiem.

Skomlenie psa przerwało nić moich rozważań i podniosłem głowę. Stałem jak wryty.

Przedemną rozciągała się zaginiona polana.

Pies wbiegł już na nią po aksamitnej darni i po chwili był przy rzeźbionym kamieniu, na którym siedziała smukła postać. Zobaczyłem, jak Voyou z miłością kładzie swój jedwabisty łeb na jej jedwabnej sukni; zobaczyłem, jak pochyła się nad nim jej twarz, po czym wstrzymałem oddech i powoli wszedłem na skąpaną w słońcu polanę.

Z pewną nieśmiałością wyciągnęła do mnie białą dłoń.

— Skoro pan przyszedł — rzekła — mogę pokazać panu więcej moich prac. Mówiłam, że potrafię rzeźbić inne rzeczy, nie tylko ważki i motyle takie jak na tym kamieniu... Dlaczego pan tak na mnie patrzy? Żle się pan czuje?

— Ysonde — wyjąkałem.

— Tak — rzekła, a pod oczami odmalował jej się bladziuchny rumieniec.

— Ja... nie spodziewałem się, że jeszcze panią zobaczę — wypaliłem. — Pani... ja... ja myślałem... myślałem, że to był sen.

— Sen? O mnie? Może i pan śnił, czy to takie dziwne?

— Dziwne? N-nie, ale... dokąd pani poszła, gdy... pochyłaliśmy się oboje nad fontanną? Widziałem pani twarz... pani twarz odbita w wodzie obok mojej, a potem... potem nagle ujrzałem tylko błękitne niebo i jedną mrugającą gwiazdę.

— To dlatego, że pan zasnął — odparła — czyż nie?

— Ja... zasnąłem?

— Zasnął pan... pomyślałam, że jest pan bardzo zmęczony, no i wróciłam...

— Wróciła pani? Dokąd?

— Do domu, gdzie tworzę swe piękne rzeźby; widzi pan, przyniosłam jedną, żeby dziś panu pokazać.

Wziąłem do ręki wyrzeźbione zwierzę, które mi podała, jaszczurkę z litego złota z rozłożonymi skrzydłami tak delikatnymi, tak cienkimi, że przeświecało przez nie słońce, które padając na ziemię, rozlewało się w płomienne, złote kałuże.

— Wielkie nieba! — zawołałem. — To niesamowite! Gdzie nauczyła się pani robić takie cuda? Ysonde, ta rzecz jest bezcenna!

— Och, mam taką nadzieję — rzekła z powagą. — Trudno mi sprzedawać owoce mej pracy, ale ojczym zabiera je ode mnie i gdzieś wysyła. To druga rzeźba, jaką stworzyłam, i wczoraj powiedział mi, że muszę mu ją oddać. Przypuszczam, że jest ubogi.

— Nie rozumiem, jak może być ubogi, skoro daje pani złoto do rzeźbienia — powiedziałem zdumiony.

— Złoto! — wykrzyknęła. — Och, złoto! On ma pokój pełen złota! Sam je produkuje.

Usiadłem na trawie u jej stóp, kompletnie wytrącony z równowagi.

— Dlaczego pan tak na mnie patrzy? — spytała nieco zaniepokojona.

— A gdzie mieszka pani ojczym? — zapytałem wreszcie.

— Tutaj.

— Tutaj?

— W lesie niedaleko jeziora. Nigdy nie zdoła pan znaleźć naszego domu...

— Domu!

— Oczywiście, że domu. Myślał pan, że mieszkam na drzewie? Jakie to niemądre. Mieszkam z ojczymem w pięknym domu — małym, ale bardzo pięknym. Robi tam to swoje złoto, ale ludzie, którzy je zabierają, nigdy nie przychodzą do domu, bo nie wiedzą, gdzie jest, a gdyby nawet wiedzieli, toby do niego nie weszli. Ojczym wkłada bryłki złota do płóciennej torby. Kiedy torba jest pełna, zanosi ją do lasu, gdzie mieszkają tamci ludzie, ale nie wiem, co oni z nim robią. Chciałabym, żeby sprzedał to złoto i wzbogacił się, bo wtedy mogłabym wrócić do Yian, gdzie wszystkie ogrody pełne są słodczy i rzeka wije się pod tysiącem mostów.

— Gdzie jest to miasto? — spytałem słabym głosem.

— Yian? Nie wiem. Jego powietrze przez cały dzień wypełniają przesłodkie wonie i dźwięk srebrnych dzwoneczków. Wczoraj niosłam na piersi zasuszony kwiat lotosu z Yian i zapachem wypełnił się cały las. Czuję pan?

— Tak.

— Ciekawa byłam tego wczoraj wieczorem. Piękny jest ten pański pies; kocham go. Wczoraj myślałam głównie o pańskim psie, lecz w nocy...

— W nocy...? — powtórzyłem szeptem.

— Myślałam o panu. Dlaczego nosi pan smoczy pazur?

Odruchowo podniosłem dłoń do czoła, zakrywając bliznę.

— Co pani wie o smoczym pazurze? — spytałem cicho.

— To symbol Yue-Lao, a Yue-Lao włada Kuen-Yuin, tak mówi mój ojczym. Wszystkiego, co wiem, dowiaduję się od ojczyma. Mieszkaliśmy w Yian, dopóki nie skończyłam szesnastu lat. Teraz mam osiemnaście, czyli od dwóch lat mieszkamy w lesie. Niech pan spojrzysz! Te szkarłatne ptaki! Jak się nazywają? Ptaki w tym samym kolorze są także w Yian.

— Gdzie leży Yian, Ysonde? — spytałem ze śmiertelnym spokojem.

— Yian? Nie wiem.

— Ale mieszkała tam pani?

— Tak, bardzo długo.

— Czy to za oceanem, Ysonde?

— Za siedmioma oceanami i wielką rzeką, która dłuższa jest niż stąd do księżycy.

— Kto to pani powiedział?

— Kto? Ojczym mi o wszystkim mówi.

— Powie mi pani, jak on się nazywa, Ysonde?

— Nie wiem, jest moim ojczymem, i tyle.

— A pani jak się nazywa?

— Przecież pan wie, Ysonde.

— A dalej?

— Nie ma dalej, jest tylko Ysonde. Czy pan ma dwa imiona? Dlaczego patrzy pan na mnie z takim zniecierpliwieniem?

— Czy pani ojczym wytwarza to złoto? Widziała pani, jak je robi?

— Ależ tak. Robił je także w Yian, a ja uwielbiałam patrzeć nocą na iskry wirujące w ciemności niczym złote pszczoły. Yian jest cudne — o ile całe jest jak nasz ogród i ogrody dokoła. Z mego ogrodu widzę tysiąc mostów i białą górę za nimi...

— A ludzie? Niech mi pani opowie o ludziach, Ysonde — naciskałem łagodnie.

— O ludziach z Yian? Widziałam ich tłumy, uwijali się jak mrówki — och! miliony, całe ich miliony przemykające w jedną i drugą stronę

po mostach.

— Ale jak wyglądali? Czy ubrani byli jak ja?

— Nie wiem. Byli bardzo daleko, wyglądali jak kropki przemykające po tysiącu mostów. Przez szesnaście lat oglądałam ich co dzień z mego ogrodu, lecz nigdy z mego ogrodu nie wychodziłam na ulice Yian, bo ojczym mi zabronił.

— I nigdy nie widziała pani z bliska żywego stworzenia, będąc w Yian?

— spytałem z desperacją w głosie.

— Widziałam moje ptaki, och, takie wysokie, mądrze patrzące ptaki, całe różowe i szare.

Nachyliła się nad lśniącą taflą wody i przeciągnęła gładką dłonią po powierzchni.

— Dlaczego zadaje mi pan te pytania? — wyszeptała. — Czy coś się panu nie podoba?

— Proszę opowiedzieć mi o swoim ojczymie — nalegałem. — Czy wygląda jak ja? Czy ubiera się, mówi tak jak ja? Czy jest Amerykaninem?

— Amerykaninem? Nie wiem. Nie ubiera się tak jak pan ani jak pan nie wygląda. Jest stary, bardzo, bardzo stary. Mówi czasem tak jak pan, a czasem tak jak mówią w Yian. Ja też potrafię mówić i tak, i tak.

— Proszę więc powiedzieć coś jak w Yian — namawiałem ją niecierpliwie. — Proszę przemówić jak... Och, Ysonde! Czemu pani płacze? Zraniłem panią? Nie chciałem. Nawet bym nie pomyślał, że tak się pani przejmie! Ysonde, niech mi pani wybaczy... proszę spojrzeć, błagam panią na kolanach, tutaj, u pani stóp.

Zamilkłem, mój wzrok zatrzymał się na małej złotej kulce, która wisiała u jej pasa na złotym łańcuszku. Zobaczyłem, jak drży na jej udzie, zobaczyłem, jak zmienia kolor, robi się to szkarłatna, to fioletowa, to znów ogniescie czerwona. Był to symbol Kuen-Yuin.

Schyliła się nade mną i delikatnie dotknęła palcami mego ramienia.

— Dlaczego mnie pan o to wszystko wypytuje? — spytała z rzęsami lśniącymi od łez. — To rani mnie tutaj — przyłożyła dłoń do piersi — to boli.... Nie wiem dlaczego. Ojej, pańskie oczy znów stały się takie surowe i zimne; patrzy pan na złotą kulę wiszącą u mego pasa. O niej też chciałby się pan dowiedzieć, czym jest?

— Tak — szepnąłem ze wzrokiem unieruchomionym przez piekielne płomienie barw, które zgasły, gdy przemówilem, czyniąc kulkę na powrót bladozłotą.

— To symbol Kuen-Yuin — powiedziała drżącym głosem. — Dlaczego pan pyta?

— Czy należy do pani?

— T-tak.

— Skąd to pani ma? — krzyknąłem ostro.

— Mój... mój ojcz...

Po czym odepchnęła mnie od siebie z całej siły swych szczupłych rąk i zakryła twarz.

Czy opłotłem ją ramieniem i przyciągnąłem do siebie... czy scałowałem łzy, które spływały powoli pomiędzy jej palcami... czy powiedziałem jej, jak ją kocham... jak łamie mi to serce, że widzę ją nieszczęśliwą — ostatecznie to tylko moja sprawa. Gdy uśmiechnęła się przez łzy, czysta miłość i słodycz w jej oczach uniosły mą duszę wyżej niż księżyc migoczący blade poprzez zalany słońcem błękit nad moją głową. Szczęście spadło na mnie tak nagle, tak gwałtownie i obezwładniająco, że tylko klęczałem tam, splatając palce z jej palcami, oczy wznosząc ku niebieskiemu sklepieniu, na którym migotał księżyc. Raptem coś poruszyło się w wysokiej trawie w pobliżu moich kolan i wilgotny, gryzący fetor wypełnił mi nozdrza.

— Ysonde! — krzyknąłem, lecz nie czułem już dotyku jej rąk, a moje zaciśnięte pięści były zimne i wilgotne od rosy. — Ysonde! — zawołałem znowu z językiem sztywnym ze strachu.

Wołałem jednak jak ktoś budzący się ze snu, koszmarnego snu, bo nozdrza drżały mi od wilgotnego, gryzącego smrodu i czułem, jak krabo-gad Ignie do mojego kolana. Dlaczego tak szybko zapadła noc... i gdzie ja byłem... gdzie? Zesztywniały, zmarznięty, w porwanym ubraniu i krwawiący, leżałem bezwładny jak zwłoki u progu domku myśliwskiego, Voyou lizał mnie po twarzy, a Barris nachylał się nade mną w świetle lampy, która świeciła i dymiała na nocnym wietrze jak pochodnia. Fe! Duszący smród lampy sprawił, że się podniosłem i zawołałem:

— Ysonde!

— Co się z nim, u diabła, dzieje? — wymamrotał Pierpont, biorąc mnie na ręce jak dziecko. — Czy on został ugodzony nożem, Barris?

7

Po kilku minutach byłem w stanie wstać i przejść sztywno do mojej sypialni, gdzie Howlett przygotował mi gorącą kąpiel i jeszcze gorętszą szklaneczkę szkockiej. Pierpont gąbką zmył krew z mojej szyi, gdzie zdążyła już skrzepnąć. Ranka była maleńka, prawie niewidoczna, zwykłe nakłucie jak od kolca. Szampon oczyścił mi umysł, a zimna woda, którą się opłukałem, i drapanie alkoholu w gardle dokonały reszty.

— A teraz — rzekł Pierpont — dopij szkocką i się połóż. Chcesz pieczonej kaczki...? No i dobrze, wygląda na to, że dochodzisz do siebie.

Barris i Pierpont przyglądali mi się, gdy siedziałem na łóżku, z powagą obgryzając kaczę kości i sącząc wino, zupełnie spokojny.

Pierpont westchnął z ulgą.

— A więc — stwierdził przyjemnym głosem — wychodzi na to, żeś się nieźle czymś zaprawił. Myślałem, że zostałeś ugodzony nożem...

— Nie byłem wcale pijany — odparłem, spokojnie biorąc do ust kawałek selera.

— Tylko zawiany? — spytał Pierpont tonem pełnym współczucia.

— Nonsens — skarcił go Barris — daj mu spokój. Chcesz jeszcze selera, Roy? Będzie ci się po nim dobrze spało.

— Nie chcę spać — odrzekłem. — Kiedy idziecie z Pierpontem łapać tego waszego wytwórcę złota?

Barris spojrzął na zegarek i zamknął go z trzaskiem.

— Za godzinę. Chyba nie wybierasz się z nami?

— Ależ tak. Należ mi kawy, co, Pierpont? To właśnie zamierzałem zaproponować. Howlett, przynieś nowe pudełko cygar, tych łagodnych z importu, panatellas, i zostaw karafkę. Ja będę się teraz ubierał, a ty, Barris, i Pierpont w spokoju wysłuchajcie, co mam do powiedzenia. Czy drzwi są dobrze zamknięte?

Barris przekręcił klucz w zamku i usiadł.

— Dzięki — rzekłem. — Barris, gdzie znajduje się miasto Yian?

Po twarzy Barrisa przemknęło chyba przerażenie i spostrzegłem, że wstrzymał na moment oddech.

— Nie ma takiego miasta — powiedział w końcu. — Czyżbym mówił coś przez sen?

— To miasto — kontynuowałem spokojnie — gdzie rzeka wiję się pod tysiącem mostów, gdzie słodko pachną ogrody, a powietrze wypełnia muzyka srebrnych dzwoneczków...

— Dość! — sapnął Barris i podniósł się, dygocząc, ze swego krzesła. Postarzał się raptem o jakieś dziesięć lat.

— Roy — wtrącił chłodnym tonem Pierpont — dlaczego, u diaska, dręczysz tak Barrisa?

Spojrzałem na Barrisa, a on spojrzał na mnie. Po sekundzie czy dwóch usiadł z powrotem.

— Mów dalej, Roy — polecił.

— Jestem zmuszony — odrzekłem — bo teraz mam już pewność, że nie śniłem.

Opowiedziałem im o wszystkim, lecz nawet gdy mówiłem, rzecz cała wydawała mi się tak niejasna, tak nierzeczywista, że chwilami milkłem, czując, jak gorąca krew piecze mnie w uszy, gdyż zdawało się niemożliwe, by rozsądni ludzie w Roku Pańskim 1896 mogli na poważnie rozmawiać na takie tematy.

Obawiałem się Pierponta, lecz nawet się nie uśmiechnął. Co do Barrisa, siedział ze swą mądrą głową zwieszoną na piersi, z wygasłą fajką ścisnącą mocno w obu dłoniach.

Gdy skończyłem, Pierpont odwrócił się powoli i popatrzył na Barrisa. Dwukrotnie poruszył wargami, jakby chciał o coś zapytać, jednak zachował milczenie.

— Yian jest naprawdę miastem — powiedział Barris rozmarzonym głosem. — Czy o to chciałeś zapytać, Pierpont?

Obaj skinęliśmy bez słowa.

— Yian jest naprawdę miastem — powtórzył Barris — gdzie wielka rzeka wije się pod tysiącem mostów... gdzie słodko pachną ogrody, a powietrze wypełnia muzyka srebrnych dzwoneczków.

Na moich wargach zrodziło się pytanie: — I gdzie jest to miasto?

— Leży — odparł Barris niemalże płacząco — za siedmioma oceanami i rzeką, która dłuższa jest niż stąd do księżycy.

— Co masz na myśli? — spytał Pierpont.

— Ech — rzekł Barris, dźwigając się z wysiłkiem i podnosząc ku górze zapadnięte oczy — posługuję się alegoriami z innego świata; dość już tego. Czy nie mówiłem wam o Kuen-Yuin? Yian to stolica Kuen-Yuin. Leży ukryte w tym olbrzymim cieniu zwanym Chinami, niepoznanym i rozległym jak niebo o północy, na kontynencie nieznanym i nieprzeniknionym.

— Nieprzeniknionym — powtórzył Pierpont słabym głosem.

— Widziałem je — ciągnął w rozmarzeniu Barris. — Widziałem martwe równiny Czarnego Kataju i przeszedłem przez Góry Śmierci, których szczyty sięgają poza atmosferę. Widziałem, jak cień Xangi kładzie się na Abaddona. Lepiej umrzeć milion mil od Jazdu i Atasz Kade, niż zobaczyć, jak biały lotos tuli płatki w cieniu Xangi! Spałem pośród ruin Xaindu, gdzie wiatr nigdy nie przestaje wiać, a umarli zawodzą swe umarłych pieśni...

— A Yian? — naciskałem delikatnie.

Jego twarz miała nieziemski wyraz, kiedy zwrócił ją do mnie powoli.

— Yian... Mieszkalem tam... i kochałem. Gdy ciało me wyda swe ostatnie tchnie, gdy smoczy pazur zniknie z mojego ramienia — podwinął rękaw i ujrzeliśmy lśniący nad łokciem biały księżyc — gdy światło w moich oczach zgaśnie na zawsze, wówczas, nawet wówczas nie zapomnę miasta Yian. O tak, to mój dom — mój! Rzeka i tysiąc mostów, biała góra w oddali, słodko pachnące ogrody, lilie, miły szum letniego wiatru brzemienno muzyką pszczoł i dzwoneczków — wszystko to moje. Myślicie, że skoro Kuen-Yuin drżą przed smoczym pazurem na moim ramieniu, to moje zadanie z nimi jest skończone? Myślicie, że skoro Yue-Lao mógł dać, to uznam jego prawo do tego, by odebrać? Czy to on jest Xangi, w którego cieniu biały lotos nie odważy się podnieść wonnej głowy? Nie! Nie! — krzyknął zapalczywie — to nie od Yue-Lao, czarownika, Księżycowego Starca pochodziło me szczęście! Było prawdziwe, nie było jedynie cieniem, który zniknie jak kolorowa mydlana bańka! Czy czarownik jest w stanie stworzyć i dać człowiekowi kobietę, którą ten pokocha? Czy zatem Yue-Lao jest tak potężny

jak Xangi? Xangi to Bóg. Gdy przyjdzie czas, w swej nieskończonej dobroci i miłosierdziu odda mi kobietę, którą kocham. A wiem, że czeka ona na mnie u stóp Boga.

W pełnej napięcia ciszy, która nastąpiła, słyszałem me serce bijące dwa razy szybciej niż zwykle i widziałem twarz Pierponta, pobladłą i pełną żalości. Barris otrząsnął się i podniósł głowę. Zmiana, jaka zaszła w jego rumianej twarzy, wywołała u mnie przerażenie.

— Uważaj! — rzekł, posyłając mi koszmarnie spojrzenie. — Nosisz na czole odcisk smoczego pazura i Yue-Lao o tym wie. Skoro już musisz kochać, to kochaj jak śmiertelny człowiek, bo dusza twa i tak cierpieć będzie na koniec w piekle. Jak to ona ma na imię?

— Ysonde — odrzekłem zwyczajnie.

8

O dziewiątej wieczorem złapaliśmy jednego z wytwórców złota. Nie wiem, jak Barris zastawił tę swoją pułapkę; to, co udało mi się z tej akcji zobaczyć, da się opowiedzieć w minutę, może dwie.

Zajęliśmy pozycję przy drodze do Cardinal jakieś półtora kilometra od domu, Pierpont i ja z rewolwerami w dłoniach pod orzechem po jednej stronie, a Barris z winchesterem na kolanach po drugiej.

Spytałem akurat Pierponta o godzinę i szukał zegarka, gdy z daleka doszedł tętent galopującego konia, był coraz bliżej i bliżej, aż stukając kopytami, zwierzę przemknęło obok nas. Wówczas strzelba Barrisa splunęła ogniem i ciemna masa, koń wraz z jeźdźcem, runęła na ziemię. Pierpont w jednej sekundzie chwycił ogłuszonego jeźdźcę za kołnierz — koń był już martwy — i podczas gdy zapalaliśmy sosnową szczapkę, żeby się schwytanemu przyjrzeć, przygalopowało dwóch konnych Barrisa, zatrzymując się przy nas.

— Hm! — rzekł Barris, marszcząc chmurnie brwi. — Albo to jest „Błyskot”, albo nie nazywam się Barris.

Przybliżyliśmy się z zaciekawieniem, by zobaczyć „Błyskota”. Był rudy, tłusty i brudny, a małe, czerwone oczka świeciły mu się jak u rozeźlonej świni.

Pierpont go trzymał, Barris metodycznie przeszukiwał kieszenie, a ja dzierżyłem pochodnię. Błyskot okazał się istną kopalnią złota: kieszenie, koszulę, nogawki, kapelusz, nawet brudne pięści, zaciśnięte mocno i zakrwawione, pękały wręcz od grudek jasnożółtego kruszcu. Barris wrzucił to „pędzone złoto”, jak przyjęliśmy je nazywać, do kieszeni swego płaszcza myśliwskiego i odszedł, by przesłuchać więźnia. Wrócił po kilku minutach i pokazał swoim konnym, że mają się nim zająć. Przyglądaliśmy się, jak ze strzelbami przy nodze prowadzili powoli swe konie w ciemność,

a Błyskot, ciasno związany, włókł się ponuro pomiędzy nimi.

— Kim jest ten Błyskot? — spytał Pierpont, wsuwając rewolwer z powrotem do kieszeni.

— Bimbrownikiem, fałszerzem, oszustem i rozbójnikiem — odrzekł Barris — prawdopodobnie także mordercą. Drummond ucieszy się, kiedy go zobaczy, i podejrzewam, że skłoni go do wyznania tego, czego nie chciał wyznać przede mną.

— Nie chciał mówić? — spytałem.

— Nie powiedział ani słowa. Cóż, Pierpont, i dla ciebie też nie ma tu nic więcej do roboty.

— Dla mnie do roboty? To nie wracasz z nami, Barris?

— Nie — odparł Barris.

Przez jakiś czas szliśmy ciemną drogą w milczeniu, przy czym ja zastanawiałem się, co zamierza Barris, nie powiedział jednak nic więcej, dopóki nie dotarliśmy do naszej własnej werandy. Tutaj wyciągnął rękę najpierw do Pierponta, potem do mnie, żegnając się z nami, jakby wybierał się na długą podróż.

— Kiedy wrócisz? — zawołałem za nim, gdy odwrócił się do bramy.

Przeszedł z powrotem przez trawnik i znowu ucisnął nam dłonie z cichą czułością, o jaką nigdy bym go nie podejrzewał.

— Dziś wieczór — oznajmił — zamierzam położyć kres temu złototwórstwu. Wiem, że nigdy by wam do głowy nie przyszło, co stanowi sens moich wieczornych przechadzek po kolacji. Powiem wam. W dyskretny sposób już zlikwidowałem czterech z owych złotorobów, moi ludzie pogrzebali ich w pobliżu nowego rozlewiska przy czwartym kamieniu milowym. Przy życiu zostało jeszcze trzech: Błyskot, którego już mamy, inny przestępca zwany „Żółtym” albo „Żelty”, jak to brzmi w tutejszej mowie, a ten trzeci...

— Ten trzeci? — powtórzył podniecony Pierpont.

— Trzeciego jeszcze nie widziałem. Ale wiem, kim jest i co robi — wiem i jeśli tylko jest człowiekiem z krwi i kości, to jego krew dziś jeszcze popłynie.

Kiedy mówił, moją uwagę przykuł cichy dźwięk po drugiej stronie trawnika. Zbliżał się do nas konny, jadąc cicho w świetle gwiazd przez podmokłą łąkę. Gdy podjechał bliżej, Barris zapalił zapałkę i zobaczyliśmy, że wiezie przed sobą zwłoki.

— Żelty, panie pułkowniku — oznajmił mężczyzna, salutując do swego kłapniętego kapelusza.

Owa ponura prezentacja zwłok wywołała u mnie nieprzyjemny dreszcz i po krótkich jak okamgnienie oględzinach sztywnego, martwego osobnika z szeroko otwartymi oczami, cofnąłem się.

— Tożsamość potwierdzona — orzekł Barris. — Zabierzcie go na miejsce

przy czwartym kamieniu i prześlijcie rzeczy osobiste do Waszyngtonu... Tylko pamiętaj, Johnstone, że to ściśle tajne.

Odjechał cwałem konny ze swym upiornym bagażem, a Barris raz jeszcze ujął nasze dłonie, już po raz ostatni. Następnie odszedł radośnie z figlarnym uśmiechem na ustach, zaś Pierpont i ja weszliśmy do domu.

Przez godzinę siedzieliśmy, paląc markotnie w holu przed kominkiem, odzywając się mało, póki Pierpont nie wybuchł:

— Żałuję, że Barris nie zabrał dziś wieczór któregoś z nas!

Ta sama myśl kołatała mi się po głowie, lecz rzekłem: — Barris wie, co robi.

To spostrzeżenie ani nas nie pocieszyło, ani nie otworzyło furtki do dalszej rozmowy i po kilku minutach Pierpont powiedział mi dobranoc, po czym zawołał Howletta, żeby przygotował mu gorącą wodę. Kiedy już Howlett utulił go do snu, pogasiłem lampy, zostawiając tylko jedną, kazałem Davidowi zabrać psy i pozwoliłem Howlettowi udać się na spoczynek.

Rolety w oknach były podniesione, więc wyjrzałem i popatrzyłem na rozgwieżdżone niebo. Nie świecił tej nocy księżyc, ale firmament usiany był mrugającymi gwiazdami i biała poświata, jaśniejsza nawet od światła księżyca, spływała na łąki i drzewa. Daleko w lesie usłyszałem głos wiatru, leciuchnego, ciepłego wiatru, który szeptał imię: Ysonde.

— Słuchaj — westchnął głos wiatru i „słuchaj” powtórzyły rozkołysane drzewa każdym najlżejszym drżeniem małego liścia. Dlatego słuchałem.

Tam, gdzie wysokie trawy wibrowały muzyką świerszczy, usłyszałem jej imię, Ysonde; usłyszałem je w szeleście wiciokrzewu, gdzie unosiły się szare motyle; usłyszałem je w kap, kap, kap rosy na werandzie. Cichy strumyk na łące szeptał jej imię, powtarzały je falujące leśne potoki: Ysonde, Ysonde, aż cała ziemia i niebo wypełniły się cichym drżeniem, Ysonde, Ysonde, Ysonde.

W krzakach przy werandzie zaśpiewał drozd, a ja wykradłem się na zewnątrz, by posłuchać. Po chwili zaczął znowu, lecz nieco dalej. Zaryzykowałem i wyszedłem na drogę. Znowu odezwał się gdzieś dalej, w lesie, a ja podążyłem za ową pieśnią, wiedząc, że to śpiew Ysonde.

Kiedy dotarłem do ścieżki wiodącej w bok od głównej drogi i prowadzącej do Paprociowego Gąszczu w pobliżu zagajnika, zawahałem się; piękno nocy wabiło mnie jednak dalej i z każdego krzewu nawoływały drozdy. W gwiazdnej poświacie krzaki, trawy, polne kwiaty odcinały się wyraźnie na tle ciemności pod nieobecność rzucającego cienie księżyca. Łąka i strumyk, młody lasek i potok kapały się w bladym świetle. Niczym wielkie latarnie świeciły planety zawieszone na wysokim sklepieniu i w ich tajemniczych promieniach nieruchome gwiazdy, spokojne, ciche, spoglądały z nieba jak oczy... Brnąłem naprzód wśród sięgającej pasa nawłoci, wśród koniczyny i łanów dzikiego owsa, wśród szkarłatnych owoców dzikiej róży,

wśród borówek i dzikich śliw, dopóki cichy szmer Jazowego Strumienia nie ostrzegł mnie, że skończyła się ścieżka.

Nie chciałem się jednak zatrzymać, bo nocne powietrze ciężkie było od zapachu wodnych lilii, a w oddali, po drugiej stronie niskich, leśnych wzniesień i leżącej za nimi podmokłej łąki, migotało w oddali srebro i słyszałem szmer sennego ptactwa wodnego. Pójdę nad jezioro. Droga była pusta, jeśli nie liczyć gąszczu młodej roślinności i pędów kaliny.

Drozdzy umilkły, lecz nie brakowało mi towarzystwa żywych stworzeń. Smukłe, szybkie kształty przemykały co chwila, przecinając mi drogę, norki o lśniącej sierści przelatwały jak cienie przed moimi stopami, gibkie łasice i piżmaki pędziły przed siebie jak na jakąś schadzkę lub własne zatracenie.

Nigdy nie widziałem nocą tak wielkiego ruchu wśród leśnych zwierząt. Zacząłem się zastanawiać, dokąd się tak wszystkie spieszą, dlaczego zmierzają w tym samym kierunku. Tu minąłem kicającego przez zarośla zajaca, tam przemknął królik, czujnie strosząc uszy. Gdy wkroczyłem pomiędzy młode buki, przebiegły obok mnie dwa lisy; nieco dalej z zarośli wyskoczyła łania, a tuż za nią ryś o oczach błyszczących niczym węgle.

Nie zwrócił uwagi ani na łanię, ani na mnie, lecz rzucił się pędem na północ.

Ten ryś uciekał.

„Przed czym?” — zadałem sobie pytanie, zaciekawiony. Nic się w lesie nie paliło, nie zanosilo się na tornado ani na powódź.

Czyżby to Barris, przechodząc tędy, spowodował ten nagły exodus? Niemożliwe; nawet pułk wojska w lesie nie zdołałby wywołać takiego popłochu.

„Co, na Boga — pomyślałem, obracając się, aby popatrzeć za uciekającą w panice kunę wodną — co, na Boga, mogło tak wzburzyć zwierzęta o tej porze nocy?”

Spojrzałem w niebo. Niewzruszony blask nieruchomych gwiazd dodał mi otuchy i ruszyłem dalej, pokonując wąski pas jodeł prowadzący nad Jezioro Gwiazd.

Dzika żurawina i pędy kaliny pętały mi nogi, pokryte rosą gałęzie okrywały mnie swoją wilgocią, a grube igły jodeł drapały po twarzy, gdy szukałem wśród omszałych, zwalonych pni i gąbczastych kęp wysokiej trawy drogi na piaszczysty brzeg jeziora.

Choć nie było wiatru, po jego taflach przemykały drobne fale i słyszałem, jak chlupią na kamykach. W bladym świetle gwiazd tysiące lilii wodnych wznosiły do nieba swe na wpół zamknięte kielichy. Padłem jak długi na brzegu i z brodą na dłoniach patrzyłem na jezioro.

Plusk, plusk, biły o brzeg fale, podchodząc coraz wyżej, coraz bliżej, tak iż warstewka wody, cienka i lśniąca jak ostrze noża podkradła się pod moje łokcie. Nie mogłem tego zrozumieć: poziom jeziora podnosił się,

choć nie padało. Woda przybierała wzdłuż całego brzegu; słyszałem fale chlupoczące wśród ździebeł turzycy; rosnące przy mnie chwasty sterczały z pomarszczonej wody. Lilie kołysały się na drobnych falach, każdy ich mokry liść wznosił się i opadał, i znowu wznosił, aż całe jezioro rozmigotało się falującym kwieciami. Jakiż słodki i mocny był zapach tych lilii.

Po chwili woda zaczęła opadać powoli, fale cofały się, kurczyły i odsłaniały brzeg, aż znowu pojawiły się białe kamyki, lśniąc jak piana na krawędzi pełnej szklanki.

Żadne zwierzę pływające w ciemności wzdłuż brzegu, żaden olbrzymi łosć nie wywołałby zalaną takiej połaci lądu, tak jakby na jezioro wpłynęła wielka łąka. Czy to możliwe, że gdzieś daleko, poza lasem oberwała się chmura i woda z opadu spłynęła Jazowym Strumieniem? Tylko takie wytłumaczenie przychodziło mi do głowy, a jednak gdy przechodziłem przez Jazowy Strumień, nie zauważyłem, żeby był wezbrany.

Kiedy leżałem tak, rozmyślając, zerwał się lekki wietrzyk i zobaczyłem, jak powierzchnia jeziora bieleje od lilii. Olchy dokoła mnie westchnęły; usłyszałem, jak las się porusza, a skrzyżowane konary trą cicho kora o korę. Coś wyłoniło się z ciemności — być może sowa — zanurkowało, poszybowało i znikło znowu, zaś daleko, po drugiej stronie wody usłyszałem cichy krzyk ptaka: Ysonde.

I wtedy po raz pierwszy, jako że serce me już nie mogło wytrzymać, rzuciłem się na twarz, wołając jej imię. Oczywiście mokrą, kiedy podniosłem głowę — wiatr niósł ze sobą krople wilgoci z jeziora — i serce waliło mi ciężko: „Już nigdy, już nigdy”. Serce jednak kłamało, bo kiedy wznosiłem twarz ku spokojnym gwiazdom, ujrzałem ją stojącą nieruchomo blisko mnie; i bardzo delikatnie wyrzekłem jej imię: — Ysonde.

Wyciągnęła obie ręce.

— Czułam się samotna — powiedziała — i poszłam na polanę, ale las pełen jest spłoszonych zwierząt, więc się przestraszyłam. Czy coś się stało? Jelenie uciekają w stronę wzgórz.

Jej dłoń nadal spoczywała w mojej, gdy szliśmy brzegiem, a chlupot wody o kamyki brzmiał równie cicho jak nasze głosy.

— Dlaczego zostawiłeś mnie bez słowa tam, przy fontannie na polanie?

— Zostawiłem cię!...

— Ależ tak, pobiegłeś szybko ze swoim psem, rzucając się w krzewy i zarośla... och... wystraszyłeś mnie.

— I mówisz, że cię zostawiłem?

— Tak... po tym...

— Po tym?

— Po tym, jak mnie pocałowałeś.

I wtedy pochylił się razem i zapatrzyliśmy w czarną wodę ozdobioną gwiazdami, tak jak pochyłaliśmy się razem nad fontanną na polanie.

— Pamiętasz? — spytałem.

— Tak. Widzisz? Woda inkrustowana jest srebrnymi gwiazdami... wszędzie pływają białe lilie, a pod spodem, głęboko, głęboko gwiazdy...

— A co to za kwiat trzymasz w dłoni?

— Białą lotos.

— Opowiedz mi o Yue-Lao, Dzil-Nbu wszystkich Kuen-Yuin — wyszeptałem, unosząc jej głowę tak, bym widział oczy.

— Czy naprawdę chcesz to usłyszeć?

— Tak, Ysonde.

— Wszelka wiedza, jaką posiadam, należy teraz do ciebie, tak jak należę i ja, ja cała. Nachyl się bliżej. Zatem chcesz poznać Yue-Lao? Yue-Lao to Dzil-Nbu wszystkich Kuen-Yuin. Żył kiedyś na księżycu. Jest stary, bardzo, bardzo stary i kiedyś, zanim zaczął władać Kuen-Yuin, był starcem, który jedwabnym sznurkiem łączył przeznaczone sobie pary i nic już potem nie mogło powstrzymać ich przed byciem razem. To wszystko jednak się zmieniło, odkąd zaczął władać Kuen-Yuin. Zdeprawował Xinów, dobre duchy Chin, i z ich zdeformowanych ciał stworzył potwora, którego też nazwał Xinem. Potwór ten jest okropny, bo żyje nie tylko we własnym ciele, ale posiada tysiące wstrętnych sług, żywych stworzeń bez ust, bez oczu, które poruszają się, gdy poruszy się Xin, jak mandaryn i jego świta. Są one częścią Xina, choć nie są z nim połączone. A jednak gdy jednemu z owych sług dzieje się krzywda, Xin wije się w mękach. Jest straszny — ta jego ogromna żywa masa i te stwory rozsiane jak obcięte palce, które podrygują wokół upiornej dłoni...

— Kto ci o tym powiedział?

— Mój ojczym.

— Wierzysz w to?

— Tak. Widziałam jednego ze sług Xina.

— Gdzie, Ysonde?

— Tutaj, w lesie.

— Zatem wierzysz, że Xin tutaj jest?

— Z pewnością... możliwe, że w jeziorze.

— Ach, zatem Xiny zamieszkują jeziora?

— Tak. I siedem mórz. Ale ja się nie boję.

— Dlaczego?

— Bo noszę symbol Kuen-Yuin.

— Czyli ja nie jestem bezpieczny. — Uśmiechnąłem się.

— Owszem, jesteś, bo trzymam cię w ramionach. Mam opowiedzieć ci więcej o Xinie? Kiedy Xin zamierza zadać człowiekowi śmierć, ogary Yeth pędzą poprzez noc...

— Co to takiego, ogary Yeth, Ysonde?

— Ogary Yeth to psy bez głów. Duchy zamordowanych dzieci, które

zawodząc, gnają nocą przez las.

— Wierzysz w to?

— Tak, noszę przecież żółty lotos...

— Żółty lotos?

— Żółty kolor jest symbolem wiary...

— Gdzie?

— W Yian — odrzekła słabo.

Po chwili spytałem: — Ysonde, czy wiesz, że istnieje Bóg?

— Xangi jest Bogiem.

— A słyszałaś kiedyś o Chrystusie?

— Nie — odparła cicho.

Wiatr zaszumiał znowu wśród drzew. Poczułem, jak jej dłonie zamykają się w moich. Spytałem znowu:

— Ysonde, czy ty wierzysz w czarowników?

— Tak, Kuen-Yuin są czarownikami. Yue-Lao jest czarownikiem.

— Widziałaś kiedyś czary?

— Tak, gadzie sługi Xina...

— Coś jeszcze?

— Mój talizman... złota kula, symbol Kuen-Yuin. Widziałeś, jak się zmienia... widziałeś, jak wiją się na niej stwory?

— Tak — odrzekłem krótko, po czym zamilkłem, bo wstrząsnął mną nagle dreszcz obawy.

Barris również niepokojąco poważnie mówił o czarownikach, o Kuen-Yuin, a ja na własne oczy widziałem, jak wygrawerowane stwory kręcą się i wiją na lśniącej kuli.

— Mimo wszystko — rzekłem na głos — Bóg żyje, a czary to tylko słowo.

— Cóż — powiedziała cicho Ysonde, tuląc się do mnie — powiadają w Yian, że to Kuen-Yuin żyje... że Bóg to tylko słowo.

— Kłamię — wyszeptałem żarliwie.

— Bądź ostrożny — poprosiła — mogą cię usłyszeć. Pamiętaj, że nosisz na czole smoczy pazur.

— Co w związku z tym? — spytałem, myśląc jednocześnie o białym znaku na ręce Barrisa.

— Ach, czy nie wiesz, że za tymi, których naznaczył smoczy pazur, Yue-Lao podąża na dobre i na złe... i że złe oznacza śmierć, jeśli go obrazisz?

— Naprawdę w to wierzysz? — spytałem zniecierpliwiony.

— Ja to wiem — westchnęła.

— Kto ci o tym powiedział? Ojczym? Kimże zatem jest, na Boga... Chińczykiem?

— Nie wiem. Nie jest taki jak ty.

— A czy... czy wspominałaś mu o mnie?

— Wie o tobie... ale ja sama nic mu nie mówiłam... Och, co to takiego... popatrz... to sznurek, jedwabny sznurek na twojej szyi... i na mojej!

— Skąd się wziął? — spytałem zdumiony.

— To pewnie... to pewnie Yue-Lao powiązał nas ze sobą... jest tak, jak mówił mi ojczym... mówił, że połączy nas Yue-Lao...

— Bzdura — rzuciłem niemal ostro i chwyciłem za jedwabny sznurek, lecz ku memu zdumieniu, rozpułnął mi się w ręce jak dym. — Co to z przekłeta błazenada! — wyszeptalem gniewnie, lecz mój gniew przeminał, gdy tylko wybrzmiały słowa, i niepomahowany dreszcz wstrząsnął mną od stóp do głów.

Na brzegu jeziora nie dalej jak rzut kamieniem ode mnie stała postać, zgarbiona i powykręcana — drobny staruszek wydychający iskry z żarzącego się węgla, który trzymał na gołej dłoni. Węgiel jaśniał coraz mocniej, oświetlając pochyloną nad nim twarz, przypominającą nieobleczoną w skórę czaszkę, i rzucając czerwoną poświatę na piasek u jego stóp. Ale ta twarz! Ta upiorna chińska twarz, na której igrało światło, i te gadzie, wąskie oczka iskrzące się, w miarę jak węgiel stawał się coraz gorętszy. Węgiel! To nie był wcale węgiel, tylko złota kula barwiąca ciemność szkarłatnymi płomieniami — był to symbol Kuen-Yuin.

— Patrz! Patrz! — sapnęła Ysonde, drżąc gwałtownie. — Patrz, jak spomiędzy jego palców wznosi się księżyc! Och, myślałam, że to mój ojczym, a to Yue-Lao, Księżycowy Starzec... nie! Nie! To jest mój ojczym... ojej! To jedna i ta sama osoba!

Zamarły z przerażenia, upadłem na kolana, sięgając po rewolwer, który wypychał mi kieszeń marynarki; coś jednak mnie powstrzymało — coś krępowało mnie jak pajęczyna, więząc w sieci z tysiąca małych, mocnych oczek. Kręciłem się, walczyłem, lecz sieć oplatała mnie coraz ciaśniej; cali byliśmy nią pokryci — była wszędzie dokoła, ciągnęła nas i pchała jedno w ramiona drugiego, dopóki nie upadliśmy jedno przy drugim ze skrępowanymi dłońmi, stopami, tułowiami; serca nam kołatały i dyszeliśmy jak para schwytych w sieć gołębi.

A ten człowiek na brzegu jeziora! Jakież było moje przerażenie, gdy ujrzałem księżyc, ogromny, srebrzysty, który unosił się jak bańka spomiędzy jego palców, wzlatywał coraz wyżej w spokojnym powietrzu, aż zawisł na północnym niebie, podczas gdy spomiędzy palców wypłynął następny księżyc i kolejny, i jeszcze jeden, a ogromna połać niebios zapełniła się księżycami i ziemia migotała w ich jasnym blasku niczym diament.

Silny podmuch wiatru od wschodu przyniósł też do naszych uszu przeciągłe, żalosne zawodzenie — krzyk tak nieziemski, że na moment stanęły nam serca.

— Ogary Yeth! — załkała Ysonde. — Słyszysz? Gnają przez las. Xin jest blisko!

Nagle wszędzie dokoła nas w suchej trawie rozległ się szelest, jakby skradały się jakieś małe zwierzątka, a powietrze wypełnił wilgotny, gryzący smród. Znałem ten zapach, ujrzałem pająkowate, podobne do krabów stwory, wlokące swe żółte, okryte włoskami ciała po kulającej się trawie, dosłownie się od nich roilo. Mijały mnie całe ich setki, zatruwając powietrze, toczyły się, wily, pełzły, zadzierając ślepe, pozbawione paszczy głowy. Ptaki, wciąż senne i zdezorientowane w ciemności, uciekały przed nimi bezradne, złężnione, króliki wyskakiwały z norek, łasice sunęły przed siebie jak latające cienie. Wszystkie pozostałe jeszcze leśne stworzenia budziły się i uciekały przed obmierzlą inwazją. Usłyszałem pisk przerażonego zająca, potem prychnięcie pędzących jeleni i ospały galop niedźwiedzia; i przez cały ten czas dławilem się i dusilem zatrutym powietrzem.

Raptem, kiedy rzucałem się, próbując się uwolnić z jedwabnych wnyków, posłałem pełne strachu spojrzenie w stronę czarownika na brzegu i w tym samym momencie ujrzałem, jak się obraca...

— Stać! — zawołał głos z krzaków.

— Barris! — krzyknąłem, omal nie podskakując pomimo cierpienia.

Zobaczyłem, jak czarownik rzuca się naprzód, usłyszałem: pach! pach! pach! z rewolweru i kiedy czarownik padał na skraj wodnej tafl, spostrzegłem, jak Barris wyskakuje z ciemności i strzela znowu, raz, drugi, trzeci, do postaci wijącej się u jego stóp.

A wtedy wydarzyło się coś okropnego. Z czerni jeziora wyłonił się cień, bezimienna, bezkształtna masa, bezgłowa, ślepa, olbrzymia, sięgająca od brzegu do brzegu.

Ogromna fala uderzyła w Barrisa, tak iż upadł, kolejna wyrzuciła go na kamyki, a jeszcze następna wturlała z powrotem do wody i wtedy — i wtedy to coś na niego spadło... a ja straciłem przytomność.

I to już wszystko, co wiem na temat Yue-Lao i Xina. Nie obawiam się wyśmiania przez naukowców czy prasę, ponieważ moja opowieść jest prawdziwa. Barris nie żyje, zaś to coś, co go zabiło, bytuje po dziś dzień w Jeziorze Gwiazd, a jego pająkowate sługi pełzają po Cardinal Woods. Zwierzyna leśna uciekła, w jeziorze nie ma żadnych żywych stworzeń poza gadami, które poruszają się, gdy w głębinach poruszy się Xin.

Generał Drummond wie, jaką stratę poniósł w osobie Barrisa, my, Pierpont i ja, również wiemy, jak bardzo będzie nam go brakować. Jego testament znaleźliśmy w szufladzie, do której dał mi klucz. Owinięty był w papier, na którym napisano:

„Yue-Lao, czarownik, jest tutaj, w Cardinal Woods. Muszę go zabić, inaczej on zabije mnie. Stworzył i podarował mi kobietę, którą kochałem... wyczarował ją... sam widziałem... wyczarował ją z pąka białego lotosu. Gdy urodziło nam się dziecko, stanął znowu przede mną i zażądał kobiety, którą

kochałem. Roy, pani z twoich snów, Ysonde, może być moją córką. Niech Bóg ci dopomoże, jeśli ją kochasz, bo Yue-Lao daje... i zabiera, zupełnie jak Xangi, czyli Bóg. Zabiję Yue-Lao, nim opuszczę ten las — albo on zabije mnie.

FRANKLYN BARRIS”

Teraz świat już wie, co Barris sądził o Kuen-Yuin i Yue-Lao. Widzę, że gazety dopiero zaczynają ekscytować się strzępami informacji, jakie dostarcza im Li Hongzhang na temat Czarnego Kataju i demonów Kuen-Yuin. Kuen-Yuin nie śpią.

Pierpont i ja rozebraliśmy chatę myśliwską w Cardinal Woods. Czekamy w gotowości, by na dany znak natychmiast dołączyć i poprowadzić pierwszą rządową ekspedycję mającą na celu przeszukanie Jeziora Gwiazd i oczyszczenie lasu z krabopodobnych gadów. Konieczne jednak będzie zgromadzenie potężnych sił, w dodatku dobrze uzbrojonych, jako że nie udało nam się znaleźć ciała Yue-Lao, a ja boję się go, żywego czy umarłego. Czy jest żywy?

Pierpont, który nazajutrz rano znalazł mnie i Ysonde nieprzytomnych na brzegu jeziora, nie zauważył nigdzie śladu zwłok czy choćby krwi na piasku. Możliwe, że czarownik wpadł do jeziora, jednak obawiam się, podobnie jak Ysonde, że on nadal żyje. Nigdy nie udało nam się odnaleźć ani jej domu, ani polany z fontanną. Jediną pozostałością po jej dawnym życiu jest złoty wąż w Metropolitan Museum i jej złota kula, symbol Kuen-Yuin; ta druga jednak nie zmienia już barw.

David czeka na mnie z psami na podwórzu, kiedy to piszę. Pierpont jest w pokoju z bronią i przygotowuje naboje, zaś Howlett donosi mu tylko kufel za kuflem mojego piwa z beczki. Ysonde pochyla się nad moim biurkiem — czuję jej dłoń na moim ramieniu, gdy mówi:

— Nie uważasz, że już na dzisiaj wystarczy, mój drogi? Jak możesz pisać takie niemądre rzeczy bez cienia prawdy i bez żadnego zaczepienia w rzeczywistości?

Posłaniec

*Posłańcu mały, szary,
W szacie z malowaną Śmiercią.
Szatą twoją pył.
Kogo szukasz
Pośród lilii i pąków stulonych
O zmierzchu?
Pośród lilii i pąków stulonych
O zmierzchu.
Kogo szukasz,
Posłańcu mały, szary,
Z ohydnyim godłem
Malowanej Śmierci?*

R.W.C.

*Przemądry panie.
Czy odpowiedź znasz na każde pytanie?
Czyż widziały twe oczy doprawdy już wszystko?
Prze-mądry.
Czy ośmielisz się bratu zarzucić, że kłamie?*

R.W.C.

1

Kula weszła tędy — rzekł Max Fortin i przyłożył środkowy palec do gładkiego otworu pośrodku czoła.

Usiadłem na kupie suchych wodorostów i zdjąłem z ramienia dubeltówkę.

Drobny chemik uważnie macał brzegi otworu po kuli, najpierw palcem środkowym, potem kciukiem.

— Niech mi pan jeszcze raz pokaże tę czaszkę — poprosilem.

Max Fortin podniósł ją z trawy.

— Niczym się nie różni od innych — zauważyłem.

Podziękowałem skinieniem głowy, nie chcąc brać jej do rąk. Po chwili Fortin w zamyśleniu położył czaszkę na trawie u moich stóp.

— Niczym się nie różni od innych — powtórzył, wycierając chusteczką okulary. — Pomyślałem, że chciałby pan jedną zobaczyć, dlatego przyniosłem ją z tego zwirowego dołu. Ludzie z Bannalec jeszcze

kopią. Powinni już jednak przestać.

— Ile w sumie jest tych czaszek? — spytałem.

— Znaleźli trzydzieści osiem; na liście wymienionych jest trzydzieści dziewięć. Leżą one na drugich w dole po żwirowni sąsiadującej z polem pszenicy Le Bihana. Ludzie jeszcze pracują. Ale Le Bihan zamierza im przerwać.

— Chodźmy tam — zaproponowałem; podniosłem strzelbę i ruszyłem górą klifów z Fortinem po jednej stronie i moim psem Momem po drugiej.

— Kto ma listę? — spytałem, zapalając fajkę. — Mówił pan, że jest jakaś lista?

— Znaleziono ją zwiniętą w mosiężnej tubie — odrzekł drobny chemik. Dodał: — Nie powinien pan tutaj palić. Wie pan, że gdyby choć jedna iskra doleciała do pszenicy...

— Przecież mam osłonę — odrzekłem z uśmiechem.

Fortin przyglądał się, jak zakładałem przerobioną pieprzniczkę na żarzącą się główkę fajki. Po chwili już mówił dalej:

— Lista została sporządzona na grubej kartce pożółkłego papieru; mosiężna tuba ją ochroniła. Jest dzisiaj w równie dobrym stanie, jak była w roku 1760. Sam pan zobaczy.

— Czy taką nosi datę?

— Nosi datę: „Kwiecień 1760”. Ma ją brygadier Durand. Nie została sporządzona po francusku.

— Nie po francusku! — zawołałem.

— Nie — odparł poważnie Fortin. — Jest w języku bretońskim.

— Ale przecież — zaprotestowałem — w roku 1760 nikt nie pisał po bretońsku.

— Poza księżmi — zauważył chemik.

— Słyszałem tylko o jednym księdzu, który pisał w tym języku — zacząłem.

Fortin zerknął ukradkiem na moją twarz. — Ma pan na myśli... Czarnego Księdza? — spytał.

Skinąłem.

Fortin otworzył usta, żeby coś powiedzieć, zawahał się i ostatecznie zdecydowanie zacisnął zęby na łodydze pszenicy, którą akurat przeżuwał.

— A ten Czarny Ksiądz? — spytałem, próbując go zachęcić.

Wiedziałem jednak, że to na nic; łatwiej jest poruszyć gwiazdy na niebie, niż zmusić do mówienia upartego Bretończyka. Przez dłuższą chwilę szliśmy w milczeniu.

— Gdzie jest brygadier Durand? — spytałem, dając Mome'owi znak, żeby wyszedł z pszenicy, którą tratował, jakby to były chwasty.

Jeszcze kiedy mówiłem, w zasięgu naszego wzroku pojawił się drugi koniec pszenicznego pola i wznoszące się za nim ciemne, wilgotne klify.

— Durand jest tam w dole... widać go stąd. Stoi za merem St. Gildas.

— Widzę — rzekłem; i ruszyliśmy w dół, podążając spieczoną słońcem ścieżką wydeptaną przez bydło pośród wrzosów.

Kiedy znaleźliśmy się po drugiej stronie pola pszenicy, Le Bihan, mer St. Gildas, zawołał mnie, więc wetknąłem strzelbę pod pachę i skrajem zasiewu dotarłem do miejsca, gdzie na mnie czekał.

— Trzydzieści osiem czaszek — obwieścił wysokim, piskliwym głosem.

— Powinna być jeszcze tylko jedna, a ja sprzeciwiam się dalszym poszukiwaniom. Przypuszczam, że Fortin panu powiedział?

Podaliśmy sobie na powitanie ręce, po czym zasalutowałem brygadierowi Durandowi, który przed momentem powitał mnie w ten sam sposób.

— Sprzeciwiam się dalszym poszukiwaniom — powtórzył Le Bihan, nerwowo szarpiąc srebrne guziki, które pokrywały przód jego aksamitnosukiennej marynarki jak papierśnik łuskowej zbroi.

Durand zacisnął wargi, podkręcił okazały wąs i zatknął kciuki za pas, przy którym wisiała szabla.

— Jeśli o mnie chodzi — oznajmił — to jestem za tym, aby szukać dalej.

— Szukać dalej? Czego? Trzydziestej dziewiątej czaszki? — spytałem.

Le Bihan skinął, Durand zmarszczył brwi, patrząc na połyskujące w słońcu morze, kołyszące się od klifów aż po horyzont jak misa płynnego złota. Podążyłem za jego spojrzeniem. Na ciemnych, lśniących skałach odcinających się wyraźnie od błyszczącego morza siedział kormoran, czarny, nieruchomy, z paskudną głową zadartą wysoko ku niebu.

— Gdzie jest ta lista, Durand? — zapytałem.

Żandarm pogrzebał w raportówce i wyjął mosiężną tubę około trzydziestocentymetrowej długości. Z wielką powagą zdjął zakrętkę i wytrząsnął zwitek grubego, pożółkłego papieru po obu stronach pokrytego gęstym pismem. Na skinienie głową Le Bihana podał mi zwitek. Nie byłem jednak w stanie odczytać nierównego pisma, teraz już wyblakłego i brązowego.

— Hejże, Le Bihan — rzekłem ze zniecierpliwieniem — może by pan to przetłumaczył? Robicie z Maxem Fortinem wielką tajemnicę z niczego, jak się zdaje.

Le Bihan podszedł na skraj starej żwirowni, gdzie wciąż kopali trzej mężczyźni z Bannalec, wydał jeden czy dwa rozkazy po bretońsku i zwrócił się do mnie.

Kiedy sam podszedłem do krawędzi żwirowni, ludzie z Bannalec wyciągali kwadratowy kawałek płótna żeglarskiego z czegoś, co wyglądało jak sarta kamieni brukowych.

— Proszę spojrzeć! — zapiszczał przeraźliwie Le Bihan.

Spojrzałem. Sarta w dole okazała się złożona z czaszek. Po chwili zgramoliłem się żwirowym zboczem w dół i podszedłem do ludzi z Bannalec.

Zasalutowali mi poważnie, opierając się o swoje kilofy i łopaty, opalonymi dłońmi ocierając spocone twarze.

— Ile? — spytałem po bretońsku.

— Trzydzieści osiem — odpowiedzieli.

Rozejrzałem się dokoła. Za kupą czaszek leżały dwie sterty ludzkich kości. Obok nich spoczywał kopiec połamanych, zardzewiałych skrawków stali i żelaza. Patrząc z bliska, spostrzegłem, że ów kopiec tworzą przeżarte korozją bagnety, szable i kosy, tu i ówdzie przetkane zaśniedziałą sprzączką doczepioną do kawałka twardej jak żelazo skóry.

Podniosłem kilka guzików i klamrę od pasa. Na guzikach widniał herb Anglii; klamra od pasa także była naznaczona owym herbem z numerem 27.

— Słyszałem, jak mój dziadek opowiadał o strasznym regimencie angielskim, dwudziestym siódmym regimencie piechoty, który wylądował tutaj i szturmował fort — odezwał się jeden z ludzi z Bannalec.

— Ach! — odrzekłem. — Zatem są to kości angielskich żołnierzy?

— Tak — potwierdzili ludzie z Bannalec.

Le Bihan zawołał mnie z góry, a ja podałem klamrę i guziki mężczyznom i wdrapałem się po zboczu wykopu.

— Cóż — rzekłem, usiłując powstrzymać Mome'a przed skakaniem i lizaniem mnie po twarzy, gdy wychodziłem z dołu. — Przypuszczam, że wiecie, co to za kości. Co zamierzacie z nimi zrobić?

— Był taki jeden — odparł gniewnie Le Bihan — Anglik, który przejeżdżał wtedy dwukółką w drodze do Quimper, i jak się panu wydaje, co chciał zrobić?

— Kupić szczątki? — spytałem z uśmiechem.

— Otóż to — świnią jedną! — zapiszczał mer St. Gildas. — Jean Marie Tregunc, który znalazł kości, stał tam, gdzie teraz stoi Max Fortin, i wie pan, co odpowiedział? Splunął na ziemię i rzekł: „Ty angielska świnió, masz mnie za hienę cmentarną?”

Znałem Tregunca, trzeźwo myślącego, niebieskookiego Bretończyka, który żył z dnia na dzień, nie mogąc sobie pozwolić nawet na kawałek mięsa do posiłku.

— Ile ten Anglik zaproponował Treguncowi? — spytałem.

— Dwieście franków za same tylko czaszki.

Pomyślałem o łowcach szczątków i kupcach szczątków na polach bitewnych po naszej wojnie secesyjnej.

— Od roku 1760 upłynęło mnóstwo czasu — zauważyłem.

— Szacunek dla zmarłych nie umiera nigdy — odparł Fortin.

— A angielscy żołnierze przyszli tu, żeby zabijać i palić wasze domy — ciągnąłem.

— Byli mordercami i złodziejami, ale... teraz nie żyją — odezwał się Tregunc, nadchodząc z plaży na dole z długimi grabiami, w oczekującym

wodą swetrze.

— Ile rocznie zarabiasz, Jean Marie? — spytałem, odwracając się, by na powitanie podać mu rękę.

— Dwieście dwadzieścia franków, *monsieur*.

— Czterdzieści pięć dolarów na rok — przeliczyłem. — Ależ jesteś wart więcej, Jean. Czy nie zająłbyś się moim ogrodem? Żona prosiła, abym cię zapytał. Myślę, że byłoby to warte jakieś sto franków miesięcznie i dla ciebie, i dla mnie. Chodźmy, panie Le Bihan, chodź, Fortin, i ty, Durand. Chcę, żeby ktoś przełożył mi tę listę na francuski.

Tregunc stał i patrzył na mnie wielkimi oczami.

— Możesz zacząć od razu — powiedziałem z uśmiechem. — Chyba że wynagrodzenie ci nie odpowiada?

— Odpowiada — odrzekł Tregunc, szukając fajki tak nieporadnie, że zirytował tym Le Bihana.

— To idź już i bierz się do roboty — krzyknął mer ze zniecierpliwieniem. I Tregunc ruszył przez wrzosowisko w stronę St. Gildas, uchylając najpierw przede mną aksamitnej czapki i bardzo mocno chwytając swoje grabie.

— Zaproponował mu pan więcej, niż wynosi moja pensja — zauważył mer po dłuższej kontemplacji swych srebrnych guzików.

— Phi! — prychnąłem. — A cóż pan za tę swoją pensję robisz poza tym, że siedzisz w gospodzie i grasz z Fortinem w domino?

Le Bihan poczerwieniał, Durand zagrzechotał szablą i mrugnął do Maxa Fortina, a ja ze śmiechem wziąłem nadąsanego urzędnika miejskiego pod rękę.

— Pod klifem znajdziemy kawałek cienia — rzekłem. — Chodźmy, Le Bihan, przeczyta mi pan, co jest napisane na tym zwitku.

Po chwili znaleźliśmy się w cieniu klifu, a ja rzuciłem się na trawę i podparłem brodę dłonią, by słuchać.

Żandarm Durand także usiadł, podkrecając wąsy tak, że końcówki zrobiły się cienkie jak igły. Fortin opierał się o ścianę klifu, pucując okulary i przyglądając się nam mętym wzrokiem krótkowidza; Le Bihan, mer, usadowił się pośrodku, rozwijając zwój i wkładając go sobie pod pachę.

— Przede wszystkim — zaczął piskliwym głosem — zamierzam zapalić fajkę i paląc ją, powiem wam, co słyszałem na temat ataku na tutejszy port. Opowiedział mi o tym ojciec, a jemu jego ojciec.

Kiwnął głową w stronę zrujnowanego fortu, małej, kamiennej budowli na planie kwadratu na szczycie nadmorskiego klifu, z której teraz pozostały jedynie pokruszone ściany. Następnie powoli wyciągnął woreczek z tytoniem, kawałek krzemienia i hubki oraz fajkę o długim cybuchu zakończonym małą główką z wypalanej gliny. Nabicie takiej fajki wymaga dziesięciu minut wielkiego skupienia. Za to wystarczy się cztery razy zaciągnąć, i już jest wypalona. Bardzo bretońska jest ta bretońska fajka. Kwintesencja całej

bretońskości.

— Proszę mówić dalej — rzekłem, zapalając papierosa.

— Fort — mówił mer — zbudowany został przez Ludwika XIV i dwukrotnie był burzony przez Anglików. Ludwik XV odbudował go w roku 1739. W 1760 został zajęty w wyniku ataku Anglików. Przyłączyli na trzech statkach z wyspy Groix, szturmem wzięli fort i spłądowali położone nieopodal St. Julien, a potem zaczęli palić St. Gildas — na moim domu wciąż widać ślady po ich kulach; ale ludzie z Bannalec i z Lorient napadli na nich z pikami, kosami i garłaczami i ci, którzy nie uciekli, leżą teraz tam w dole, w starej żwirowni. W sumie trzydziestu ośmiu.

— A ta trzydziesta dziewiąta czaszka? — spytałem, dopalając papierosa.

Merowi udało się w końcu nabić fajkę i zaczął odkładać woreczek z tytoniem.

— Trzydziesta dziewiąta czaszka — wymamrotał, trzymając cybuch w popsutych zębach — trzydziesta dziewiąta czaszka to nie moje zmartwienie. Kazałem ludziom z Bannalec przestać kopać.

— Ale co w tym... do kogo należy ta brakująca czaszka? — naciskałem zaciekawiony.

Mer zajęty był krzesaniem iskry. Po chwili udało mu się podpalić hubkę, przyłożył ogień do fajki, pyknął przepisowe cztery razy, wyrzucił popiół z główki i z poważną miną schował fajkę z powrotem do kieszeni.

— Ta brakująca czaszka? — spytał.

— Tak — odparłem zniecierpliwiony.

Mer powoli rozwinął zwój i zaczął czytać, tłumacząc z bretońskiego na francuski. A przeczytał, co następuje:

— „KLIFY ST. GILDAS, 13 kwietnia 1760. Tego dnia na rozkaz hrabiego Soisic, naczelnego dowódcy sił bretońskich stacjonującego obecnie w lesie Kerselec, zostały w tym miejscu pogrzebane ciała trzydziestu ośmiu angielskich żołnierzy z dwudziestego siódmego, pięćdziesiątego i siedemdziesiątego drugiego regimentu piechoty wraz z bronią i ekwipunkiem”.

Mer zamilkł i popatrzył na mnie w zamyśleniu.

— Proszę dalej, panie Le Bihan — rzekłem.

— „Razem z nimi — czytał dalej mer, obracając kartkę i czytając po drugiej stronie — pogrzebano ciało podłego zdrajcy, który wydał fort Anglikom. Śmierć zadano mu w następujący sposób: Na rozkaz wielce szanownego pana hrabiego Soisic zdrajcy najpierw wypalono na czole piętno w kształcie strzały. Rozpalone żelazo przepaliło skórę i ciało i zostało dociśnięte tak mocno, że prawdopodobnie odbiło się nawet na kości czaszki. Zdrajcę następnie wyprowadzono i zmuszono do ukłęknięcia. Przyznał się do sprowadzenia Anglików z wyspy Groix. Mimo iż był księdzem i Francuzem, wykorzystał swą kapłańską posługę, by zdobyć hasło broniące

dostrępu do fortu. Hasło owo wyciągnął podczas spowiedzi od młodej Bretonki, która łodzią przepływała z wyspy Groix do fortu, by zobaczyć się z mężem. Kiedy fort upadł, owa młoda kobieta, szalejąc z rozpaczą po śmierci męża, odnalazła hrabiego Soisic i opowiedziała, jak to ksiądz zmusił ją podczas spowiedzi do opowiedzenia wszystkiego, co wiedziała na temat fortu. Ksiądz został zatrzymany w St. Gildas przy próbie przekroczenia rzeki w drodze do Lorient. Po zatrzymaniu przeklął dziewczynę, Marie Trevec...”

— Co! — krzyknąłem. — Marie Trevec!

— Marie Trevec — powtórzył Le Bihan. — „Ksiądz przeklął Marie Trevec, całą jej rodzinę i wszystkich potomków. Został zastrzelony na klęczkach ze skórzaną maską na twarzy, jako że Bretończycy tworzący pluton egzekucyjny odmówili strzału do księdza z odsłoniętą twarzą. Księdzem owym był ojciec Sorgue powszechnie znany jako Czarny Ksiądz ze względu na śniadą twarz i ciemne brwi. Został pochowany z wbitym w serce kołkiem”.

Le Bihan zamilkł, zawahał się, popatrzył na mnie i oddał rękopis Durandowi. Żandarm wsunął go do mosiężnej tuby.

— A zatem — rzekłem — trzydziesta dziewiąta czaszka to czaszka Czarnego Księdza.

— Tak — potwierdził Fortin. — Mam nadzieję, że jej nie znajdą.

— Zakazałem dalszego kopania — kłótliwym tonem przypomniał mer. — Słyszał mnie pan, Fortin.

Wstałem i podniosłem strzelbę. Mome podszedł i przycisnął mi głowę do ręki.

— Wspaniały pies — stwierdził Durand, także wstając.

— Dlaczego nie chce pan znaleźć jego czaszki? — spytałem Le Bihana. — Ciekawie byłoby przekonać się, czy piętno w kształcie strzały rzeczywiście odbiło się aż na kości.

— Jest w tym zwoju coś, czego panu nie przeczytałem — odrzekł ponuro Le Bihan. — Chce pan wiedzieć, co to takiego?

— Oczywiście — odparłem zdziwiony.

— Niech mi pan jeszcze poda zwój, Durand — powiedział, po czym przeczytał na samym dole: — „Ja, ojciec Sorgue, zmuszony przez moich katów do spisania tego, co powyżej, spisałem to własną krwią i wraz ze swoją krwią zostawiam klątwę. Przekłete niech będzie St. Gildas, przekłeta niech będzie Marie Trevec i jej potomstwo. Wrócę do St. Gildas, gdy naruszone zostaną moje szczątki. I biada Anglikowi, którego choćby muśnie ma napiętnowana czaszka!”

— Co za brednie! — stwierdziłem. — Wierzycie, że naprawdę napisane to zostało jego krwią?

— Zamierzam to zbadać — odrzekł Fortin — na prośbę pana mera.

Jednakże wcale się do tej roboty nie pałę.

— Widzi pan — rzekł Le Bihan, podając mi zwój — jest podpisane: „ojciec Sorgue”.

Zerknąłem z zaciekawieniem na papier.

— To musi być Czarny Książ — stwierdziłem. — Tylko on umiał pisać po bretońsku. Póki co mamy więc niezwykle interesujące odkrycie, nareszcie wyjaśniła się zagadka zniknięcia Czarnego Księdza. Oczywiście wysłę pan ten zwój do Paryża, Le Bihan?

— Nie — odrzekł stanowczo mer — zostanie pogrzebany w dole, tam gdzie spoczywają szczątki Czarnego Księdza.

Spojrzałem na niego i od razu wiedziałem, że wszelka dyskusja okaże się daremna. Mimo to rzekłem:

— Będzie to z wielką stratą dla historii, *monsieur* Le Bihan.

— Historia będzie musiała się z tym jakoś pogodzić — odrzekł oświecony mer St. Gildas.

Niespiesznym krokiem wróciliśmy do żwirowni, rozmawiając dalej. Ludzie z Bannalec nieśli kości angielskich żołnierzy w stronę cmentarza w St. Gildas położonego na klifie od wschodu, gdzie grupka kobiet w białych czepcach stała już pogrążona w modlitwie. Zobaczyłem także pośród krzyży niewielkiego cmentarza ponurą księżą sutannę.

— Byli złodziejami i zabójcami, a teraz nie żyją — wymamrotał Max Fortin.

— Zmarłym należy się szacunek — powtórzył mer St. Gildas, wiodąc wzrokiem za ludźmi z Bannalec.

— Na zwoju było napisane, że Marie Trevec z wyspy Groix została przez księdza przeklęta — ona i jej potomstwo — rzekłem, dotykając ramienia Le Bihana. — Niejaka Marie Trevec poślubiła Yvesa Trevec z St. Gildas...

— To ta sama osoba — powiedział Le Bihan, patrząc na mnie z ukosa.

— O! Zatem to przodkowie mojej żony.

— Obawia się pan klątwy? — spytał Le Bihan.

— Że co? — roześmiałem się.

— Pamiętamy przecież sprawę Purpurowego Cesarza — zauważył nieśmiało Max Fortin.

Zdumiony zwróciłem się do niego twarzą, po czym wzruszyłem ramionami i kopnąłem gładki kamień, który tkwił przy brzegu żwirowego dołu, niemal zupełnie zakopany w piachu.

— Uważa pan, że Purpurowy Cesarz oszalał z pijaństwa, bo był potomkiem Marie Trevec? — spytałem tonem pełnym pogardy.

— Oczywiście, że nie — odrzekł szybko Max Fortin.

— Oczywiście, że nie — zapiszczał mer. — Ja tylko... Hejże! Co to pan kopie?

— Słucham? — Spojrzałem w dół, mimowolnie kopiąc kamień raz jeszcze. Gładki otoczek obłuzował się i wytoczył z ubitego piachu pod moimi stopami.

— Trzydziesta dziewiąta czaszka! — zawołałem. — A niech mnie! To mózgownica Czarnego Księdza! Spójrzcie! Jest piętno w kształcie strzały na czole!

Mer cofnął się o krok. Max Fortin także się odsunął. Nastąpiło milczenie, podczas którego patrzyłem na nich, zaś oni patrzyli na wszystko, tylko nie na mnie.

— Nie podoba mi się to — powiedział w końcu mer zachrypłym, wysokim głosem. — Nie podoba mi się! Na zwoju jest napisane, że on wróci do St. Gildas, gdy naruszone zostaną jego szczątki... Nie podoba mi się to, *monsieur Darrel*...

— Bzdury! — zawołałem. — Podły nieszczęśnik trafił tam, skąd nigdy się nie wydostanie. Na litość boską, Le Bihan, o czym też pan mówi? Mamy przecież rok pański 1896!

Mer popatrzył na mnie. — W dodatku mówi o „Angliku”. A pan jest Anglikiem, *monsieur Darrel* — obwieścił.

— Przecież pan wie, że nie. Wie pan, że jestem Amerykaninem.

— Wszystko jedno — upierał się mer St. Gildas.

— Nieprawda! — odpowiedziałem mocno już rozdrażniony i celowo kopnąłem czaszkę tak, żeby stoczyła się na samo dno dołu. — Zakopcie to — powiedziałem — razem ze zwojem, jeśli pan nalega, ale uważam, że powinien pan wysłać zwój do Paryża. Niech pan tak ponuro nie patrzy, Fortin, chyba że wierzy pan w wilkołaki i duchy. Hej! Co się z wami, u diaska, dzieje? W co się pan tak wpatruje, Le Bihan?

— Chodźmy, chodźmy — mamrotał mer niskim, trwożliwym głosem. — Najwyższa pora się stąd oddalić. Widział pan? Widział pan, Fortin?

— Widziałem — wyszeptał Max Fortin błądząc ze strachu.

Dwaj mężczyźni biegli już niemalże przez skąpane w słońcu pastwisko, więc i ja za nimi pospieszyłem, domagając się wyjaśnienia, o co chodzi.

— O co chodzi! — wytrajkotał mer, sapiąc z irytacji i przerażenia. — Czaszka toczy się pod górę! — po czym rzucił się galopem w popłochu.

Max Fortin pognął tuż za nim.

Przyglądałem się, jak pędzą przez pastwisko, po czym odwróciłem się ku żwirowni w zdumieniu i niedowierzaniu. Czaszka leżała przy brzegu dołu dokładnie tam, gdzie tkwiła, zanim ją skopałem. Wpatrywałem się w nią przez chwilę; zimny dreszcz przeszedł mi po kręgosłupie z dołu do góry, odwróciłem się i odszedłem, czując, jak z korzenia każdego jednego włoska na mojej głowie dobywa się kropla potu. Nim uszedłem dwadzieścia kroków, dotarła do mnie absurdalność owego wydarzenia. Zatrzymałem się, zgrzany ze wstydu i złości, i wróciłem po własnych śladach.

I zobaczyłem przed sobą czaszkę.

— Kopnąłem wtedy kamień, nic innego — wymamrotałem pod nosem.

Po czym kolbą strzelby popchnąłem czaszkę i patrzyłem, jak się stacza; gdy tylko uderzyła o dno wykopu, Mome nagle podkulił ogon, zaskamlał i rzucił się pędem przez wrzosowisko.

— Mome! — krzyknąłem, zły i zdziwiony; pies jednak gnał coraz szybciej, więc przestałem wołać, zupełnie już nic nie rozumiejąc.

Co też, u diaska, naszło tego czworonoga! — pomyślałem. Jeszcze nigdy nie wykręcił mi takiego numeru.

Odruchowo zajrzałem do wykopu, lecz nie zobaczyłem czaszki. Spojrzałem pod nogi. Znowu leżała u moich stóp, dotykając ich.

— Wielkie nieba! — wyjąkałem i uderzyłem ją na oślep kolbą mojej strzelby.

Upiorne znalezisko wyleciało w powietrze, przeकोziołkowało kilka razy i stoczyło się znowu na dno wykopu.

Wpatrywałem się w nie z zapartym tchem, po czym całkiem skołowany, niczego nie pojmując, odsunąłem się od dołu, jednak nie odwróciłem się doń plecami; najpierw jeden krok, drugi, dwadzieścia kroków, a oczy omal nie wyskoczyły mi z oczodołów, jakbym spodziewał się zobaczyć, jak czaszka toczy się pod górę i wydostaje z wykopu tuż pod moim nosem. Wreszcie odwróciłem się i ruszyłem przez porośnięte kolcolistem wrzosowisko w stronę mego domu. Kiedy dotarłem do drogi prowadzącej zawijasami z St. Gildas do St. Julien, jeszcze raz obejrzałem się szybko przez ramię na żwirownię. Może to jednak był kamień; leżało ich tutaj całe mnóstwo.

2

Gdy wszedłem do ogrodu, zobaczyłem rozciągniętego na kamiennym progu Mome'a. Patrzył na mnie z ukosa i machał ogonem.

— Nie wstyd ci, ty durny pies? — rzekłem, spoglądając w okna na górze i szukając Lys.

Mome przekręcił się na grzbiet i podniósł do góry jedną łapę, jakby spodziewał się najgorszego i chciał się przed tym obronić.

— Nie zachowuj się, jakbym miał w zwyczaju prać cię na kwaśne jabłko — powiedziałem zde gustowany. Nigdy w życiu nie podniosłem na drania ręki. — Ale głupi z ciebie pies, i tyle — mówiłem dalej. — Nie, nie przychodź, nie domagaj się pie szczot i nie myśl, że będę się nad tobą użalał; to może dla ciebie zrobić Lys, jeśli bardzo będzie chciała. Ja się za ciebie wstydzę i możesz iść do diabła.

Mome wszedł chyłkiem do domu, a ja podążyłem za nim, od razu kierując się na górę do buduaru mojej żony. Był pusty.

— Dokąd poszła? — rzekłem, patrząc srogo na Mome'a, który przyszedł za mną. — Oj, widzę przecież, że nie wiesz. Nie udawaj, że jest inaczej. Wynocha stąd! Myślisz, że Lys chce, żeby po całym pokoju fruwały twoje kłaki?

Zadzwoiłem na Catherine i Fine, lecz nie wiedziały, dokąd udała się „madame”, więc poszedłem do mojego pokoju, wykąpałem się, zmieniłem zabrudzony nieco strój myśliwski na ciepły, miękki komplet z pumpami i po jeszcze kilku chwilach poświęconych toalecie — bardzo o siebie dbałem, odkąd poślubiłem Lys — zszedłem do ogrodu i usiadłem w fotelu pod figowymi drzewami.

— Gdzie ona może być? — zastanawiałem się.

Mome podkraść się do mnie, szukając pociechy, a ja wybaczyłem mu przez wzgląd na Lys i po chwili zaczął dokazywać.

— Ty rozbrykany kundlu — rzekłem — i co, na Boga, strzeliło ci wtedy do głowy, żeby pognać tak przez wrzosowisko? Jak mi to znowu zrobisz, to pogonię cię jeszcze porcyjką śrutu.

Do tej pory nie miałem śmiałości zbyt intensywnie myśleć o upiornym przywidzeniu, którego ofiarą padłem, teraz jednak postanowiłem się z tym zmierzyć, rumieniąc się lekko ze wstydu na myśl o swym pospiesznym wycofaniu ze żwirowni.

— Pomyśleć tylko — rzekłem na głos — że to babskie gadanie Maxa Fortina i Le Bihana sprawiło, iż naprawdę zobaczyłem coś, czego tam wcale nie było! Straciłem zimną krew jak jakiś uczeń w ciemnej sypialni.

Wiedziałem przecież, że i za pierwszym, i za drugim razem wziąłem za czaszkę okrągły kamień i wepchnąłem do wykopu kilka otoczków, nic innego.

— Psiakość! — zawołałem. — Ależ jestem nerwowy. Wątrobę muszę mieć w opłakany stan, skoro widuję takie rzeczy na jawie! Lys będzie wiedziała, co mi podać.

Byłem zażenowany, rozdrażniony i zły i z niesmakiem myślałem o Le Bihanie i Maksie Fortinie.

Po jakimś czasie przestałem to roztrząsać, odprawiłem ze swych myśli mera, chemika i czaszkę i paliłem w zadumie, przyglądając się, jak słońce na zachodzie zanurza się powoli w oceanie. Kiedy zmierzch zapadł nad wodą i wrzosowiskiem, me serce wypełniło się nostalgicznym, tęsknym szczęściem — szczęściem znanym wszystkim mężczyznom, którzy kiedykolwiek byli zakochani.

Nad morze wpłynęły powoli purpurowe opary; klify pociemniały; las zasnęła mgła.

Nagle niebo nade mną rozświetliło się wieczorną zorzą, a świat znowu pojaśniał.

Chmury jedna po drugiej nasiąkały różową barwą; przyoblekły się w nią

i klify; wrzosowisko i łąka, i las płonęły i pulsowały delikatnym rumieńcem. Ujrzałem mewy skręcające i nurkujące nad piaszczystą mierzeją, ich musnięte różem śnieżnobiałe skrzydła; ujrzałem niebieskie smoki 10 okrywające jedną płachtą powierzchnię spokojnej rzeki zabarwionej na ciepło aż po głębiny odbiciem płynących po niebie chmur. Ciszę zmaćcił nagle senny szczebiot drobnego ptactwa wśród krzewów żywopłotu; we wzbierającej wodzie przypiływu błysnął lśniący bok łososa.

Bezkresna jednorodność oceanu wzmacniała ciszę. Siedziałem nieruchomo, wstrzymując oddech, jak ktoś, kto wsłuchuje się w pierwsze ciche pomruki organów. Nagle w ciszę ową wdarł się najczystszy gwizd słowika, a pierwszy promień księżycowego światła osrebrzył bezmiar zasnutych mgiełką wód.

Podniosłem głowę.

W ogrodzie stała przede mną Lys.

Gdy się pocałowaliśmy, wzięliśmy się pod ręce i spacerowaliśmy po żwirowych ścieżkach, podziwiając promyki księżyca migoczące na piaszczystej mierzei podczas przypiływu. Szerokie grządki białych goździków wokół nas drżały razem z chmurą unoszących się nad nimi białych ciem; jesienne róże zwieszały bujne kwiaty, perfumując słonawy w smaku wiatr.

— Skarbie — rzekłem — a gdzież to jest Yvonne? Czy nie obiecała, że spędzi z nami Gwiazdkę?

— Owszem, Dick. Przywiozła mnie dziś po południu z Plougar. Śle ci uściski. I nie jestem zazdrosna. Co ustrzełiłeś?

— Zająca i cztery kuropatwy. Są w pokoju z bronią. Powiedziałem Catherine, żeby niczego nie ruszała, dopóki nie zobaczysz.

Wiedziałem oczywiście, iż Lys nie pała entuzjazmem do myślistwa i broni, udawała jednak, że jest inaczej, i zawsze pogardliwie zaprzeczała moim insynuacjom, jakoby mówiła tak ze względu na mnie, a nie z czystej miłości do polowania. Zaciągnęła mnie więc, aby móc obejrzeć mizerny łup, darząc mnie przy tym przemiłymi komplementami i cichym okrzykiem zachwyty, gdy z torby wyciągnąłem za uszy ogromnego zająca.

— Nie będzie nam więcej podjadał sałaty — rzekłem, próbując znaleźć usprawiedliwienie dla dokonanego zabójstwa.

— Biedny zajączek... taki śliczny! Och, Dick, wyśmienity z ciebie strzelec, nieprawdaż?

Pozostawiłem to bez odpowiedzi i wyciągnąłem kuropatwę.

— Biedactwa! — wyszeptła Lys. — Trochę ich szkoda, nie uważasz, Dick? Ale z drugiej strony jesteś taki sprytny...

— Każemy upiec je na ruszcie — zaproponowałem ostrożnie. — Powiedz Catherine.

Catherine przyszła po upolowaną zwierzyńcę, a po chwili Fine Lelocard, pokojówka Lys, oznajmiła, że zaraz będzie kolacja, więc Lys udała się

do swego buduaru.

Stałem przez chwilę, przyglądając się jej w zachwycie i myśląc: „Chłopie, jesteś największym szczęściarzem na świecie — kochasz się we własnej żonie!”

Wszedłem do jadalni, uśmiechnąłem się promiennie do talerzy i wyszedłem; na korytarzu spotkałem Tregunca, uśmiechnąłem się promiennie do niego; zajrzałem do kuchni, uśmiechnąłem się promiennie do Catherine i poszedłem na górę, wciąż rozpromieniony.

Nim zdążyłem zapukać, drzwi Lys otworzyły się, a ona wyszła pospiesznie. Kiedy mnie zobaczyła, wydała okrzyk ulgi i przytuliła się do mojej piersi.

— Coś zagląda mi przez okno — powiedziała.

— Co takiego?! — zawołałem gniewnie.

— To chyba mężczyzna. Jest przebrany za księdza i do tego nosi maskę. Wspiął się pewnie po wawrzynie.

W okamgnieniu zbiegłem po schodach i znalazłem się na dworze. Tonący w księżycowym świetle ogród był zupełnie pusty.

Przyszedł Tregunc i razem przeszukaliśmy żywopłot i krzewy wokół domu, a nawet przy drodze.

— Jean Marie — rzekłem wreszcie — spuść mojego buldoga, zna cię przecież, i przyjdź z kolacją na werandę, gdzie będziesz mógł pilnować. Moja żona mówi, że ten człowiek przebrany jest za księdza i nosi maskę.

Tregunc pokazał w uśmiechu białe zęby. — Myślę, że nie ośmieli się już tutaj przyjść, *monsieur Darrel*.

Wróciłem do domu i zastałem Lys siedzącą spokojnie przy stole.

— Zupa czeka, kochanie — powiedziała. — Nie przejmuj się, to tylko jakiś głupi cham z Bannalec. Nikt z St. Gildas ani z St. Julien czegoś takiego by nie zrobił.

Początkowo zbyt byłem rozdrażniony, by odpowiedzieć, jednak Lys potraktowała zdarzenie jak głupi żart i po chwili też zaczęłam na nie patrzeć w ten sposób.

Lys mówiła właśnie o Yvonne, przypominając mi, że obiecałem zaprosić Herberta Stuarta, żeby ją poznał.

— Ach, ty niecna swatko! — zaprotestowałem. — Herbert jest w Paryżu i ciężko pracuje przed wystawą w Salonie.

— Nie uważasz, że mogłby zrobić sobie tydzień wolnego i poflirtować z najładniejszą dziewczyną w Finistere? — spytała niewinnie Lys.

— Najładniejszą! Akurat! — odparłem.

— A która jest ładniejsza? — dopytywała się Lys.

Roześmiałem się z lekkim zażenowaniem.

— Czyżbyś mówił o mnie, Dick — rzekła Lys, oblewając się rumieńcem.

— Zanudzam cię, prawda?

— Zanudzasz? Ależ skąd, Dick.

Po tym, jak podano kawę i papierosy, powiedziałem Lys o Treguncu, a ona mój pomysł pochwaliła.

— Biedny Jean! Ucieszył się, co? Ależ z ciebie cudowny człowiek!

— Nonsens — odpowiedziałem. — Potrzebujemy ogrodnika, sama tak mówiłaś, Lys.

Lys jednak przechyliła się i mnie pocałowała, a potem skłoniła się i uściśkała Mome'a, który aż zagwizdał przez nos, rozczulony i rozanielony.

— Jestem niezwykle szczęśliwą kobietą — obwieściła Lys.

— A Mome był dzisiaj niegrzeczny — poskarżyłem się.

— Biedny Mome! — rzekła Lys z uśmiechem.

Gdy kolacja dobiegła końca, a Mome leżał, pochrapując, przed ogniem na kominku — październikowe noce w Finistere bywają chłodne — Lys skuliła się w kącie przy kominie z haftem i posłała mi krótkie spojrzenie spod długich rzęs.

— Wiesz, wyglądasz jak uczennica, Lys — zacząłem się z nią droczyć. — Chyba nie skończyłaś jeszcze szesnastu lat.

W zamyśleniu odgarnęła do tyłu grube, lśniące włosy. Dłoń miała białą jak morska piana.

— Czy naprawdę jesteśmy już cztery lata po ślubie? Nie wierzę — powiedziałem.

Posłała mi kolejne szybkie spojrzenie i dotknęła robótki na swoim kolanie, uśmiechając się słabo.

— Rozumiem — rzekłem, także uśmiechając się do haftowanej części garderoby. — Myślisz, że będzie pasowało?

— Pasowało? — powtórzyła Lys. Po chwili się roześmiała.

— No i — nie odpuszczałem — czy jesteś zupełnie pewna, że ci... że nam się to przyda?

— Najzupełniej — odparła Lys. Delikatny rumieniec zabarwił jej policzki i szyję. Podniosła maleńkie ubranko puchate od delikatnych jak mgiełka koronek i ozdobione uroczym haftem.

— Cudne — orzekłem. — Nie męcz za bardzo oczu, najdroższa. Pozwolisz, że zapalę fajkę?

— Oczywiście — odrzekła, wybierając moteczek bładoniebieskiego jedwabiu.

Przez chwilę siedziałem i paliłem w milczeniu, przyglądając się jej smukłym palcom pośród barwionych jedwabi i złotej nitki.

Wreszcie przemówiła: — Jaki ty masz herb, Dick?

— Herb? Och, to czy owo brykające na tym czy na tamtym...

— Dick!

— Tak, najdroższa?

— Bądź poważny.

— Kiedy naprawdę nie pamiętam. To jakiś zwykły herb; w Nowym Jorku wszyscy je mają. Żadna rodzina się bez niego nie obędzie.

— Jesteś okropny, Dick. Poślij Josephine na górę po mój album.

— Zamierzasz umieścić herb na tym... na tym czymś?

— Owszem. Twój i mój.

Pomyślałem o Purpurowym Cesarzu i zadumałem się na chwilę.

— Nie wiedziałeś, że ja mam herb, prawda? — uśmiechnęła się.

— A jaki? — spytałem od niechcienia.

— Zobaczysz, zadzwonię po Josephine.

Zadzwoniłem, a gdy Fine przyszła, Lys wydała jej po cichu polecenie i służąca odeszła, kiwając odzianą w biały czepek głową ze słowami: — *Bien, madame*.

Po kilku minutach wróciła, niosąc zszargane, trącające stęchłą tomisko, którego złoto i błękit prawie całkiem już wyblakły.

Wziąłem księgę do rąk i obejrzałem stare, zdobione okładki.

— Lilie! — wykrzyknąłem.

— *Fleur-de-lis* — powiedziała skromnie moja żona.

— Och! — westchnąłem zdumiony i otworzyłem tomisko.

— Nigdy jeszcze nie widziałeś tej księgi? — spytała Lys z leciutkim figlarnym błyskiem w oczach.

— Wiesz przecież, że nie. Hejże! A to co? Oho! Zatem przed „Trevec” powinno stać „de”? Lys de Trevec? Dlaczego więc, na Boga, ten Purpurowy Cesarz...

— Dick! — krzyknęła Lys.

— Już dobrze — powiedziałem. — Czy mam przeczytać o Sieurze de Trevecu, który samotnie udał się do namiotu Saladyna, by zdobyć lek dla króla Ludwika? Czy może o... co tu mamy? No tak, wszystko czarno na białym — może więc o markizie de Trevec, który wolał utonąć raczej niż poddać sztandar z *fleur-de-lis* Hiszpanom? Wszystko jest tutaj zapisane. Albo, najdroższa, co powiesz na żołnierza o nazwisku Trevec, który zginął w starym forcie na niedalekim klifie?

— On porzucił „de” przed nazwiskiem i od tamtej pory Trevecowie są republikanami — wyjaśniła Lys. — Wszyscy oprócz mnie.

— Otóż to — rzekłem. — Już pora, abyśmy my, republikanie, uznali choć niektóre elementy systemu feudalnego. Moja droga, piję za króla! — Podniosłem kieliszek z winem i popatrzyłem na Lys.

— Za króla — powtórzyła Lys, oblewając się rumieńcem. Wyglądała małeńkie ubranko na swoich kolanach; musnęła wargami kieliszek; jakże słodkie były jej oczy...

Wychyliłem kielich za króla. Po chwili ciszy rzekłem:

— Będę opowiadał królowi bajki. Jego Wysokość będzie ubawiony.

— Jego Wysokość — powtórzyła cicho Lys.

— A może Jej Wysokość — roześmiałem się. — Kto to wie?

— Kto wie? — wyszeptła Lys, wzdychając lekko.

— Znam kilka takich opowieści o Jacku, pogromcy olbrzymów — obwieściłem. — A ty, Lys?

— Ja? Nie, nie znam pogromcy olbrzymów, ale wiem wszystko o wilkołakach i Joannie Flandryjskiej, i o Człeczce w Purpurowym Łachmanie, i... Ojej, znam tego mnóstwo.

— Jesteś bardzo mądra — stwierdziłem. — Będę uczył też Jego Wysokość angielskiego.

— A ja bretońskiego — wykrzyknęła zazdrośnie Lys.

— Będę królowi przynosił zabawki — mówiłem — wielkie, zielone jaszczurki, małe szare rybki, żeby pływały w szklanych kulach, króliczki z lasu Kerselec...

— A ja — odparła Lys — będę przynosić pierwiosnki, pierwsze gałązki kwitnącego głogu, pierwsze żonkile dla króla... mojego króla.

— Naszego króla — powiedziałem i w Finistere zapanował pokój.

Rozsiadłem się wygodniej, od niechcenia przewracając karty osobliwego, starego tomiska.

— Szukam tego herbu — oznajmiłem.

— Herbu, najdroższy? To głowa księdza z piętnem w kształcie strzały na czole na tle...

Usiadłem prosto i wbiłem wzrok w żonę.

— Dick, co ci się stało? — uśmiechnęła się. — To historia opisana w księdze. Masz ochotę przeczytać? Nie? Mam ci opowiedzieć? A zatem... Działo się to podczas trzeciej krucjaty. Żył wówczas mnich, którego ludzie zwali Czarnym Księdzem. Mnich ów wystąpił z kościoła i zaprzedał się wrogom Chrystusa. Niejaki Sieur de Trevec wpadł do obozu saracenów, mając za sobą ledwie sto lanc, i porwał Czarnego Księdza, choć tego zewsząd otaczała wroga armia.

— Czyli to stąd wziął się ów herb — rzekłem spokojnie, lecz pomyślałem o naznaczonej piętnem czaszce w żwirowym wykopie i zacząłem się zastanawiać.

— Tak — odrzekła Lys. — Sieur de Trevec odciął głowę Czarnego Księdza, lecz najpierw odcisnął piętno strzały na jego czole. W księdze napisano, że był to czyn pobożny, który uznano za wielką zasługę de Treveca, ale moim zdaniem to napiętnowanie było zwyczajnie okrutne... — Westchnęła.

— A słyszałaś kiedyś o innym Czarnym Księdzu?

— Tak. W minionym wieku żył jeden tutaj, w St. Gildas. Rzucił biały cień na słońcu. Pisał po bretońsku. Także kroniki, jak mi się zdaje. Nigdy ich nie widziałam. Nazywał się tak samo jak tamten stary kronikarz i poprzedni Czarny Ksiądz, Jacques Sorgue. Niektórzy twierdzili, że był w prostej linii

potomkiem tamtego zdrajcy. Rzecz jasna, pierwszego Czarnego Księdza stać było na każde złó. Lecz jeśli nawet naprawdę miał dziecko, to wcale nie musiał być przodkiem ostatniego Jacques'a Sorgue'a. Ten podobno był świętym człowiekiem. Powiadają, że był tak dobry, iż nie dane mu było umrzeć, lecz któregoś dnia został po prostu wzięty do nieba — z pełnym wiary wzrokiem dodała Lys.

Uśmiechnąłem się.

— W każdym razie zniknął — upierała się Lys.

— Obawiam się jednak, że odbył podróż w przeciwną stronę — odparłem żartobliwie i jak ostatni bałwan opowiedziałem jej zasłyszaną rano historię. Zupełnie zapomniałem o zamaskowanym mężczyźnie za jej oknem, lecz nim skończyłem, zdążyłem go sobie przypomnieć i w pełni dotarło do mnie, co zrobiłem, gdy zobaczyłem blednącą twarz mojej żony. — Lys — upomniałem ją z czułością — to był tylko niezdarny wyglup. Sama to sobie powtarzałaś. Nie jesteś chyba przesadna, moja droga?

Jej oczy wpatrywały się w moje. Powoli wyciągnęła spod sukni mały, złoty krzyżyk i go pocałowała. Wargi jej jednak drżały, gdy przyciskała do ust symbol wiary.

3

Nazajutrz około dziewiątej rano wszedłem do oberży Groix i usiadłem przy długim, dębowym, wypłowiałym stole, skinąwszy na powitanie do Marianne Bruyere, która też odpowiedziała mi skinieniem swej odzianej w biały czepek głowy.

— Moja rezolutna panno z Bannalec — rzekłem — czy jest w oberży Groix coś godnego polecenia na rozbudzenie?

— *Schist?* — posunęła po bretońsku.

— Ale z kropelką czerwonego wina — odparłem.

Przyniosła wyśmienitego cydru z Quimperlé, a ja dolałem do niego odrobinę Bordeaux. Marianne przyglądała mi się czarnymi, śmiejącymi się oczami.

— Skąd te rumieńce na twoich policzkach, Marianne? — spytałem. — Czyżby był tutaj Jean Marie?

— Zamierzamy się pobrać, *monsieur* Darrel — roześmiała się.

— Ach tak! Widzę, że Jean Marie Tregunc stracił głowę.

— Głowę? Oj, *monsieur* Darrel... chciał pan powiedzieć, serce!

— Prawda — przyznałem. — Jean Marie to rzeczowy człowiek, głowy by nie stracił.

— A wszystko to zasługa pańskiej dobroci... — zaczęła dziewczyna, lecz podniosłem rękę, a w niej kieliszek.

— To wyłącznie jego zasługa. Za wasze szczęście, Marianne. —

I wziąłem potężny tyk *schista*. — A teraz — rzekłem — powiedz mi, gdzie mogę znaleźć Le Bihana i Maxa Fortina.

— *Monsieur* Le Bihan i *monsieur* Fortin są w salonie na górze. Zdaje się, że oglądają rzeczy Czerwonego Admirała.

— Szykują je do wysyłki do Paryża? Aha, wiem. Czy mogę więc pójść na górę, Marianne?

— Niech pan idzie z Bogiem — uśmiechnęła się dziewczyna.

Gdy zastukałem do drzwi salonu na górze, otworzył mi drobny Max Fortin. Nos i okulary miał w kurzu, a kapelusz ozdobiony powiewającymi z tyłu cienkimi czerwonymi wstążkami przekrzywił mu się na głowie.

— Proszę wejść, *monsieur* Darrel — rzekł. — Pan mer i ja pakujemy rzeczy Purpurowego Cesarza i biednego Czerwonego Admirała.

— Kolekcje? — spytałem, wchodząc do pokoju. — To musicie dobrze zabezpieczyć te gablotki z motylami; najmniejszy wstrząs może skruszyć skrzydła i czułki, sami wiecie.

Le Bihan podał mi rękę na powitanie i wskazał na wielki stos skrzyń.

— Wszystkie są wyłożone korkiem — powiedział — ale my z Fortinem owijamy jeszcze każdy pakunek filcem. Za przesyłkę płaci Paryskie Towarzystwo Entomologiczne.

Połączone kolekcje Czerwonego Admirała i Purpurowego Cesarza tworzyły wspaniały zbiór.

Brałem do rąk i oglądałem kolejne gablotki pełne bajecznych motyli i ciem, z których każdy okaz był dokładnie opisany pod spodem po łacinie. Były skrzyneczki pełne niedźwiedziówek mieniących się kolorami ognia; inne poświęcone zwykłym żółtym motylkom; były symfonie oranżu i bladej żółci; gablotki ze stonowanymi, szarymi i ciemnobrązowymi zawisakowatymi; i skrzynki barwnych motyli z licznej rodziny rusałek.

W jednej gablotce zupełnie sam tkwił przyszpilony mieniak tęczowiec, *Apatura Iris*, tutaj zwany „purpurowym cesarzem”, okaz, który nadał przydomek jednemu z kolekcjonerów i sprowadził nań śmierć.

Pamiętałem tego motyla i stałem, przyglądając mu się ze ściągniętymi brwiami.

Le Bihan podniósł wzrok znad podłogi, gdzie przybijał gwoździami pokrywę do jednej ze skrzyń pełnej gablotek.

— A więc to postanowione — rzekł — że *madame*, pańska żona, przekazuje całą kolekcję Purpurowego Cesarza do Paryża?

Skinąłem.

— Nie przyjmując niczego w zamian?

— To dar — wyjaśniłem.

— Nie wyłączając tego tutaj purpurowego cesarza? Ten motyl wart jest mnóstwo pieniędzy — nie ustępował Le Bihan.

— Chyba nie sądzi pan, że chcielibyśmy sprzedać ów okaz? — odparłem

dość ostrym tonem.

— Na pańskim miejscu bym go zniszczył — orzekł mer swoim piskliwym głosem.

— Byłoby to głupotą — odparłem — taką samą jak zakopanie wczoraj przez pana mosiężnej tuby i zwoju.

— To nie była głupota — odrzekł stanowczo Le Bihan. — I wołałbym nie rozmawiać na temat zwoju.

Popatrzyłem na Maxa Fortina, który natychmiast uciekł spojrzeniem.

— Jesteście jak dwie zabobonne stare baby — stwierdziłem, wbijając ręce w kieszenie. — Uwierzycie w każdą bajeczkę, jaką ktoś tylko wymyśli.

— I co z tego — nadąsał się Le Bihan. — Większość z nich kryje więcej prawdy niż kłamstw.

— Oho! — zaszydziłem. — Czyżby mer St. Gildas i St. Julien wierzył w wilkołaki?

— Nie, w wilkołaki nie wierzę.

— To w co? W Joannę Flandryjską?

— To — odrzekł z przekonaniem Le Bihan — postać historyczna.

— Akurat! — odparłem. — Może wiara pana mera w olbrzymy też pozostaje niewzruszona?

— Olbrzymy istnieli, każdy to wie — warknął Max Fortin.

— I pan też! Chemik! — zauważyłem wzgardliwie.

— Niech pan posłucha, *monsieur* Darrel — zapiszczał Le Bihan. — Sam pan wie, że Purpurowy Cesarz był człowiekiem nauki. Ale co pan powie na to, że nigdy nie zgodził się umieścić w swej kolekcji Posłańca Śmierci?

— Czego? — wykrzyknąłem.

— Wie pan, o czym mówię, o nocnej émie. Niektórzy mienią ją trupią główką, ale tutaj, w St. Gildas, nosi nazwę „Posłańca Śmierci”.

— Wiem! — zawołałem. — Chodzi panu o tę dużą émę, zmierzchnicę trupią główkę. Czemuż, u diaska, tutejsi ludzie nazywają ją posłańcem śmierci?

— W St. Gildas jest znana pod tą nazwą od setek lat — odrzekł Max Fortin.

— Nawet Froissart wspomina o tym w swoich komentarzach do kronik Jacques’a Sorgue’a. Ma pan tę księgę w swojej bibliotece.

— Jacques’a Sorgue’a? A któż to taki? Nigdy nie czytałem jego książki.

— Jacques Sorgue był synem jakiegoś pozbawionego habitu mnicha... Już dobrze nie pamiętam. Było to podczas krucjaty.

— Wielkie nieba! — wybuchnąłem. — Nie słyszę o niczym innym jak tylko o krucjatach, o księżach, o śmierci i czarach, odkąd kopnąłem tamtą czaszkę do żwirowego wykopu, i powiem szczerze, że mam już tego dość. Można by pomyśleć, że błakamy się nadal w mrokach średniowiecza. Wie pan, który rok po narodzeniu Chrystusa obecnie mamy, Le Bihan?

— Tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty szósty — odrzekł mer.

— A jednak dwóch dorosłych mężczyzn boi się ómy zwanej trupią główką.

— Nie chciałbym, żeby coś takiego wleciało przez moje okno — powiedział Max Fortin. — Sprowadza zło na dom i mieszkających w nim ludzi.

— Sam Bóg tylko wie, dlaczego nazaczył jedno ze swoich stworzeń rysunkiem żółtej trupiej czaszki — zauważył Le Bihan świętoszkowato — ale domyślam się, że miał on służyć za ostrzeżenie; i radzę z niego skorzystać — dodał triumfalnie.

— Widzi pan, Le Bihan — rzekłem — wyrażając wyobraźnię, można dopatrzyć się czaszki na tułowiu pewnej dużej ómy. Ale co z tego?

— Nie wolno jej dotykać — powiedział mer, kiwając głową.

— Piszcz, gdy się ją złapie — dodał Max Fortin.

— Niektóre stworzenia piszczą przez cały czas — zauważyłem, wpatrując się twarzą w Le Bihana.

— Świnie — podpowiedział mer.

— Tak. I osły — dodałem. — Niech pan posłucha, Le Bihan. Czy chce mi pan powiedzieć, że widział pan wczoraj, jak ta czaszka toczy się pod górę?

Mer zacisnął tylko wargi i wziął do ręki młotek.

— Niech pan nie będzie uparty — powiedziałem. — Zadałem panu pytanie.

— A ja odmawiam odpowiedzi — zniecierpliwił się Le Bihan. — Fortin widział to samo co ja, niech on panu powie.

Popatrzyłem badawczo na drobnego chemika.

— Nie twierdzę, że widziałem, jak sama z siebie wytacza się z wykopu — powiedział Fortin, wzdrygając się — ale... ale jak wydostała się z dołu, jeśli sama się z niego nie wytoczyła?

— Wcale się nie wydostała; był to podobny żółtawy otoczak, który wziął pan za czaszkę — odparłem. — Był pan zdenerwowany, Max.

— Ba-bardzo dziwny był ten otoczak, *monsieur* Darrel — odparł Fortin.

— Sam także padłem ofiarą tych halucynacji — ciągnąłem — i z przykrością muszę przyznać, że zadałem sobie trud, by stoczyć do żywowego dołu dwa niewinne otoczaki, rojąc sobie za każdym razem, że to czaszka.

— To była czaszka — wtrącił znów Le Bihan, wzruszając posępnie ramionami.

— Pokazuje to tylko — mówiłem, ignorując uwagę mera — jak łatwo jest uporządkować ciąg przypadkowych zdarzeń w taki sposób, by wydawał się mieć posmak czegoś nadprzyrodzonego. A jeszcze wczoraj wieczorem mojej żonie przywidziało się, że do jej okna zagląda ksiądz w masce...

Fortin i Le Bihan poderwali się szybko z kolan, upuszczając młotek

i gwoździe.

— C-c-c-co takiego? — spytał mer.

Powtórzyłem to, co powiedziałem. Max Fortin pobladł jak ściana.

— Mój Boże! — wymamrotał Le Bihan. — W Gildas jest Czarny Ksiądz!

— Cz-czy zna pan starą przepowiednię? — wyjąkał Fortin. — Froissart cytuje ją za Jacques'em Sorguem: „Gdy z martwych wstanie Czarny Ksiądz, St. Gildas jęczeć będzie, śniąc; Gdy Czarny Ksiądz opuści grób, Niech Bóg ma w opiece St. Gildas lud!”

— Aristidzie Le Bihanie — rzekłem ze złością — i ty, Maksie Fortinie. Dość już mam tych bredni! Jakiś dureń z Bannalec przybył do St. Gildas, żeby swoimi wygłupami przestraszyć starych głupców, takich jak wy. Jeśli nie potraficie mówić o niczym innym, jak tylko o bajkach dla dzieci, to zaczekam, aż wróci wam rozsądek. Miłego dnia.

I wyszedłem bardziej zdenerwowany, niż ośmieliłbym się przyznać.

Dzień zrobił się mglisty i ponury. Ciężkie, mokre chmury wisiały na wschodzie. Słyszałem fale rozbijające się o klify i krzyczące mewy, które fruwały to tu, to tam wysoko na niebie. Nadciągał przypływ, skradając się po piasku coraz dalej w głąb lądu; zobaczyłem wodorosty unoszące się w płytkiej wodzie na plaży i podłużne małe rybki wyskakujące z morskiej piany jak srebrne, nitkowate błyski w ciemny dzień.

W górę rzeki parami i trójkami leciały kuliki; skromne jaskółki przemykały nad wrzosowiskiem, kierując się ku spokojnym, samotnym sadzawkom, gdzie mogły się schronić przed nadciągającą nawałnicą. We wszystkich żywopłotach roiło się od ptaków, które tuliły się do siebie i ćwierkały niespokojnie.

Kiedy dotarłem do klifu, usiadłem, opierając brodę na zaciśniętych w pięści dłoniach. Bezkresna kurtyna deszczu sunąca w oddali przez ocean już zasłoniła wyspę Groix. Na wschodzie, za białym semaforem na wzgórzach, tłoczyły się na horyzoncie czarne chmury. Po chwili rozległ się grzmot, głuchy, odległy, a po kłębach nadciągającej burzy przemknęły smukłe błyskawice. U podnóża klifu, na którym siedziałem, spienione fale przetaczały się przez plażę, a małe rybki wyskakiwały ponad wodę i drżały zawieszone w powietrzu jak odbicie popłatanych błyskawic.

Zwróciłem się na wschód. Łało nad Groix, łało w Sainte Barbe, łało już nad semaforem. Wysoko pośród chmur miało się kilka mew; jeden z bałwanów zbliżył się, wlokąc za sobą welon deszczu; niebo przecięły błyskawice; huknął grzmot.

Kiedy się podniosłem, by odejść, na grzbiet dłoni spadła mi zimna kropla deszczu i jeszcze jedna, i kolejna na twarz. Obejrzałem się raz jeszcze na morze, gdzie fale przybierały dziwne białe kształty, które zdawały się wyciągać w moją stronę swe groźne ramiona. Nagle coś się na klifie poruszyło, coś równie czarnego jak skała, której kurczowo się trzymało —

paskudny kormoran zadzierający ku niebu swój ohydny łeb.

Powlokłem się przez ponure wrzosowisko w stronę domu, pędy kolcolistu lśniły metaliczną zielenią, a wrzosa, wcale już nie fioletowe, zwisały pośród smutnych kamieni, przemoczone i bure. Mokra murawa skrzypiała pod moimi ciężkimi butami, tarnina zadrapała mi kolano i łokieć. Wszystko tonęło w dziwnym świetle, bladym, upiornym, a niesione od morza drobinki wody wirowały nad lądem i biły o moją twarz, aż zupełnie zdrętwiała z zimna.

W szerokich pasmach, jedno za drugim, chmura za chmurą, deszcz siekł bezkresne wrzosowisko, choć nie było wiatru, który mógłby gnać go z taką prędkością.

Gdy skręciłem do ogrodu, Lys stała w drzwiach i kiwała, żebym się pospieszył; dopiero wtedy dotarło do mnie, że jestem przemoknięty do suchej nitki.

— Jak to się, na Boga, stało, że zostałeś na dworze, choć zanosilo się na taką burzę? — spytała. — Ojej! Ależ się z ciebie leje! Idź i przebierz się szybko; kazałam położyć na twoim łóżku ciepłą bieliznę.

Ucałowałem żonę i wszedłem na górę, żeby przebrać się z przemoczonych rzeczy w coś wygodniejszego.

Kiedy wróciłem do pokoju, na kominku płonął ogień, a Lys siedziała w kąciu przy kominie i haftowała.

— Catherine mówiła, że rybacy z Lorient wypłynęli dziś w morze. Myślisz, że może im coś grozić, najdroższy? — spytała Lys, podnosząc na mnie swe błękitne oczy, gdy wszedłem.

— Nie ma wiatru, więc i połów się nie uda — powiedziałem, wyglądając przez okno.

Daleko, po drugiej stronie wrzosowiska zobaczyłem majaczące we mgle czarne klify.

— Ależ leje — stwierdziła cichym głosem Lys. — Chodź do ognia, Dick.

Osunąłem się na futrzany dywanik, ręce trzymając w kieszeniach, a głowę składając na kolanach Lys.

— Opowiedz mi coś — poprosiłem. — Czuję się jak dziesięcioletek.

Lys podniosła palec do swych szkarłatnych ust. Zawsze na to czekałem.

— A będziesz cicho? — zapytała.

— Będę cicho jak śmierć.

— Śmierć — powtórzył bardzo cicho jakiś głos.

— Mówiłaś coś, Lys? — spytałem, obracając się tak, by widzieć jej twarz.

— Nie, a to nie ty, Dick?

— Kto powiedział „śmierć”? — spytałem, przestraszony.

— Śmierć — powtórzył cicho głos.

Zerwałem się na nogi i rozejrzałem dokoła. Lys także wstała, a jej igły i robótki spadły na podłogę. Zdawało mi się, że zaraz zemdleje, tak ciężko się o mnie opierała, więc doprowadziłem ją do okna i uchyliłem odrobinę,

żeby mogła zaczerpnąć świeżego powietrza. Kiedy to robiłem, niebo rozdarła błyskawica, zahuczał grzmot i do pokoju wlał się potok wody, wnosząc ze sobą furkoczące stworzenie, które machało skrzydłami i piszczalo, dopóki mokre nie spadło miętko na futrzany dywanik.

Pochyliliśmy się razem nad niespodziewanym gościem, przy czym Lys przez cały czas do mnie lgnęła, i zobaczyliśmy, że to zmoknięta na deszczu trupia główka.

Ponury dzień mijał powoli, a my ze splecionymi dłońmi siedzieliśmy przy kominku, głowa Lys tuliła się do mojej piersi i mówiliśmy o smutku, o tajemnicy i śmierci. Ponieważ Lys wierzyła, że są na świecie rzeczy, których nikt nie jest w stanie pojąć, rzeczy, które muszą pozostać bezimienne po wsze czasy, dopóki Bóg nie zwinie zwoju naszego życia i nie nastanie koniec. Mówiliśmy o nadziei i strachu, i wierze, i tajemnicy świętych, mówiliśmy o początku i końcu, o cieniu grzechu, o znakach i o miłości. Ćma przez cały czas leżała na podłodze, w bijącym od ognia ciepłe trzepocząc leciutko smętnymi skrzydłami, z wyraźnym rysunkiem czaszki i żeber na odwłoku.

— Jeśli to w istocie zwiastun śmierci dla tego domu — rzekłem — to czemuż mielibyśmy się lękać, Lys?

— Ci, którzy miłują Boga, śmierć powinni witać z radością — wyszeptała Lys, po czym wyciągnęła spod ubrania krzyżyk i go ucałowała.

— Ta ćma sama umarłaby, gdybym wyrzucił ją na deszcz — stwierdziłem po chwili milczenia.

— Niech zostanie — westchnęła Lys.

Późnym wieczorem moja żona spała, a ja siedziałem przy jej łóżku i czytałem kroniki Jacques'a Sorgue'a. Osloniłem świecę abażurem, Lys jednak zaczęła wiercić się niespokojnie, więc wziąłem księgę na dół do salonu, gdzie popiół na kominku trzeszczał jeszcze cichutko i bieleł palenisko.

Trupia główka leżała na dywaniku przed kominkiem, tam, gdzie ją zostawiłem. Początkowo zdawało mi się, że nie żyje, lecz kiedy przyjrzałem się bliżej, dostrzegłem pełgające w jej bursztynowych oczach światło. Prosty, biały cień, jaki rzucała na podłogę, zadrżał, gdy zamigotał płomień świecy.

Karty kroniki Jacques'a Sorgue'a były wilgotne i klejące; lśniące złotem i błękitem inicjały znaczyły błyszczącymi płatkami moją rękę, gdy tylko ich dotknęła.

— To w ogóle nie jest papier, raczej cieniutki pergamin — mruknąłem sam do siebie i podniosłem wyblakłą kartę do świecy, by zacząć czytać, z mozołem tłumaczyć:

— „Ja, Jacques Sorgue, na własne oczy to wszystko widziałem. Widziałem czarną mszę sprawowaną w kaplicy Świętego Gildasa na klifie. Odprawiał

ją ojciec Sorgue, mój krewny. Za swój śmiertelny grzech ksiądz-apostata został pojmany przez najszlachetniejszego markiza Plougastel i skazany przez tegoż samego na przypiekanie rozpalonym żelazem tak długo, aż jego przypalona dusza opuściła ciało i uleciała do pana swego, diabła. Gdy jednak Czarny Ksiądz leżał w krypcie w Plougastel, pan jego, Szatan, zjawił się i go uwolnił, a potem poniósł ponad lądem i morzem do mahometan, do sułtana Saladyna. Ja zaś, Jacques Sorgue, podróżując za czas jakiś przez morze, na własne oczy zobaczyłem mego krewniaka, Czarnego Księdza z St. Gildas, niesionego w powietrzu na ogromnym czarnym skrzydle, które to skrzydło należało do pana jego, Szatana. Poświadczyć to mogą dwaj członkowie załogi statku, którym podróżowałem”.

Przewróciłem kartę. Skrzydła émy na podłodze zaczęły drżeć. Czytałem dalej, choć wzrok émił mi się w mrugającym świetle świecy. Czytałem o bitwach i o świętych, i dowiedziałem się, jak wielki sułtan zawarł pakt z Szatanem, aż wreszcie dotarłem do Sieura de Treveca, przeczytałem, jak pochwycił Czarnego Księdza z samego serca obozu Saladyna, wywiózł go i obciął mu głowę, najpierw jednak wypalając mu na czole piętno. „I cierpiąc męki — zapisano w kronice — rzucił klątwę na Sieura de Treveca i jego potomków i poprzysiągł, że wróci do St. Gildas. *Za gwałt, jaki mi zadałeś, i ja gwałt zadam tobie. Za zło, którego doznałem z rąk twoich, zło sprowadzę na ciebie i twoje potomstwo. Biada twoim dzieciom, Sieurze de Trevec!*” Coś zafurkotało, zatrzepotały mocne skrzydła, a moja świeca rozbłysła jak od nagłego podmuchu. Pokój wypełnił się szumem; wielka éma rzuciła się to tu, to tam, objijając się o sufit i ściany. Odłożyłem księgę i ruszyłem naprzód. Leżała teraz, trzepocząc skrzydłami, na parapecie i na moment przykryłem ją dłonią, stworzenie jednak pisnęło i odskoczyłem. Wówczas éma przyfrunęła nagle przez płomień świecy; światło rozbłysło znowu i zgasło i w tym momencie w ciemności na dworze przemknął jakiś cień. Podniosłem oczy do okna. Zza szyby wpatrywała się we mnie zamaskowana twarz.

Bez chwili namysłu chwyciłem za rewolwer i wystrzelałem wszystkie naboje, twarz zza okna ruszyła jednak naprzód, szkło rozpułyło się przed nią jak mgła i przez dym z rewolweru zobaczyłem, jak coś wlewa się szybko do pokoju. Próbowałem krzyknąć, lecz owo coś chwyciło mnie za gardło i upadłem na wznak w popiół na palenisku...

Gdy otworzyłem oczy, leżałem przy kominku z głową w zimnym popiele. Ukłąłem powoli, podniosłem się, obolały, i po omacku dotarłem do fotela. Na podłodze leżał mój rewolwer, połyskując w bladym świetle wczesnego poranka. Kiedy umysł mi się nieco rozjaśnił, spojrzałem, wzdrygając się, w stronę okna. Szyba była cała. Nachyliłem się sztywno, podniosłem rewolwer i otworzyłem bębenek. Wszystkie naboje zostały wystrzelone.

Jak automat zamknąłem ten bębenek i schowałem rewolwer z powrotem do kieszeni. Księga, kronika Jacques'a Sorgue'a, leżała obok mnie na stole, a gdy chciałem ją zamknąć, spojrzałem na otwartą kartę. Była mokra od deszczu, tak że pismo z niej spłynęło i cała strona była jedynie plamą złota, czerwieni i czerni. Wlokąc się do drzwi, obejrzałem się lękliwie przez ramię. Trupia główka pełzła, dygocząc, po dywaniku.

4

Słońce świeciło już od jakichś trzech godzin. Najwyraźniej zasnąłem, ponieważ obudził mnie nagle tętent koni pod naszym oknem. Na drodze krzyczeli i nawoływali się ludzie. Wyskoczyłem z łóżka i otworzyłem okno. Zobaczyłem Le Bihana, wcielenie bezradności, i stojącego obok niego Maxa Fortina, który pucował okulary. Z Quimperlé przybyli właśnie żandarmi i słyszałem ich za rogiem domu, stąpających ciężko i pobrzękujących szablami i karabinkami, gdy prowadzili konie do mojej stajni.

Lys usiadła, mamrocząc półsennie, zadając niespokojne pytania.

— Nic nie wiem — odpowiedziałem. — Pójdę sprawdzić, co to ma znaczyć.

— Jest zupełnie jak wtedy, gdy przyszli cię aresztować — rzekła Lys, posyłając mi złężnione spojrzenie.

Pocałowałem ją jednak i śmiałem się tak długo, aż i ona się uśmiechnęła. Wreszcie narzuciłem na siebie surdut, założyłem czapkę i zbiegłem po schodach.

Pierwszą osobą, jaką ujrzałem stojącą na drodze, był brygadier Durand.

— Witam! — zawołałem. — Przyszedł pan znowu mnie aresztować? Skąd, u licha, całe to zamieszanie?

— Zatelegrafowano po nas godzinę temu — odrzekł z werwą Durand. — Nie bez powodu, jak się zdaje... Proszę popatrzeć, *monsieur* Darrel!

Wskazał na ziemię niemal pod moimi stopami.

— Wielkie nieba! — krzyknąłem. — Skąd się tu wzięła taka kałuża krwi?

— Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć, *monsieur* Darrel. Max Fortin znalazł ją o świcie. Widzi pan, trawa też jest zachlapana. Ślad prowadzi do pańskiego ogrodu, przez rabatki aż do okna, tego od salonu. Inny ślad prowadzi stąd na drugą stronę drogi i na klif, a potem do żwirowego wykopu i dalej, przez wrzosowisko do lasu Kerselec. Za chwilę wsiadamy na koń i zamierzamy przeszukać zagajnik. Przyłączy się pan do nas? *Bon Dieu!* Ten człowiek krwawił jak wół. Max Fortin stwierdził, że to ludzka krew, inaczej bym nie uwierzył.

Drobny chemik z Quimperlé podszedł w tym momencie, przecierając okulary kolorową chusteczką.

— Tak, to ludzka krew — potwierdził — jedno jednak nie daje

mi spokoju: krwinki mają żółtą barwę. Nigdy dotąd nie widziałem ludzkiej krwi z żółtymi krwinkami. Pański Anglik, doktor Thompson, twierdzi jednak, że widział...

— Tak czy siak, to krew człowieka... czyż nie? — dociekał zniecierpliwiony Durand.

— Ta-ak — przyznał Max Fortin.

— Zatem do moich obowiązków należy ruszyć jej tropem — oświadczył potężny żandarm, po czym zawołał swoich ludzi i wydał rozkaz „na koń”.

— Słyszał pan coś zeszłej nocy? — spytał mnie Durand.

— Słyszałem deszcz. Dziwi mnie, że nie zmył wszystkich tych śladów.

— Musiały pojawić się po tym, jak przestało padać. Widzi pan tę gęstą kroplę? Jak lepi się do mokrej trawy, jaka jest ciężka? Pfe!

Był to wielki, obrzydliwy skrzep, a ja cofnąłem się, czując, jak gardło zaciska mi się ze wstrętu.

— Moja teoria — oznajmił brygadier — jest taka: paru z tych przyjezdnych rybaków, prawdopodobnie są to Islandczycy, wypilo o jeden kieliszek koniaku za dużo i któryś wszczął burdę na drodze. Kilku zostało rannych i dowlekło się jakoś do pańskiego domu. Z tym że jest tylko jeden ślad... choć z drugiej strony, jak tyle krwi mogło wypłynąć z jednego człowieka? No dobrze, przyjmijmy, że ów ranny dowlókł się najpierw do pańskiego domu, a potem znowu tutaj, po czym odszedł, pijany i umierający, Bóg raczy wiedzieć dokąd. Taka jest moja teoria.

— To bardzo dobra teoria — orzekłem spokojnie. — I zamierza pan go tropić?

— Tak.

— Kiedy?

— Natychmiast. Pojedzie pan z nami?

— Nie teraz. Dojadę za czas jakiś. Będziecie na skraju lasu Kerselec?

— Tak. Usłyszysz pan nasze wołanie. Jedzie pan, Fortin? A pan, Le Bihan? Świetnie, niech pan weźmie dwukółkę.

Potężny żandarm pomaszzerował za róg do stajni i po chwili wrócił na mocnym siwku; szabla błyszczała mu przy siodle; bladożółte i białe wyłogi munduru lśniły nieskazitelną czystością.

Niewielkie zbiegowisko kobiet w białych czepcach i ich dzieci rozproszyło się, gdy tylko Durand spał ostrogami konia i odjechał, a za nim dwaj jego ludzie. Wkrótce potem Le Bihan i Max Fortin także odjechali w sfatygowanej dwukółce mera.

— Jedzie pan? — zapiszczał przeraźliwie Le Bihan.

— Za kwadrans — odparłem i wróciłem do domu.

Gdy otworzyłem drzwi do salonu, trupia główka biła mocnymi skrzydłami o szybę. Zawahałem się przez moment, po czym podszedłem i otworzyłem okno. Stworzenie wyleciało, zawisło na chwilę nad rabatką, po czym

pofrnęło nad wrzosowiskiem w stronę morza. Zwołałem całą służbę i przepytalem. Josephine, Catherine, Jeana Marie Tregunca, żadne z nich nie słyszało nocą nic niepokojącego. Wreszcie poleciłem Jeanowi Marie osiodłać mego konia i nim skończyłem mówić, zeszła Lys.

— Najdroższa... — zacząłem, podchodząc do niej.

— Musisz powiedzieć mi wszystko, co wiesz, Dick — weszła mi w słowo, patrząc poważnie w oczy.

— Ależ nie ma o czym mówić, doszło do pijackiej awantury i ktoś został ranny.

— Ale wybierasz się gdzieś konno... Dokąd, Dick?

— Na skraj lasu Kerselec. Durand, mer i Max Fortin już się tam udali, podążając za... za tropem.

— Co to za trop?

— Trochę krwi.

— Gdzie ją znaleźli?

— Na drodze.

Lys przeżegnała się. — Blisko naszego domu?

— Tak.

— Jak blisko?

— Ślady prowadzą aż do okna naszego salonu — powiedziałem, poddając się.

Jej dłoń zaciążyła na moim ramieniu. — Śniłam tej nocy...

— Ja też coś... — Pomyślałem w tej chwili o wystrzelonych nabojach i urwałem.

— Śniłam, że jesteś w strasznym niebezpieczeństwie, a ja nie mogę ruszyć ręką ani nogą, by cię ocalić; miałeś jednak przy sobie rewolwer i zawołałam, żebyś strzelił...

— Ja naprawdę strzeliłem! — krzyknąłem gorączkowo.

— Strze... strzeliłeś?

Wziąłem ją w ramiona. — Moja kochana — rzekłem — wydarzyło się coś dziwnego, coś, czego na razie nie pojmuję. Rzecz jasna jednak, da się to wyjaśnić. Tej nocy myślałem, że strzelam do Czarnego Księdza.

— Och! — sapnęła Lys.

— Czy tobie śniło się to samo?

— Tak, tak, to był ten sen. Błagałam cię, żebyś strzelił...

— No i strzeliłem.

Jej serce łomotało o moją pierś. Tuliłem ją do siebie w milczeniu.

— Dick — odezwała się po dłuższym czasie — może ty zabiłeś tego... to coś.

— Jeśli był istotą ludzką, to nie spudłowałem — odparłem ponuro. — A był nią przecież — mówiłem dalej, biorąc się w garść, zażenowany, że omal nie rozsypałem się na kawałki. — Oczywiście, że był człowiekiem!

Sprawa jest całkiem prosta. Wcale nie doszło do pijackiej awantury, jak uważa Durand. Był to raczej psikus jakiegoś pijanego nieszczęśnika, za który przyszło mu drogo zapłacić. Przypuszczam, że nieźle nafaszerowałem go kulami i powlókł się, by skonać w lesie Kerselec. Straszna historia. Przykro mi, że strzeliłem bez namysłu, ale ten idiota Le Bihan i Max Fortin tak długo szarpali mi nerwy, że zacząłem histeryzować jak uczennica — zakończyłem ze złością.

— Strzelałeś... a jednak szyba w oknie jest cała — zauważyła niskim głosem Lys.

— Cóż, zatem okno było otwarte. A co do... reszty... dokuczają mi nerwowa niestrawność i chyba lekarz będzie musiał pomóc mi pożegnać się z Czarnym Księdzem na dobre.

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem Tregunca, który czekał na mnie z koniem przy bramie.

— Najmilsza, wydaje mi się, że powinienem teraz pojechać i przyłączyć się do Duranda i pozostałych.

— Pojadę i ja.

— Co to, to nie.

— Tak, Dick.

— Nie, Lys.

— Będę cierpieć w każdej sekundzie twojej nieobecności.

— Jazda byłaby zbyt męcząca, a poza tym nie sposób przewidzieć, jaki nieprzyjemny widok mogłabyś napotkać. Lys, chyba nie myślisz poważnie, że jest w tej sprawie coś nadprzyrodzonego?

— Dick — odrzekła łagodnie — jestem Bretonką. — I oplatając mi rękami szyję, moja żona dodała: — Śmierć to dar od Boga. Nie boję się jej, gdy jesteśmy razem. Za to w pojedynkę... och, mężu, bałabym się, że Bóg może mi cię odebrać!

Pocałowaliśmy się z powagą, a jednocześnie zwyczajnie, tak jak dzieci. Następnie Lys pospieszyła się przebrać, a ja chodziłem po ogrodzie w tę i z powrotem, czekając na nią.

Wróciła, naciągając na dłonie delikatne rękawiczki. Pomogłem jej wsiąść na konia, wydałem pospieszny rozkaz Jeanowi Marie i sam też dosiadłem swego rumaka.

Cóż, w poranek taki jak ten z Lys w siodle u mego boku nie sposób było truchleć ze strachu, nieważne, co się stało albo stać mogło. Co więcej, Mome wykradł się i pobiegł za nami. Prosiłem jeszcze Tregunca, żeby go zatrzymał, bo bałem się, że jeśli dalej za nami podąży, końskie kopyta mogą rozbić mu głowę, jednak przebiegły zwierzak wymknął się i pognał już za Lys, która kłusowała drogą.

A niech tam, pomyślałem, nawet jak dostanie z kopyta, przeżyje, bo nie ma takiego mózgu, który by można uszkodzić.

Lys zaczęła na mnie na drodze przy kapliczce Najświętszej Pani z St. Gildas i tam do niej dołączyłem. Lys przeżegnała się, ja uchyliłem czapki, po czym spięliśmy konie i pogalopowaliśmy w stronę lasu Kerselec.

Jadąc, nie mówiliśmy wiele. Od zawsze uwielbiałem patrzeć na Lys w siodle. Jej powabna figura i prześliczna twarz zdawały się ucieleśnieniem młodości i wdzięku, jej loki lśniły jak złote nitki.

Kątem oka spostrzegłem, że nasz rozbestwiony szczeniak, Mome, sunie w radosnych podskokach razem z nami, nie bacząc na końskie kopyta. Szlak wił się niemal skrajem klifów. Z czarnych skał poderwał się paskudny kormoran i bijąc ciężko skrzydłami, przeciął nam drogę. Koń Lys wystraszył się, ale go uspokoiła i pokazała mi ptaka szpicrutą.

— Widziałem — rzekłem. — Zdaje się, że zmierza tam gdzie my. Dosyć to niezwykle, napotkać kormorana w lesie, nie uważasz?

— To zły znak — odparła Lys. — Znasz to porzekadło: Kiedy kormoran od morza się oddala, śmierć śmieje się w lesie, a łódź staje przy domu przezornego drwala.

— Wolałbym — odrzekłem szczerze — żeby w Bretanii było nieco mniej porzekadeł...

Widzieliśmy już przed sobą las; po drugiej stronie żywopłotu z kolcolistu ujrzałem połyskujące zdobieniami mundury żandarmów i marynarkę Le Bihana ze srebrnymi guzikami. Żywopłot był niski i przeskoczyliśmy przez niego bez trudu, po czym kłusem ruszyliśmy przez wrzosowisko do miejsca, gdzie stali, gestykulując, Le Bihan i Durand.

Obaj ukłonili się ceremonialnie Lys, gdy podjechaliśmy.

— Strasznie wygląda ten ślad... istna rzeka krwi — zapiszczał mer. — *Monsieur Darrel*, myślę, że *madame* nie powinna dalej jechać.

Lys ściągnęła uzdę i spojrzała na mnie.

— To naprawdę straszne — potwierdził Durand, stając przy mnie. — Wygląda, jakby przeszedł tędy cały pułk krwawiącego wojska. Ślad wije się tutaj i w zaroślach; gubimy go chwilami, lecz zawsze odnajdujemy. Nie rozumiem, jak jeden człowiek — co tam jeden, dwudziestu ludzi! — może aż tak krwawić.

Z głębi lasu dobiegło „hop-hop”, najpierw jedno, po czym odpowiedziało mu drugie.

— To moi ludzie. Podążają za śladem — mruknął brygadier. — Bóg jeden wie, co znajdują na końcu!

— Pojedziemy z powrotem do domu, Lys? — spytałem.

— Nie. Zawróćmy konie, przejedźmy kawałek wzdłuż zachodniej ściany lasu i zsiądźmy. Słońce grzeje teraz tak mocno, chciałabym przez chwilę odpocząć — powiedziała.

— W zachodniej części lasu nie napotkacie państwo na nic nieprzyjemnego — poinformował Durand.

— Doskonale — odrzekłem. — Proszę mnie zawołać, Le Bihan, jeśli coś znajdziecie.

Lys zawróciła swoją klacz, ja podążyłem za nią po sprężystych wrzosach, a za nami radośnie potruchał Mome.

Wjechaliśmy do zalanego słońcem lasu jakieś ćwierć kilometra od miejsca, gdzie zostawiliśmy Duranda. Zdjąłem Lys z konia, zaczępiłem obie uzdy o konar i podając żonie rękę, pomogłem jej dojść do płaskiego omszałego kamienia nad płytkim strumykiem bulgoczącym wśród buków. Lys usiadła i zdjęła rękawiczki. Mome położył łeb na jej podołku i otrzymał niezасłużoną pieśczętę, po czym niepewnie podszedł do mnie. Okazałem się na tyle słaby, że darowałem mu jego wybryk, ale musiał położyć się u moich stóp, co wcale mu się nie spodobało.

Sam oparłem głowę na kolanach Lys, patrząc przez krzyżujące się gałęzie w niebo.

— Chyba go zabiłem, Lys — rzekłem. — Czuję się okropnie wstrząśnięty.

— Skąd mogłeś wiedzieć, najdroższy? Przecież mógł to być włamywacz, a... jeśli... nie... Czy... Czy strzelałeś ze swego rewolweru od tamtego dnia przed czterema laty, kiedy próbował cię zabić syn Admirala? Zresztą wiem przecież, że nie.

— Nie — odrzekłem, zastanawiając się. — Faktycznie nie strzelałem. Czemu pytasz?

— A czy pamiętasz, że poprosiłam cię, byś pozwolił mi go załadować tamtego dnia, kiedy Yves odszedł, przysięgając, że zabije ciebie i swojego ojca?

— Owszem, pamiętam. I co?

— Cóż, ja... wzięłam najpierw naboje do kaplicy w St. Gildas i zanurzyłam je w święconej wodzie. Tylko się nie śmiej, Dick — powiedziała łagodnie Lys, kładąc chłodne dłonie na moich wargach.

— Śmiać się! Moja droga!

Październikowe niebo nad nami było jak bledy ametyst, a słońce paliło przez żółte liście buków i dębów niczym pomarańczowy płomień. Komary i meszki tańczyły i falowały w powietrzu; z gałązki spuścił się pajak i zawisł w pół drogi nad ziemią, dyndając na końcu swej jedwabnej niteczki.

— Ty nie jesteś czasem senny, mój drogi? — spytała Lys, pochylając się nade mną.

— Jestem... trochę. W nocy spałem najwyżej dwie godziny — odparłem.

— Możesz tu sobie zasnąć, jeśli chcesz — rzekła Lys i pieśczętliwie dotknęła moich powiek.

— A czy moja głowa nie ciąży na twoich kolanach?

— Nie, Dick.

I już prawie drzemałem; wciąż jeszcze słyszałem strumyk szemrzący pod bukami i bzyczenie leśnych owadów nad głową. Po chwili ucichło i to...

Ocknąłem się, siedząc prosto, a w uszach dźwięczał mi krzyk; zobaczyłem kulącą się przy mnie Lys, która zasłaniała twarz obiema dłońmi. Kiedy zerwałem się na nogi, krzyknęła znowu i przylgnęła do mych kolan. Ujrzałem, jak nasz pies wpada, warcząc, w zarośla, po czym usłyszałem, jak skamle, i zobaczyłem, jak wraca, idąc tyłem, piszcząc, z położonymi uszami i podkulonym ogonem. Schyliłem się i uwolniłem nogi z objęć Lys.

— Nie idź, Dick! — krzyknęła. — O Boże, to Czarny Ksiądz!

W jednej chwili przeskoczyłem przez strumyk i znalazłem się w zaroślach. Nikogo tam nie było. Rozejrzałem się dokoła; obejrzałem dokładnie każdy pień, każdy krzak. I nagle go zobaczyłem. Siedział na zwałonym drzewie, głowę opierając na dłoniach, owinięty rdzawo-czarną sutanną. Na moment włos zjeżył mi się na głowie, a po czole i policzkach spłynął pot; wreszcie wróciła mi przytomność umysłu i zrozumiałem, że mam przed sobą człowieka — prawdopodobnie śmiertelnie rannego. O tak, śmiertelnie, jako że u moich stóp ciągnęła się mokra smuga krwi, znacząc liście i kamienie, wiodąc do małego zagłębienia i dalej, aż do postaci w czerni odpoczywającej w milczeniu wśród drzew.

Zauważyłem, że nie mógłby uciec, gdyby nawet miał siłę, ponieważ przed nim, niemal u jego stóp znajdowało się głębokie, lśniące bagno.

Gdy szedłem w jego stronę, pod moją stopą trzasnęła gałązka. Na ten dźwięk postać drgnęła leciutko, po czym głowa znów się zwiesiła. Twarz kryła się za maską. Podchodząc do mężczyzny, prosiłem, by powiedział, gdzie jest ranny. Durand i pozostali przedarli się przez zarośla w tej samej chwili i pospieszili do mnie.

— Kimże jesteś, ty, który chowasz się za maską i księżą sutanną? — zapytał głośno żandarm.

Odpowiedzi nie było.

— Spójrzcie... zobaczcie tę zaschniętą krew na jego szacie! — wymamrotał do Fortina Le Bihan.

— I nie chce mówić — rzekłem.

— Może jest tak ciężko ranny — wyszeptał Le Bihan.

— Widziałem, jak podnosi głowę — mówiłem dalej. — A moja żona widziała, jak się tutaj zakradał.

Durand postąpił naprzód i dotknął postaci.

— Mów! — nakazał.

— Mów! — drżącym głosem zawtórował mu Fortin.

Durand odczekał chwilę, po czym niespodziewanie zdarł maskę i pchnął głowę mężczyzny do tyłu. Patrzyliśmy w puste oczodoły czaszki. Durand zeszytywniał; mer zakwiczał. Kościotrup jakby wyrwał się z butwiejącej sutanny i leżał na ziemi przed nami. Spomiędzy żeber i wyszczerzonych zębów wytrysnął strumień czarnej krwi, spryskując kulące się żdzębła trawy. Po chwili szkielet drgnął i wpadł w czarną maź bagniska. Na powierzchni

błota pojawiły się opalizujące bąbelki powietrza, kości powoli zostały wchłonięte, a gdy ostatnie ich fragmenty znikły nam z oczu, z mulistej głębin wypęzło stworzenie: lśniące, dygoczące, trzepoczące skrzydłami.

Była to ćma trupia główka.

Żałuję, że nie mam dość czasu, by opowiedzieć wam, jak Lys wyrosła z wiary w przesady — nigdy nie poznała prawdy na temat tamtego zdarzenia i nigdy jej nie pozna, gdyż obiecała mi, że nie przeczyta tej historii. Żałuję, że nie mogę opowiedzieć wam o królu i jego koronacji, ani o tym, jak wspaniale wyglądał w swej koronacyjnej szacie. Żałuję, że nie miałem możliwości napisać, jak Yvonne i Herbert Stuartowie pojechali polować na dzika w lasach Quimperlé i jak ich psy przegoniły zwierza przez całe miasto, przewracając trzech żandarmów, notariusza i starszą panią. Ale robię się gadatliwy, a Lys woła mnie, bym przyszedł i posłuchał, jak król mówi, że jest senny. A Jego Wysokość nie może przecież czekać.

KOŁYSANKA DLA KRÓLA

Pieczeń połóż ze złota

Na zwoju młodego żywota;

Otul go w miękkiej szaty purpure

Krople diamentów i złota daj, które

Lśnić będą na zdobnych żabotach.

Śmierci Maleńkiej skrzydła szkarłatne,
Muśnijcie swym tchnieniem włosięta gładkie;

Grzechów przyszyłych skrzydła płonące

I prorocztwami czynów wielkich lśniące,

Oczęta małe przytłumcie barwami,

Gdy biały księżyc umyka ścigany

Przez wiatr po niebie usianym gwiazdami.

Śmierci Maleńkiej skrzydła, ach, bijcie!

Uciszczone oddech, spojrzcie zaćmijcie,

Okryjcie z klejnotów całunem mu pierś.

Ze świata początku po świata kres

Śmierci Maleńkiej skrzydła, ach, bijcie!

Aż księżyc na niebie pyszne słońce zmieni

I Boże duchy zjawiają się na ziemi.

Miły wieczór

*Et pis, doucett'ment on s'endort.
On fait sa carne, on fait sa sorgue.
On ronfle, et, comme un tuyan d'orgue.
L'tuyan s'met a ronfler pus fort...*

Aristide Bruant

1

Gdy tylko wsiadłem do tramwaju linowego przy Czterdziestej Drugiej Ulicy, ktoś zaczepił mnie:

— Witaj, Hilton, Jamison o ciebie pytał.

— Witaj, Curtis — odparłem — a czego to chce Jamison?

— Chce wiedzieć, co robiłeś przez cały ten tydzień — odpowiedział Curtis, chwytając się kurczowo poręczy, gdy wagonik szarpnął do przodu. — Jego zdaniem wydajesz się uważać, że tygodnik *Manhattan Ilustrowany* istnieje wyłącznie po to, by wypłacać ci pensję i fundować wakacje.

— A to podły stary kocur! — oburzyłem się. — Dobrze wie, gdzie byłem! Wakacje! Wydaje mu się, że obóz wojskowy w czerwcu to pestka!

— Ach — rzekł Curtis — zatem byłeś w Peekskill?

— A jakże — odparłem, czując, jak gniew wzbiera we mnie coraz bardziej na myśl o pracy, jaką wykonałem.

— Gorąco było? — spytał sennym głosem Curtis.

— Czterdzieści stopni w cieniu — odrzekłem. — Jamison chciał trzy pełne strony i trzy połówki, wszystko do obróbki, do tego mnóstwo szkiców. Mogłem je machnąć z głowy — szkoda, że tego nie zrobiłem. Jak ten głupiec latałem, kombinowałem, żeby mieć jakieś przyzwoite rysunki, i oto jakie podziękowanie dostaję.

— Miałeś ze sobą aparat?

— Nie. Następnym razem wezmę. Nie warto sumiennie pracować dla Jamisona — stwierdziłem, nadąsany.

— Nie opłaci się — przyznał Curtis. — Kiedy dostaję zadanie związane z wojskowością, możesz mi wierzyć, że nie gnam na łeb na szyję, by zgrywać zapalonego rysownika. Idę do mojego mieszkania, zapalam fajkę, wyciągam całe mnóstwo *Londyńskich Wieści Ilustrowanych*, wybieram kilka stosownych scen batalistycznych autorstwa Catona Woodville'a... i z nich korzystam.

Tramwaj pokonał ostry zakręt na Czternastej Ulicy.

— Tak — ciągnął Curtis, gdy wagon zatrzymał się na moment przed Morton House, po czym znów ruszył przy dzikim akompaniamencie dzwonek. — Nie opłaci się porządnie pracować dla tych głąbów wydających *Manhattan Ilustrowany*. I tak tego nie docenią.

— Myślę, że czytelnicy nas doceniają — rzekłem — za to Jamison na pewno nie. Miałby za swoje, gdybym zrobił to, co robi większość z was, wziął stertę rysunków Catona Woodville'a i Thulstrapa, zmienił mundury, przerobił trochę jakąś postać, może dwie, i oddał rysunek z podpisem „z natury”. Zresztą mam już tego po dziurki w nosie. Niemal dzień w dzień przez ostatni tydzień biegałem po tym tropikalnym obozowisku albo galopowałem za artylerią. Mam całą stronę szkiców pod tytułem „obóz w świetle księżycy”, kilka stron „musztry artylerzystów” i „lekkiej artylerii w akcji”, do tego chyba z tuzin mniejszych rysunków, które kosztowały mnie więcej trudu i potu, niż Jamison miał szansę doświadczyć przez całe swe niemrawe życie!

— Jamison ma zachcianki — przyznał Curtis — ma gorsze zachcianki niż kobieta w ciąży. I chce, żebyś do soboty przygotował kolejną całostronicową ilustrację.

— Że co? — krzyknąłem przerażony.

— No, chciał zlecić to Jimowi Crawfordowi, ale Jim ma jechać na Wystawę Światową do Kalifornii, więc wybrał ciebie.

— Co to ma być? — spytałem niezadowolony.

— Zwierzęta w Central Parku — zarechotał Curtis.

Byłem wściekły. Zwierzęta! Doprawdy! Już ja pokażę Jamisonowi, że należy mi się odrobina poważania! Był czwartek; to oznaczało, że miałem półtora dnia na wykonanie całostronicowego rysunku dla gazety, a po harówce w obozie wojskowym czułem, że muszę choć trochę odpocząć. Zresztą nie podobał mi się temat. Miałem zamiar powiedzieć o tym Jamisonowi — tak, stanowczo musiałem mu o tym powiedzieć. Jednakże wiele już było spraw, o których chcieliśmy powiedzieć Jamisonowi, a które nadal pozostawały niewypowiedziane. Dziwny był z niego człowiek: miał nalaną twarz, cienkie wargi, delikatny głos, a do tego był łagodny i poruszał się miękko jak kot.

Dlaczego nasza stanowczość topniała, gdy już znaleźliśmy się w jego obecności, nigdy nie byłem w stanie ustalić. Mówił bardzo niewiele — podobnie jak my, choć często stawaliśmy przed jego obliczem ze zgoła innym zamiarem.

Prawda była taka, że *Manhattan Ilustrowany* płacił tak dobrze jak żadna inna gazeta w Ameryce i miał ze wszystkich najlepsze ilustracje, a my, młokosi, wcale nie mieliśmy ochoty znaleźć się na bruku. Jamison znał się na sztuce pewnie tak dobrze jak żaden inny „redaktor od sztuki” w Nowym

Jorku. Rzecz jasna, niewiele to tak naprawdę mówiło, ale przez sam ten fakt zasługiwał na nasze poważanie.

Tym razem jednak postanowiłem uświadomić Jamisonowi, że rysunków nie produkuje się na akord i że nie jestem chłopcem na posyłki ani zwykłym popychadłem. Upomnę się o swoje prawa; powiem staremu parę rzeczy, które puszczą w ruch tryby pod tym jego jedwabnym kapeluszem, a jeśli będzie próbował ze mną tego swojego kociego pomrukiwania, przedstawię mu kilka prostych faktów, od których zjeży mu się na głowie tych kilka włosów, które mu jeszcze zostały.

Pałając słusznym oburzeniem, wyskoczyłem z tramwaju przy Ratuszu i wraz z Curtisem, który próbował za mną nadążyć, po kilku minutach wkroczyłem do redakcji *Manhattanu Ilustrowanego*.

— Pan Jamison chciałby pana widzieć — oznajmił jeden z zecerów, gdy przemierzałem długi korytarz.

Rzuciłem na stół swoje rysunki i wytarłem czoło chusteczką.

— Pan Jamison chciałby pana widzieć — powiedział drobny, piegowaty chłopak ze smugą tuszu na nosie.

— Wiem — odparłem i zacząłem zdejmować rękawiczki.

— Pan Jamison chciałby pana widzieć — powiedział tyczkowaty goniec niosący plik odbitek korektorskich na piętro niżej.

— Niech diabli porwą Jamisona — mruknąłem pod nosem i ruszyłem w stronę ciemnego przejścia prowadzącego do gabinetu naczelnego, powtarzając w myślach zgrabną, sarkastyczną przemowę, którą układałem przez ostatnich dziesięć minut.

Jamison podniósł wzrok i skinął łagodnie, gdy wchodziłem. I zapomniałem swojej mowy.

— Panie Hilton — rzekł — potrzebna nam całostronicowa ilustracja ukazująca zoo, zanim zostanie ono przeniesione do parku w Bronksie. W sobotę o trzeciej po południu rysunek musi znaleźć się w rękach rytownika. Miło pan spędził miniony tydzień w obozie?

— Było gorąco — wymamrotałem, wściekły, że nie mogę sobie przypomnieć mojej małej przemowy.

— Ta pogoda — stwierdził Jamison ze swą łagodną uprzejmością — dokucza nam wszędzie. Dostarczył pan rysunki?

— Tak. Było gorąco jak w piekle, a ja tyrałem jak wół...

— Przypuszczam, że był pan dosyć zmęczony. Czy to dlatego wybrał się pan na dwudniową wycieczkę w Catskills? Ufam, że górskie powietrze przywróciło panu siły... ale... czy rozsądnym było jechać we wtorek do Cranstona na bal? Niezbyt roztropnie jest tańczyć w tak ciężką pogodę. Miłego dnia, panie Hilton, proszę pamiętać, że rytownik musi dostać pańskie szkice w sobotę do trzeciej po południu.

Wyszedłem po części zahipnotyzowany, a po części wściekły. Curtis

szczerzył zęby, gdy go mijalem — miałem ochotę dzielić go między uszy.

— Czemu, u licha, zapominam języka w gębie, ilekroć ten stary kocur zacznie mruczeć! — pytałem sam siebie, wchodząc do windy i zjeżdżając na parter. — Nie będę tego dłużej znosił... Jak, na rany koguta, dowiedział się, że pojechałem w góry? Pewnie uważa mnie za lenia, bo nie chcę usmażyć się na śmierć. I skąd dowiedział się o tańcach w Cranstonie? Chytry kocur!

Huk, jazgot maszyn i gwar spieszących się ludzi wypełnił mi uszy, gdy przechodziłem na drugą stronę alei, by skręcić do Parku Ratuszowego.

Z umieszczonego na wieży masztu w ciepłym powietrzu zwisała skąpana w słońcu flaga; nawet najłżejszy podmuch nie próbował unieść jej szkarłatnych pasów. Nad głową rozciągało się przecudne, bezchmurne niebo, tak mocno, mocno niebieskie, migoczące w diamentowych promieniach słońca.

Gołębie zataczały koła nad dachem szarego budynku poczty albo też spadały jak grom, by pofruwać wokół fontanny na placu.

Na schodkach ratusza rozsiadł się jakiś odpychający miejscowy polityk, dłubiąc wykałaczką w szerokiej żuchwie, podkręcając sumiaste czarne wąsy i plując sokiem z tabaki na marmurowe stopnie i przyciętą krótko trawę.

Mój wzrok oddalił się od tej kanalii i powędrował ku spokojnej, wyrażającej pogardę twarzy bohaterskiego Nathana Hale'a ¹¹ na piedestale, a potem do ubranego w szary mundur parkowego strażnika, który miał za zadanie pilnować, by dzieci nie wchodziły na soczystą murawę.

Na ławce przy fontannie drzemał młody człowiek o chudych rękach i podkrążonych oczach, a strażnik podszedł do niego i krótką pałką stuknął w podeszwy butów.

Młodzieniec wstał mechanicznie, rozejrzał się dokoła, oślepiiony słońcem zadrżał i odszedł, kuśtykając.

Zobaczyłem, jak siada na stopniach budynku z białego marmuru, podszedłem i zagadnąłem.

Ani na mnie nie spojrział, ani nie zauważył monety, którą mu ofiarowałem.

— Wygląda pan na chorego — rzekłem — powinien pan pójść do szpitala.

— Dokąd? — spytał nieprzytomnie. — Już tam byłem, ale nie chcieli mnie przyjąć.

Nachylił się i zawiązał kawałek sznurowadła, które trzymało na stopie to, co zostało jeszcze z buta.

— Jest pan Francuzem — zauważyłem.

— Tak.

— Nie ma pan tu żadnych przyjaciół? Był pan u francuskiego konsula?

— U konsula! — odparł. — Nie, nie byłem u francuskiego konsula.

Po chwili rzekłem: — Mówi pan jak dżentelmen.

Podniósł się i stanął prosto jak świeca, po raz pierwszy patrząc mi prosto w oczy.

— Kim pan jest? — spytałem nagle.

— Wyrzutkiem — odrzekł bez emocji i pokuśtykał, wtykając ręce do dziurawych kieszeni.

— Hejże! — odezwał się strażnik parkowy, który podszedł w porę, by usłyszeć moje pytanie i odpowiedź włóczęgi. — To pan nie wie, kim jest ten kloszard? Pan, człowiek z prasy?

— A niby kto to taki, Cusick? — spytałem, patrząc, jak chuda, obdarta postać przechodzi przez Broadway i idzie w stronę rzeki.

— Naprawdę pan nie wie, panie Hilton? — dopytywał się podejrzliwie Cusick.

— Nie, nie wiem. W życiu go nie widziałem.

— Cóż — rzekł strażnik — przecież to „Żołdak Charlie”... pamięta pan... francuski oficer, który sprzedawał tajemnice szkopom.

— I miał dostać kulkę w łeb? Teraz sobie przypominam, cztery lata temu... ale uciekł... chce pan powiedzieć, że to ten człowiek?

— Wszyscy to wiedzą. — Cusick siorbnął nosem. — Myślałem, że wy, dziennikarze, wiecie o takich sprawach więcej niż ktokolwiek inny.

— Jak się nazywa? — spytałem po chwili.

— Żołdak Charlie...

— Chodzi mi o prawdziwe nazwisko.

— A, jakieś takie nieludzkie, francuskie. Tutaj żaden Francuz się do niego nie odezwie. Czasami klną na niego i go kopią. Zdaje się, że powoli umiera.

Przypomniałem sobie teraz wszystko. Dwóch młodych kawalerzystów francuskich zostało aresztowanych i oskarżonych o sprzedaż planów fortyfikacji oraz innych tajemnic wojskowych Niemcom. W wieczór poprzedzający ogłoszenie wyroku skazującego jeden z nich, Bóg raczy wiedzieć jak, uciekł i zjawił się w Nowym Jorku. Drugi został zastrzelony. Sprawa zyskała pewien rozgłos, bo obaj młodzieńcy pochodzili z dobrych rodzin. Był to bolesny epizod i wołałem o nim szybko zapomnieć. Teraz, gdy znów o nim usłyszałem, przypomniałem sobie relacje w prasie, nie pamiętałem jednak nazwisk młodych nieszczęśników.

— Sprzedał swą ojczyznę — stwierdził Cusick, obserwując kątem oka grupkę dzieci. — Nie trzeba wierzyć żabojadom ani makaroniarzom, ani szkopom. Prawdziwie biali ludzie to chyba tylko jankesi.

Spojrzałem w szlachetną twarz Nathana Hale’a i skinałem.

— Zero w nas przebiegłości, co nie, panie Hilton?

Pomyślałem o zdradzieckim Benedyku Arnoldzie [12](#) i wbiłem wzrok w buty.

Wreszcie strażnik rzekł: — No, do zobaczenia, panie Hilton — i odszedł, by przegonić bladą, małą dziewczynkę, która przeszła przez niski płotek i nachylała się, by powąchać aromatyczną trawę.

— Uważaj! Strażnik! — zapiszczeni jej koledzy i cała grupka małych

nicponi rozpierzchła się po placu.

Przygnębiony, zawróciłem i odszedłem w stronę Broadwayu, gdzie długie, żółte tramwaje linowe sunęły to w jedną, to w drugą stronę, a brzęk ich dzwonek i ogłuszający łoskot ciężkich wozów odbijał się echem od marmurowych ścian gmachu sądu i granitowych poczty.

Tłumy spieszących się, zajętych ludzi przemieszczały się w stronę centrum i z powrotem, szczupli, poważni urzędnicy, schludni pośrednicy handlowi o chłodnym spojrzeniu, tu i ówdzie jakiś prowincjonalny polityk witał się z wyborcą, to tu, to tam przemykał ratuszowy prawnik o ziemistym, pośepnym obliczu. Czasami wśród ciżby mignął strażak w prostym, niebieskim mundurze, czasami odziany na granatowo policjant, palcami przeczesujący ostrzyżone krótko włosy i trzymający swój hełm w obleczonej w białą rękawiczkę dłoni. Były i kobiety, bladolice sprzedawczynie o ślicznych oczach, wysokie blondynki, być może maszynistki, a może wcale nie, i mnóstwo, mnóstwo starszych pań, których spraw w tej części miasta nikt nawet nie ośmieliłby się odgadnąć, które jednak spiesznym krokiem zdążyły to w jedną stronę, to w drugą; wszyscy zaprzątnięci byli czymś do tego stopnia, że cały tłum zdawał się stapiać w jedno, sprawiając wrażenie istoty, która spieszy do beznadziejnego końca.

Znałem niektóre z mijających mnie osób. Był zatem mały Jocelyn z *Mail and Express*; był Hood, który miał więcej pieniędzy, niż chciał mieć, a po opuszczeniu Wall Street miało mu ich zostać mniej, niż potrzebował; był pułkownik Tidmouse z czterdziestego piątego pułku piechoty, zapewne wracający z redakcji *Wojska i Marynarki*, i był też Dick Harding piszący najlepsze opowiadania o życiu w Nowym Jorku, które nigdy nie trafiały do druku. Ludzie mówili, że coś mu się już w głowie poprzestawiało — zwłaszcza ci ludzie, którzy także pisali opowieści o życiu w Nowym Jorku i zanosilo się niestety na to, że do końca życia będą mieć w swych głowach porządek.

Spojrzałem na posąg Nathana Hale'a, a następnie na ludzki potok, który opływał jego piedestał.

— *Quand même* — mruknąłem i przeszedłem na Broadway, dając znak konduktorowi wyjeżdżającego ze śródmieścia tramwaju.

2

Wszedłem do parku przez bramę na rogu Piątej Alei i Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy; nigdy nie potrafiłem się zmusić, by przejść przez tę, której strzeże szkaradny, karłowaty posąg Thornwaldsena.

Popołudniowe słońce kapało w blasku okna hotelu Nowa Holandia, tak iż mieniała się każda szyba z pomarańczową zasłonką, a czubki skrzydeł brązowych smoków zdawały się płonąć żywym ogniem.

Całe masy wspaniałych kwiatów żarzyły się w świetle słońca na szarych tarasach Savoya, na ogrodzonym wysokim płotem dziedzińcu pałacu Vanderbilta i na balkonach Plazy naprzeciwno.

Biała, marmurowa fasada Metropolitan Club stanowiła przyjemną odmianę od wszechobecnej jaskrawości, więc nie spuszczałem z niej wzroku, dopóki nie przeszedłem przez zakurzoną ulicę i nie znalazłem się w cieniu drzew.

Jeszcze nim doszedłem do zoo, poczułem jego zapach. W przyszłym tygodniu miało zostać przeniesione i znaleźć się wśród zieleni chłodnych łąk i gajów Bronx Park, z dala od dusznego miejskiego powietrza, z dala od piekielnego hałasu czynionego przez jeżdżące po Piątej Alei omnibusy. Szlachetny jelen popatrzył na mnie ze swego więzienia wśród drzew, kiedy mijałem go, idąc krętą asfaltową alejką.

— Nie przejmuj się, stary — rzekłem — w przyszłym tygodniu będziesz się pluskał w rzece Bronx i skubał klonowe gałązki ile dusza zapagnie.

Szedłem dalej, mijając stadka przyglądających mi się saren, potężnych łosi i antylop afrykańskich o wydłużonych pyskach, aż dotarłem do klatek z wielkimi mięsożercami.

Tygrysy wylegiwały się na słońcu, mrużąc oczy i liżąc łapy; lwy spały w cieniu albo siedziały na zadach, ziewając poważnie. Smukła pantera wędrowała w tę i z powrotem po swojej klatce, przystając od czasu do czasu, by wyrzeć na wolny, pławiący się w słońcu świat. Serce krajało mi się na widok uwieczonych w klatkach dzikich zwierząt, więc ruszyłem dalej, podnosząc co jakiś czas wzrok i napotykając puste spojrzenie tygrysa czy też podłe, przebiegłe oczka cuchnącej hieny.

Po drugiej stronie łąki zobaczyłem słonie kołyszące wielkimi głowami, stateczne bizony w smutnej zadumie przeżuujące trawę, sarkastyczne miny wielbłądów, złośliwe małe zebry i całe mnóstwo innych zwierząt z rodziny lam i wielbłądów, wszystkich do siebie podobnych, wszystkich tak samo żałosnych, głupich, kompletnie nieinteresujących.

Gdzieś za starym arsenałem krzyczał orzeł, pewnie bielik amerykański; usłyszałem też mlaskanie hipopotama, pisk sokoła i powarkiwanie spierających się wilków.

Urocze miejsce w taki upał! — pomyślałem rozgoryczony i bezgłośnie posłałem w stronę Jamisona takie epitety, że nie ośmielę się ich tutaj przytoczyć.

Zapaliłem jednak papierosa, by stłumić smród bijący od hien, otworzyłem szkicownik, zatemperowałem ołówek i pogрузyłem się w pracy nad rodziną hipopotamów.

Chyba wzięły mnie za fotografa, bo wszystkie zaprezentowały uśmiechy, jakby witały się z przyjacielem, tak iż do szkicownika zawitała grupa szeroko rozwartych szczęk, za którymi bezkształtne, ciężkie cielska nikły

w zatrważającej perspektywie.

Aligatory to była bułka z masłem; wyglądały w moim przekonaniu tak, jakby nie poruszyły się od dnia założenia zoo, za to napotkałem na pewne trudności z wielkim bizonem, który z uporem odwracał się do mnie zadem i oglądał się obojętnie, by sprawdzić, jak to znoszę. Udawałem więc, że całkowicie pochłonęły mnie figle dwóch małych niedźwiadków, i ponury stary byk dał się nabrać — wykonałem kilka niezłych rysunków i roześmiałem mu się w nos, zamykając szkicownik.

Przy wolierze z ptakami drapieżnymi stała ławka, usiadłem na niej, by naszkicować sępy i kondory nieruchome jak mumie pośród stert ułożonych pieczołowicie kamieni. Stopniowo powiększałem rysunek, dodając żwirowy placyk, schodki prowadzące na Piątą Aleję, sennego strażnika parkowego przed arsenałem — i szczupłą, bladą dziewczynę w czarnym, podniszczonym ubraniu, która stała cichutko w cieniu wierzb.

Po jakimś czasie spostrzegłem, że szkic, zamiast studium ptaków, przedstawia w istocie kompozycję, której centralnym elementem jest dziewczyna w czerni. Nieświadomie podporządkowałem jej wszystko inne, ponure sępy, drzewa i alejki, i ledwo widoczne na rysunku ustawione w rzędach leżaki.

Stała całkiem nieruchomo ze zwieszoną głową i drobnymi, bladymi dłońmi splecionymi luźno przed sobą.

Smutna to raczej zaduma — pomyślałem — pewnie nie ma pracy.

I wtedy też pochwyciłem błysk pierścionka z brylantem na środkowym palcu lewej dłoni.

Z głodu nie umrze, będąc w posiadaniu takiego kamyka — zauważyłem w myślach, patrząc z zaciekawieniem na ciemne oczy i wrażliwe usta. Były piękne, i oczy, i usta, piękne, lecz naznaczone cierpieniem.

Po chwili wstałem i cofnąłem się kawałek, by wykonać szkic dwóch lwów i tygrysów. Z daleka ominąłem małpy — nie znoszę ich, wcale nie wydają mi się zabawne, biedne, skarłałe, upodłone karykatury wszystkiego, co i tak podłe w nas samych.

Wystarczy — pomyślałem na koniec. — Pójdę teraz do domu i stworzę całostronicowy rysunek, który powinien zadowolić Jamisona.

Zamknąłem więc szkicownik, schowałem ołówek i gumkę i udałem się w stronę pawilonu wypoczynkowego z ławkami, by w promieniach zachodzącego słońca wypalić papierosa, a potem wrócić do mojej kawalerki i pracować do północy po uszy w węglu i chińskiej bieli.

Po drugiej stronie długiej łączki widziałem dachy miasta górujące nieznacznie ponad drzewami. Nisko nad horyzontem wisiała ametystowa mgła, której barwa pogłębiała się z każdą mijającą chwilą, i gdy się przez nią patrzyło, iglice i kopuły, dachy i wieże, wszystkie wysokie kominy, nad którymi leniwie unosiły się kręte wstążki dymu, jawiły się jako berylowe

pinakle i płonące minarety rozplywające się w zwiewnych oparach. Czar działał coraz silniej, wszystko, co brzydkie, byle jakie i podłe, znikło z odległego miasta i teraz wznosiło się ono na tle wieczornego nieba wspaniałe, złociste, potężne, skąpane w oczyszczającym ogniu zachodzącego słońca.

Czerwony dysk skrył się już do połowy za horyzontem; korona upleciona z drzew, z pierzastych wierzb i pączkujących brzoź ciemniała na tle wieczornej zorzy; ogniste promienie przecinały łączkę, ozlając martwe żdźbła, barwiąc stonowanym szkarłatem ciemne, wilgotne pnie drzew dokoła.

Daleko, po drugiej stronie łąki przeszedł pasterz, podążając za swoim ściśniętym stadkiem z psem u boku — ledwo widoczne, przesuwające się szare plamki.

Na zwirowej ścieżce przysiadła naprzeciw mnie wiewiórka, przebiegła kilka metrów i znowu usiadła tak blisko, że widziałem falowanie jej lśniących boczków.

Ukryty gdzieś w trawie polny owad próbował najnowsze letnie pieśni; usłyszałem stuk-puk! stuk-pu-pu-puk! — dzięcioła wśród gałęzi nad głową i swarliwy śpiew sennego rudzika.

Zmierzch pogłębiał się; gdzieś z miasta dobiegła muzyka dzwonów i zawisła nad drzewami i łąką; ciche, ckiwe gwizdy rozbrzmiały na łodziach wzdłuż północnego nabrzeża, a odległy huk salwy obwieścił koniec czerwcowego dnia.

Końcówka mego papierosa zaczęła żarzyć się czerwonym światłem; pasterz i jego stadko rozplynęli się w zapadającym zmroku i wiedziałem tylko, że nadal się poruszają, słysząc cichutki brzęk dzwoneczków na szyjach owiec.

Nagle ogarnął mnie ten dziwny, wszystkim dobrze znany niepokój — to na wpół obudzone poczucie, że już się to wszystko widziało, przeżyło — i podniosłem głowę, i obróciłem ją powoli.

Ktoś obok mnie siedział. Mój rozum walczył z instynktem, który kazał coś sobie przypominieć.

Coś tak mglistego, a zarazem tak znajomego — coś, co umykało myślom, a zarazem stanowiło dla nich wyzwanie, coś — Bóg jeden wie, co! — nie dawało mi spokoju. Aż nagle, gdy spojrzałem bez zaciekawienia na siedzącą obok mnie postać, ogarnął mnie zupełnie wbrew mej woli lęk i pragnienie, by natychmiast zrozumieć; westchnąłem i obróciłem się nerwowo z powrotem w stronę gasnącego na zachodzie światła.

Zdawało mi się, że usłyszałem, jak me westchnienie odbija się echem — prawie nie zwróciłem na to uwagi; po chwili westchnąłem znowu, upuszczając niedopałek na żwir pod moimi stopami.

— Mówił pan coś do mnie? — odezwał się cichy głos tak blisko, że obróciłem się dość gwałtownie.

— Nie — odparłem po chwili ciszy.

Była to kobieta. Nie widziałem wyraźnie jej twarzy, lecz zobaczyłem splecione dłonie leżące bezwładnie na kolanach i błysk wielkiego brylantu. Od razu ją poznałem. Nie musiałem nawet spoglądać na podniszczoną czarną suknię, na bladą twarz będącą jak jasna plama w zapadającym zmierzchu, by wiedzieć, że mam jej portret w swoim szkicowniku.

— Czy... czy pozwoli pan, że zajmę panu chwilę? — spytała nieśmiało.

Beznadzieja i smutek w jej głosie wzruszyły mnie. Odrzekłem: — Ależ oczywiście, proszę bardzo. Czy mogę coś dla pani zrobić?

— Tak — odparła, rozpromieniając się odrobinę. — Gdyby... gdyby był pan tak dobry...

— Zatem zrobię to, jeśli tylko będę mógł — odrzekłem pogodnie. — O co chodzi? Potrzebuje pani gotówki?

— Nie, nie w tym rzecz — zapewniła, odsuwając się nieco ode mnie.

Przeprosiłem ją, nieco zdziwiony, i wyjąłem rękę z kieszeni, gdzie trzymałem drobne.

— Chciałabym... chciałabym tylko, żeby wziął pan te — wyjęła spod stanika sukni cienką paczuszkę — te dwa listy.

— Ja? — zdumiałem się.

— Tak, jeśli będzie pan tak miły.

— Ale co mam z nimi zrobić? — spytałem.

— Nie umiem panu powiedzieć; wiem tylko, że muszę je panu dać. Weźmie je pan?

— Ależ tak, wezmę — roześmiałem się. — Czy mam je przeczytać? — Po czym w myślach dodałem: „Sprytny sposób na wyciągnięcie pieniędzy”.

— Nie — odpowiedziała niespiesznie — nie ma pan ich czytać. Ma je pan komuś przekazać.

— Komu? Komukolwiek?

— Nie, nie komukolwiek. Będzie pan wiedział, komu je oddać, gdy przyjdzie pora.

— Zatem mam je przechować do czasu, aż otrzymam dalsze wskazówki?

— Serce wskaże panu, co robić — odrzekła ledwo słyszalnym głosem.

Wyciągnęła do mnie rękę i żeby jej sprawić przyjemność, wziąłem paczuszkę. Była mokra.

— Listy wpadły do morza — wyjaśniła. — Było jeszcze zdjęcie, które powinno się znaleźć wraz z nimi, ale słona woda je rozpuściła. Czy wolno mi poprosić o coś jeszcze?

— Naturalnie.

— W takim razie proszę mi dać mój portret, który pan dzisiaj narysował. Roześmiałem się znowu i spytałem, skąd wie, że ją rysowałem.

— Czy jestem na nim do siebie podobna? — spytała.

— Uważam, że nawet bardzo — odrzekłem zgodnie z prawdą.

— Nie подарuje mi go pan?

Odmowę miałem na końcu języka, lecz pomyślałem, że wystarczy mi szkiców i obejdę się bez tego jednego, więc go jej podałem, kiwnąłem głową na znak, że „nie ma za co” i wstałem. Wstała i ona, migocząc diamentem na palcu.

— Na pewno nie jest pani w potrzebie? — spytałem z dozą dobrodusznego sarkazmu.

— Ćśś! — wyszeptała. — Niech pan posłucha... Czy słyszy pan klasztorne dzwony?

Spojrzałem w mglistą noc.

— Żadne dzwony nie biją — odparłem — zresztą tu nie ma klasztornych dzwonów. Jesteśmy w Nowym Jorku, *mademoiselle* — zauważyłem jej francuski akcent — jesteśmy w kraju jankesów-protestantów, a dzwony, które tu biją, brzmią znacznie łagodniej niż dzwony we Francji...

Odrzuciłem się uprzejmie, by powiedzieć dobranoc. Ale jej już nie było.

3

Czy rysował pan kiedyś zwłoki? — spytał Jamison nazajutrz rano, gdy tylko wszedłem do jego prywatnego gabinetu ze szkicem całostronicowego rysunku przedstawiającego zoo.

— Nie. I nie mam na to ochoty — odrzekłem ponuro.

— Pozwoli pan, że obejrzę rysunek z Central Parku — rzekł Jamison łagodnym głosem, a ja pokazałem mu efekt swojej pracy.

Pod względem artystycznym rysunek był do niczego, lecz Jamisonowi odpowiadał, zresztą wiedziałem, że tak będzie.

— Czy zdoła pan dokończyć go do popołudnia? — spytał, podnosząc na mnie przekonujący wzrok.

— Myślę, że tak — odparłem ze znużeniem. — Czy coś jeszcze, panie Jamison?

— Zwłoki — odrzekł. — Chcę dostać szkic. Do jutra.

— Jakie zwłoki? — zapytałem, hamując oburzenie, gdy napotkałem łagodne oczy szefa.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Jamison przesunął dłonią po czole, unosząc przy tym lekko brwi.

— Chciałbym dostać ten szkic jak najszybciej — odpowiedział tym swoim pieszczotliwym głosem.

Pomyślałem: „Przeklęty mruczący kocur!”. Powiedziałem zaś: — Gdzie są te zwłoki?

— W kostnicy... Czytał pan poranne gazety? Nie? No tak... słusznie pan kiedyś zauważył, że jest zbyt zajęty, by czytać poranne gazety. Młodzi ludzie najpierw muszą nauczyć się pracowitości, oczywiście, oczywiście. Sprawa

przedstawia się następująco: Policja z San Francisco przysłała do nas telegram zawiadamiający o zniknięciu panny Tufft, córki milionera, kojarzy pan. Dziś przywieziono do nowojorskiej kostnicy zwłoki, w który rozpoznano ową młodą damę... po pierścionku z brylantem. Ja zaś jestem przekonany, że to nie ona, i zaraz pokażę panu dlaczego, panie Hilton.

Wyjął pióro i na marginesie porannej *Tribune* naszkicował pierścionelek.

— W ten sposób opisali jej pierścionelek ludzie z San Francisco. Może pan zauważyć, że brylant osadzony jest pośrodku, tam, gdzie krzyżują się ogony dwóch złotych węży! Pierścionelek kobiety z kostnicy wygląda natomiast tak...

— I szybko narysował inny pierścień, gdzie brylant tkwił w zębach dwóch złotych węży. — Taka jest różnica — powiedział miłym, spokojnym głosem.

— Takie pierścionki są dość powszechne — zauważyłem, przypominając sobie, że widziałem podobny na palcu bladej dziewczyny w parku poprzedniego wieczora.

Po czym nagle myśl zrodziła się w mojej głowie — być może to ciało tej dziewczyny właśnie leżało teraz w kostnicy!

— O czym pan tak myśli? — rzekł Jamison, podnosząc na mnie wzrok.

— O niczym — odrzekłem, lecz miałem przed oczami całą scenę, ponure sępy wśród kamieni, podniszczoną czarną suknię i bladą twarz... i pierścionelek błyszczący na szczupłej, jasnej dłoni!

— O niczym — powtórzyłem. — Kiedy mam się tam udać, panie Jamison? Życzy pan sobie portret czy coś innego?

— Portret... wierny obraz pierścionka i... hm... jako główną atrakcję widok kostnicy nocą. Skoro już przy tym jesteśmy, możemy równie dobrze zafundować ludziom mały horror.

— Ale polityka gazety...

— Niech pan się nie przejmuje, panie Hilton — mruknął Jamison. — Potrafię odpowiednio sterować polityką tej gazety.

— Nie wątpię, że pan potrafi — odparłem rozzłoszczony.

— Potrafię — powtórzył niewzruszony i uśmiechnięty. — Widzi pan, ta sprawa interesuje towarzystwo. A ja... hm... ja również jestem nią zainteresowany.

Wyciągnął do mnie rękę z poranną gazetą i wskazał nagłówkę.

Przeczytałem: „Nie żyje panna Tufft, narzeczona znanego redaktora, pana Jamisona”.

— Coś takiego! — krzyknąłem zdumiony i przerażony.

Jamison jednak wyszedł już z pokoju i słyszałem, jak gawędzi i śmieje się cicho z gośćmi w sali redakcyjnej za drzwiami.

Cisnąłem gazetą i wyszedłem.

— Co za gad bez serca! — wykrzykiwałem co rusz. — Żeby zbijać kapitał na zniknięciu własnej narzeczonej! A niech mnie! Wiedziałem, że jest bezdusznym, pozbawionym serca dusigroszem, ale nigdy bym nie pomyślał...

do głowy by mi nie przyszło... — Zawiodły mnie słowa.

Ledwo świadomy tego, co robię, wyciągnąłem z kieszeni *Heralda* i zobaczyłem artykuł zatytułowany: „Panna Tufft odnaleziona! Rozpoznana po pierścionku. Narzeczony Jamison w rozpacz”.

Dość tego było. Wyszedłem na ulicę i usiadłem w parku przy ratuszu. I kiedy tak siedziałem, powziąłem straszne postanowienie: narysuję twarz tej nieżyjącej dziewczyny w taki sposób, że w Jamisonie zagotuje się ta jego ślimacza krew; głęboki mrok kostnicy zaludnię postaciami i upiornymi twarzami, a każda z tych twarzy będzie miała w sobie coś z Jamisona. Och, już ja go wyrwę z tej jego zimnej, gadziej apatii! Zapoznam go ze Śmiercią w tak koszarnej postaci, że pomimo całej swej beznamietności, nikczemności i braku jakichkolwiek ludzkich cech skuli się na jej widok jak od ciosu sztyletem. Oczywiście stracę posadę, ale tym się nie przejmowałem, i tak zamierzałem zrezygnować, nie mając ochoty na towarzystwo plugastwa w ludzkiej skórze. I kiedy siedziałem tak w zalanym słońcem parku, wściekły, usiłując zaplanować obraz, którego ponura groza pozostawi na jego umyśle trwałą bliznę, nagle pomyślałem o bladej, odzianej w czerń dziewczynie w Central Parku. Czy to możliwe, że właśnie jej ciało spoczywało teraz w cieniu ponurej kostnicy? Jeśli bezdenna rozpacz malowała się kiedyś na jakimś obliczu, to twarz owej dziewczyny wydawała się jej ucieleśnieniem, gdy przemówiła do mnie w parku i dała mi listy. Listy! Nie myślałem o nich od tamtej pory, lecz teraz wyciągnąłem je z kieszeni i spojrzałem na adresy.

Ciekawe — pomyślałem — listy są wciąż wilgotne. I pachną morską wodą.

Spojrzałem raz jeszcze na adres, na wydłużone, piękne litery, które wyszły spod ręki wykształconej kobiety wychowanej we francuskim klasztorze. Obie koperty zaadresowane były po francusku do tej samej osoby: „Kapitan d’Yniol (Za uprzejmym pośrednictwem nieznajomego)”.

— Kapitan d’Yniol — powtórzyłem na głos — a niech to, słyszałem już to nazwisko! Ale gdzie, u diaska... gdzie, w imię wszystkiego, co dziwne na tym świecie....

Ktoś, kto usiadł w międzyczasie na ławce obok mnie, położył ciężką dłoń na moim ramieniu.

Był to tamten Francuz, „Żołdak Charlie”.

— Wymówił pan moje nazwisko — rzekł apatycznie.

— Pańskie nazwisko?!

— Kapitan d’Yniol — powtórzył. — Tak się nazywam.

Rozpoznałem go pomimo ciemnych okularów, które nosił, i w tym samym momencie przyszło mi na myśl, że d’Yniol było nazwiskiem zdrajcy-uciekiera. Tak, już pamiętałem!

— Jestem kapitan d’Yniol — powiedział znowu, a ja spostrzegłem, że jego

palce zaciskają się na rękawie mojej marynarki.

Być może wzdrygnąłem się niechętnie — nie wiem — jednak mężczyzna puścił mój rękaw i usiadł prosto na ławce.

— Jestem kapitan d'Yniol — powiedział po raz trzeci — oskarżony o zdradę i skazany na śmierć.

— I niewinny! — mruknąłem, nim w ogóle zorientowałem się, że coś powiedziałem.

Co takiego wyciskało te mimowolne słowa z moich ust — pewnie nigdy się nie dowiem, jednak to ja, nie on, drżałem ogarnięty nagłym niepokojem, i to ja, nie on, wyciągnąłem pod wpływem impulsu rękę, dotykając jego dłoni.

Bez drżenia ujął moją dłoń, uściśnął ją ledwo wyczuwalnie i puścił. Wówczas wyciągnąłem w jego stronę oba listy, a ponieważ nie spojrzał ani na nie, ani na mnie, włożyłem mu je do ręki. Wówczas drgnął.

— Proszę je przeczytać — rzekłem. — Są do pana.

— Listy! — sapnął, wydając zupełnie nieludzki dźwięk.

— Tak, są do pana... teraz już to wiem...

— Listy! Listy do mnie?

— Nie widzi pan? — zawołałem.

W tym momencie podniósł jedną kruchą dłoń i ściągnął okulary, a gdy spojrzałem, zobaczyłem dwie maleńkie białe kropki dokładnie pośrodku obu źrenic.

— Ślepiec! — Głos mi się załamał.

— Już od dwóch lat nie mogę czytać — oznajmił.

Po chwili przyłożył do listów czubek jednego palca.

— Są mokre — powiedziałem. — Czy mam... czy chciałby pan, żebym je panu odczytał?

Przez dłuższy czas siedział na słońcu, milcząc, bawił się swoją laską, a ja przyglądałem mu się bez słowa. Wreszcie rzekł:

— Niech pan czyta. — Wziąłem więc listy i złamałem pieczęcie.

Pierwsza koperta zawierała kawałek papieru, wilgotny i odbarwiony, na którym zapisano kilka linijek:

— „Ukochany, wiedziałam, że jesteś niewinny... — Tutaj pismo się urywało, jednak pośród plam poniżej udało mi się odczytać: — „Paryż się dowie... Francja się dowie, ponieważ nareszcie mam dowody, a teraz jadę, by cię odnaleźć, mój żołnierzu, i złożyć je w twoje własne dzielne ręce. Wiedzą już w ministerstwie wojny, są w posiadaniu zeznań zdrajcy, ale nie ośmiela się tych zeznać upublicznić — nie zechcą zmierzyć się z powszechnym zaskoczeniem i gniewem. Dlatego wypływam w poniedziałek z Cherbourg statkiem linii Green Cross, aby sprowadzić cię znów do siebie, gdzie będziesz mógł stanąć przed całym światem bez strachu, bez konieczności słuchania wyrzutów. Aline”.

— To... to okropne! — wyjąkałem. — Że też Bóg patrzy na takie rzeczy!

On jednak chwycił mnie znowu swoją chudą dłonią za ramię, każąc czytać drugi list; zadrżałem, słysząc groźbę w jego głosie.

I wtedy, czując na sobie jego niewidzące oczy, wyciągnąłem z mokrej, poplamionej koperty drugi list. I zanim cokolwiek sobie uświadomiłem — zanim zrozumiałem sens tego, co widzę, odczytałem na głos na wpół zamazane wersy:

— „Lorient tonie... góra lodowa... środek oceanu... żegnaj, jesteś niewinny... Kocham...”

— Lorient! — wykrzyknąłem. — To ten francuski parowiec, po którym ślad wszelki zaginął, Lorient linii Green Cross! Zapomniałem... Ja...

Ogłuszył mnie huk rewolweru; poczułem dzwonienie w uszach i ból, gdy odskoczyłem od obszarpanej, brudnej postaci, która osunęła się na ławkę obok mnie, zadrżała i zwała się na asfalt u moich stóp.

Tupot żadnego wrażeń tłumu o hardych oczach, kurz i zapach prochu w gorącym powietrzu, przenikliwy brzęk ambulansu nadjeżdżającego Mail Street — to pamiętam, dotarło to wszystko do mnie, gdy klęczałem bezradnie, trzymając w dłoniach ręce nieżyjącego mężczyzny.

— Żołdak Charlie — odezwał się zadumany głosem strażnik parkowy — zastrzelił się, nieprawdaż, panie Hilton? Widział pan, psze pana, palnął sobie w łeb, prawda, panie Hilton?

— Żołdak Charlie — powtórzył tłum — tamten zabojad. Zastrzelił się. — Słowa te rozbrzmiewały echem w moich uszach jeszcze długo po tym, jak odjechał ambulans, a zgromadzony tłum rozproszył się nieco w ponurej ciszy, gdy kilku policjantów otoczyło niewielką przestrzeń wokół kałuży gęstej krwi na asfalcie.

Chcieli, żebym złożył zeznania w charakterze świadka, więc dałem swą wizytówkę jednemu z policjantów, którzy mnie znali. Gawieź przeniosła swe zafascynowane spojrzenie na mnie, a ja odwróciłem się, przecisnąłem wśród wystraszonych sklepikarek i cuchnących włóczęgów, aż wreszcie zgubiłem się w potoku ludzkich istnień na Broadwayu.

Potok zabrał mnie ze sobą tam, dokąd płynął — na wschód? na zachód? — nie zauważyłem i nie bardzo mnie to obchodziło, szedłem przed siebie wśród tłumu apatyczny, śmiertelnie znużony próbami zgłębienia Bożej sprawiedliwości, usiłując zrozumieć Jego cel... Jego prawa... Jego sądy, które są „prawdziwe, a wszystkie razem słuszne”.

4

„Cenniejsze niż złoto, niż złoto najczystsze, a słodsze od miodu płynącego z plastra!” — usłyszałem nagle.

Odwróciłem się gwałtownie w stronę mówcy, który powłóczył nogami tuż za mną. Jego zapadnięte oczy były mętne i pozbawione blasku, blada twarz

łśniła białą jak maska pośmiertna nad krwiście czerwonym swetrem — znakiem rozpoznawczym Żołnierzy Chrystusa.

Nie wiem, dlaczego się zatrzymałem, dlaczego ruszyłem potem wolniej, ale gdy mnie minął, rzekłem:

— Bracie, ja też rozmyślałem właśnie nad mądrością Bożą i nad Jego słowem.

Błądy fanatyk rzucił mi spojrzenie, zawahał się i dostosował do mego tempa, idąc dalej obok mnie.

Jego oczy załśniły dziwnym światłem w cieniu pod daszkiem czapki Armii Zbawienia.

— Proszę mi powiedzieć — rzekłem, zniżając głos, by nie przebił się przez gwar ulicy, przez brzdęk! brzdęk! tramwajów, przez tupot stóp o wydeptany chodnik — proszę mi powiedzieć o Jego słowach.

— „Chociaż Twój sługa na nie uważa, w ich przestrzeganiu zysk jest wielki, kto jednak dostrzega swoje błędy? Oczyść mnie od tych, które są skryte przede mną. Także od pychy broń swojego sługę, niech nie panuje nade mną! Wtedy będę bez skazy i wolny od wielkiego występku. Niech znajdą uznanie słowa ust moich i myśli mego serca u Ciebie, Panie, moja Skała i mój Zbawicielu!”

— Cytuje mi pan Pismo Święte — rzekłem — sam mogę je sobie przeczytać, gdy zechcę. Jednakże nie tłumaczy mi ono powodów... nie pomaga zrozumieć...

— Czego? — mruknął pod nosem.

— Na przykład tego — odrzekłem, wskazując kalekę, który urodził się głuchym idiotą koszmarnie zdeformowanym i tkwił jak chorobliwy guz na chodniku nieopodal kościoła Świętego Pawła, z kaprawymi ślipiami mamrotał coś i kiwał się, pobrzękując monetami w blaszanym kubku, jakby brzęk miedzi był w stanie zatrzymać przemieszczający się, goniący za mamoną tłum.

Raptem człapiący obok mnie mężczyzna odwrócił się i spojrzał mi w oczy, patrząc długo i poważnie.

Po chwili coś we mnie drgnęło, jakby niewyraźne wspomnienie — mętne coś, co mogło być budzącą się pamięcią o przeszłości, dawno zapomnianej, bardzo dawno, zamazanej, mrocznej, zbyt subtelnej, zbyt kruchej, zbyt nieokreślonej... Ech, każdy zna to uczucie, ten stary, dziwny niepokój, tę daremną walkę, by przypomnieć sobie, kiedy i gdzie już się to raz wydarzyło.

Głowa mężczyzny opadła na szkarłatny sweter, a wargi mamrotały dalej, mamrotały o Bogu i miłości, i litości, aż zrozumiałem, że wściekły upał miasta pomieszał mu zmysły, i odszedłem, zostawiłem go, by bredził dalej o tajemnicach, których nikt poza takimi jak on sam nazwać się nie ośmieli.

Szedłem więc dalej w skwarze i pyle; gorący oddech innych ludzi muskał

mi policzki, ich podekscytowane oczy zaglądały w moje. Oczy, ich oczy, co spotykały się z moimi i przenikały przez nie, za nie, daleko, tam gdzie złotem lśniły miraż wiecznej nadziei. Złoto! Było w powietrzu, tam gdzie łagodne światło złościło fruujące drobinki, było pod stopami, w pyłe, który skrzył się od słońca, migotało na każdej szybie, gdzie długie, czerwone promienie krzesały złote iskry nad głowami zasapanych, żądnych złota tabunów przemierzających Wall Street.

Wysoko, hen, wysoko na tle ciemniejącego nieba majaczyły budynki, a wiatr od zatoki unosił malowane słońcem flagi, aż zaczęły powiewać nad kłębiącym się w dole rojem — powiewały, głosząc hasła odwagi i nadziei, i siły tym, którzy żądni byli tylko złota.

Słońce opuściło się nisko za Twierdzą Williamsa, kiedy skręciłem apatycznie w stronę Battery, a długie proste cienie drzew wyciągnęły się daleko nad murawą i asfaltowym chodnikiem.

I już wśród listowia rozbłyły elektryczne latarnie, choć zatoka lśniła jeszcze jak polerowany mosiądz, a marsele na statkach jaśniały, przybrawszy jedynie głębszy odcień tam, gdzie promienie czerwonego słońca położyły się w poprzek takielunku.

Starsi mężczyźni przechadzali się wzdłuż falochronu, stukając o asfalt sfatygowanymi laskami, starsze kobiety skradały się to tu, to tam w zapadającym zmierzchu — starsze kobiety dźwigające kosze, które błagały w ich imieniu o jałmużnę albo pęczniały od stęchłej zawartości — jedzenia czy ubrań? Nie umiałem powiedzieć i wcale nie byłem ciekawy.

Głośny huk salwy z Twierdzy Williamsa wybrzmiał nad spokojną wodą zatoki, ostatnie czerwone ramię słońca wystrzeliło z morza, zakołysało się i przygasło, wtapiając się w smętne odcienie wieczornej zorzy. Po czym nadeszła noc, z początku nieśmiało, macając tylko szarymi palcami niebo i wodę, spowijając korony drzew, tak iż zmieniły się w puchate, miękkie kule; zakradała się coraz dalej i dalej, coraz szybciej, aż barwy i kształty znikły z powierzchni ziemi i świat stał się światem cieni.

I kiedy tak siedziałem w ciemności na falochronie, gorzkie myśli zaczęły blaknąć i zapatrzyłem się w cichą noc, poddając się choć w części temu spokojowi, który ogarnia każdego u schyłku dnia.

Śmierć ślepego nieszczęśnika tuż obok mnie w parku wywołała szok, lecz nerwowe napięcie ustępowało stopniowo i zacząłem myśleć o całej tej sprawie — o listach i dziwnej kobiecie, która mi je dała. Ciekaw byłem, gdzie je znalazła... czy rzeczywiście zostały wyrzucone na brzeg przez jakiś zabłąkany prąd, który przyniósł je tutaj z zatopionego Lorienta.

Nie widziały ludzkie oczy nic z Lorienta poza tymi listami, choć uważa się, że jego przeznaczeniem okazał się ogień lub góra lodowa, jako że nie miał miejsca żaden sztorm od chwili, gdy pechowy statek wypłynął z Cherbourga.

A co z tą bladą dziewczyną w czerni, która dała mi listy, mówiąc, że serce podpowie mi, komu je oddać?

Zacząłem grzebać w kieszeniach, szukając kopert, które wcisnąłem tam mokre i pomięte. Były na swoim miejscu, więc postanowiłem oddać je policji. Wtem pomyślałem o Cusicku i parku przy ratuszu, co z kolei przywiodło mi na myśl Jamisona i moją pracę — ach, zapomniałem! Zapomniałem, że poprzysiągłem wzburzyć zimną, flegmatyczną krew Jamisona! Zarabiać na rzekomym samobójstwie — albo zabójstwie — własnej narzeczonej! Co prawda powiedział mi, iż jest przekonany, że zwłoki w kostnicy to nie panna Tuftt, ponieważ pierścionek różni się od pierścionka jego przyszej żony. Ale co z niego za człowiek! Żeby uciekać się do kostnic i cmentarzy na ilustracjach, by tylko sprzedać kilka tysięcy dodatkowych egzemplarzy. Nie miałem pojęcia, że go na to stać. Było to tym dziwniejsze, że nasz tygodnik nie zamieszczał tego rodzaju rysunków, coś takiego nie miało precedensu i było zupełnie niezgodne z polityką gazety. Jamison mógł stracić setkę prenumeratorów, by za sprawą takich ilustracji zyskać w to miejsce najwyżej jednego.

— Bezduszna bestia! — mruknąłem pod nosem. — Już ja nim potrząsnę... już ja...

Usiadłem prosto na ławce, a mój wzrok padł na osobę, która zmierzała w moją stronę w trzeszczącym elektrycznością świetle.

Była to kobieta, którą spotkałem w Central Parku.

Podeszła prosto do mnie, jej blada twarz lśniła w ciemności jak marmur, wyciągały się do mnie jej szczupłe ręce.

— Szukam pana przez cały dzień... cały dzień — odezwała się tym samym niskim, wywołującym ciarki głosem. — Chcę odzyskać moje listy. Ma pan je przy sobie?

— Tak — odrzekłem. — Mam je tutaj... Niech je pani zabiera, na litość boską, dość już wyrządziły zła jak na jeden dzień!

Wzięła ode mnie listy, a ja zobaczyłem połyskujący na jej szczupłym palcu pierścionek, na który składały się dwa złote węże. Wstałem, zbliżyłem się i spojrzałem jej w oczy.

— Kim pani jest? — spytałem.

— Ja? Moje nazwisko nic dla pana nie znaczy — odpowiedziała.

— Ma pani rację — rzekłem. — Nie obchodzi mnie, jak się pani nazywa. Ale ten pan pierścionek...

— Co w związku z nim? — wyszeptała.

— Nic... pewna młoda kobieta leżąca w miejskiej kostnicy ma taki sam. Czy wie pani, do czego doprowadziły pani listy? Nie? Cóż, przeczytałem je pewnemu nieszczęśnikowi, a on palnął sobie w głowę!

— Przeczytał je pan komuś!

— Owszem. A on się zabił.

— I któż to był?

— Kapitan d'Yniol...

Wydając coś pomiędzy szlochem a śmiechem, uściśnęła mi dłoń i okryła ją pocałunkami, a ja, zdumiony i zły, zabrałem rękę od jej zimnych warg i usiadłem z powrotem na ławce.

— Nie ma za co dziękować — rzuciłem ostro. — Gdybym wiedział... Ale nieważne. Może ostatecznie lepiej jest biedakowi na tamtym świecie, gdzie dołączył do swojej ukochanej, która utonęła... tak, myślę, że tak jest. Był ślepy, schorowany... i miał złamane serce.

— Ślepy? — spytała delikatnie.

— Tak. Znała go pani?

— Znałam.

— A jego ukochaną Aline?

— Aline — powtórzyła cicho. — Ona nie żyje.

— Skąd pani wzięła te listy? — spytałem nagle.

Nie odpowiedziała, tylko stała, obracając w palcach mokre koperty.

Zanim się znowu odezwałem, odeszła w cień drzew, lekko, w milczeniu oddalając się chodnikiem i tylko gdzieś tam ujrzałem błysk pierścionka z brylantem.

W posępnej zadumie podniosłem się i przeszedłem przez Battery do stopni prowadzących na peron kolejki nadziemnej.

Wspiąłem się, kupiłem bilet i wszedłem na wilgotny peron. Kiedy nadjechał pociąg, wsiadłem do niego wraz z resztą czekających, nadal rozmyślając o swojej zemście, czując i wierząc, że powinienem udręczyć sumienie człowieka, który zabawiał się śmiercią.

Pociąg wreszcie zatrzymał się przy Dwudziestej Ósmej Ulicy, a ja zbiegłem po schodach i udałem się do kostnicy.

Gdy wszedłem do środka, Skelton, dozorca, stał przed stalowym blatem lśniącym delikatnie w świetle gazowych płomyków. Usłyszał moje kroki i obrócił się, by sprawdzić, kto idzie. Skinął i powiedział:

— Panie Hilton, niech no pan sobie popatrzy na tę tutaj nieboszczkę... Ja zaraz wracam. To ta, którą wszystkie gazety biorą za pannę Tufft, ale wszystkie się mylą, bo ta niewiasta jest u nas od dwóch tygodni.

Wyciągnąłem szkicownik i ołówki.

— Która to, Skelton? — spytałem, obmacując kieszenie w poszukiwaniu gumki.

— Ta tutaj, panie Hilton, ta z uśmiechem na ustach. Przywieźli ją z Sandy Hook 13. Wygląda, jakby spała, co?

— A co ma w ręce...? Ścisza tak mocno... Ach, to list. Niech pan podkreśli gaz, Skelton, chcę widzieć jej twarz.

Starszy mężczyzna podkreślił gaz, płomień zajaśniał i zagwizdał w wilgotnym, cuchnącym powietrzu. I nagle mój wzrok padł na zmarłą.

Jak sparaliżowany, ledwo łapiąc oddech, wpatrywałem się w pierścionek z dwóch wygiętych węży z brylantem... widziałem mokre listy ściśnięte w szczupłej dłoni... Spojrzałem i — Boże, dopomóż! — zobaczyłem martwą twarz dziewczyny, z którą rozmawiałem na Battery!

— Nie żyje co najmniej od miesiąca — oznajmił spokojnie Skelton.

Poczułem, jak przytomność mnie opuszcza, i krzyknąłem, a w tym samym momencie ktoś z tyłu chwycił mnie za ramię i potrząsnął mocno — trząśł mną, dopóki nie otworzyłem oczu, a wtedy chwyciłem powietrze i zakaszałem.

— No już, młody człowieku! — powiedział strażnik parkowy, pochylając się nade mną. — Jak pan będzie tak spał na ławce, to ktoś podprowadzi panu zegarek!

Odwrociłem się, trąc desperacko oczy.

A więc to tylko sen — nie zaczęła mnie żadna chuda dziewczyna z mokrymi listami; nie poszedłem do redakcji; nie było żadnej panny Tuftt; Jamison nie był pozbawionym uczuć nikczemnikiem — nie, no doprawdy! — traktował nas znacznie lepiej, niż na to zasługiwaliśmy, do tego był życzliwy i szczodry. A to koszmarnie samobójstwo! Dzięki Bogu, ono także nie było prawdą... ani kostnica, ani Battery nocą, gdzie tamta błada dziewczyna... pfe!

Zacząłem szukać szkicownika i znalazłem go; przewróciłem wszystkie karty, na których były rysunki zwierząt — hipopotamów, bizona, tygrysów... ejże! Gdzie się podział tamten szkic z kobietą w podniszczonej czarnej sukience z ponurymi sępami dokoła i tłumem w słońcu? Znikł.

Szukałem wszędzie, obmacałem każdą kieszeń. Znikł.

Wreszcie wstałem i ruszyłem wąską, asfaltową alejką w zapadającym zmierzchu.

Kiedy skręciłem na szerszy chodnik, uświadomiłem sobie obecność pewnej grupy: policjant trzymający latarnię, paru ogrodników i kilkunastu spacerowiczów zebrało się na chodniku dokoła ciemnego kształtu na ziemi.

— Dopiero co ich żeśmy znaleźli — mówił jeden z ogrodników. — Lepiej ich nie dotykać do przyjazdu koronera.

Policjant przesunął nieco latarnię; jej promienie padły na dwie twarze, dwa ciała oparte o parkową ławkę. Na palcu dziewczyny lśnił wspaniały brylant osadzony w zębach dwóch złotych węży. Mężczyzna się zastrzelił; ścisnął w dłoni dwa wilgotne listy. Ubranie i włosy dziewczyny tak były mokre, że można je było wyżywać, zaś jej twarz była twarzą topielicy.

— Proszę pana — odezwał się policjant, spoglądając na mnie — wydaje się pan znać tych dwoje... sądząc po wyrazie...

— Nie, nigdy ich nie widziałem — sapnąłem i ruszyłem przed siebie, drżąc na całym ciele.

Jako że w fałdach podniszczonej sukienki spostrzegłem brzeg kartki — szkic, który mi zginął!

1

Ne raillois pas les fous; leur folie dure plus longtemps que la nôtre... Voilà toute la différence (fr.) — Nie drwicie z szaleńców; ich szaleństwo po prostu starsze jest niż nasze... Ot i cała różnica.

2

Autentyczny wielki pożar Chicago miał miejsce w październiku 1871, spowodował śmierć setek mieszkańców i zniszczył doszczętnie ok. 10 km² zabudowy.

3

Białe Miasto (White City) — kompleks około dwustu (w większości tymczasowych) budynków zaprojektowanych i zbudowanych na potrzeby Kolumbijskiej Wystawy Światowej 1893 roku, zorganizowanej dla uczczenia 400. rocznicy odkrycia Ameryki. Wystawa, na której oprócz oglądania wynalazków można było skorzystać z mnóstwa innych atrakcji i rozrywek, cieszyła się niespotykaną popularnością wśród mieszkańców Chicago i nie tylko.

4

William Earl Dodge (1805–1883) — nowojorski biznesmen, znany abolicjonista i obrońca praw Indian. Zwolennik abstynencji od alkoholu (w latach 1865–1883 pełnił funkcję przewodniczącego Narodowego Towarzystwa Trzeźwości), a także współzałożyciel Związku Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej (YMCA).

5

Benedick — zbudowany w 1879 roku przy Washington Square East numer 80 budynek oferujący mieszkania zamożnym nieżonatym mężczyznom.

6

Salon paryski — organizowana cyklicznie od 1737 roku (choć pierwszy Salon odbył się w roku 1667) w Paryżu, prezentowana publicznie wystawa przedstawiająca dorobek współczesnych artystów.

7

Mowa o *Mszy Cecylińskiej* (*Messe sollonelle de sanctae Cecilie*) autorstwa francuskiego kompozytora Charlesa-François Gounoda (1818–1893).

8

J'avais bien l'honneur, madame (fr.) — Jestem zaszczycony, łaskawa pani.

9

Z *Psalmu 104*; ten i inne fragmenty Pisma Świętego w przekładzie z Biblii Tysiąclecia.

10

Niebieski smok (łac. *Glaucus atlanticus*) — gatunek jadowitego ślimaka morskiego o spłaszczonym ciele i niebiesko-srebrzystej barwie.

11

Nathan Hale (1755–1776) — bohater amerykańskiej wojny o niepodległość, zgłosił się na ochotnika do przeprowadzenia misji szpiegowskiej w oddziałach armii brytyjskiej, został jednak przez Brytyjczyków schwytany i powieszony.

12

Benedict Arnold (1741–1801) — generał Armii Kontynentalnej występującej podczas amerykańskiej wojny o niepodległość przeciwko siłom brytyjskim, znany głównie ze zdrady, w wyniku której doszło do poddania Brytyjczykom fortu West Point.

13

Sandy Hook — piaszczysta mierzeja o długości ok. 10 km ograniczająca dostęp z Atlantyku do Zatoki Nowojorskiej.